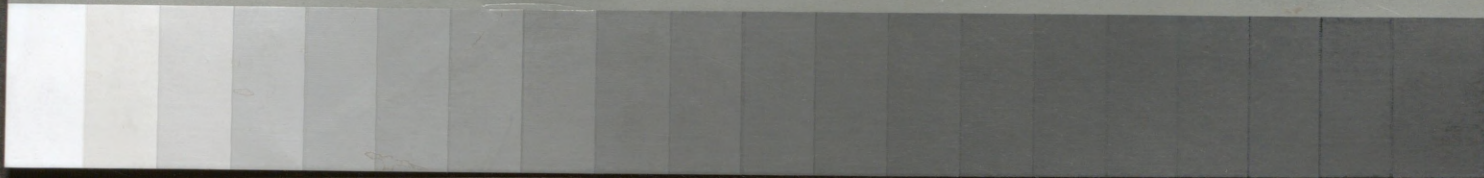




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





ISKRY W POPIOŁACH

Z D Z I S Ł A W D Ę B I C K I

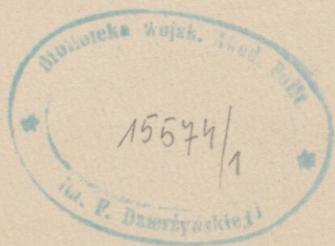
ISKRY W POPIOŁACH

WSPOMNIENIA LWOWSKIE



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

92: 884



TEŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”.

WARSZAWA — KRAKÓW — LWÓW

W pierwszych dniach października 1895 roku wyjeżdżałem z Warszawy do Lwowa, zaopatrzony w legalny paszport, w odpowiedni zapas cywilnego ubrania, sprawionego po raz pierwszy w życiu, i w sporą, jak na studenta, sumę pieniędzy, przeznaczoną na zagospodarowanie się i urządzenie.

Zerwałem się o godz. 4-ej rano, pociąg mój bowiem odchodził o 5-ej. Był to pociąg osobowy, dogodny z tego względu, że przychodził do Krakowa koło 5-ej po południu, a w Krakowie chciałem się zatrzymać.

Na dworze było szaro i deszczowo. Połknąłem szybko przygotowane dla mnie śniadanie, pożegnałem się czule z matką i siostrą, które ubłagałem poprzedniego dnia, aby nie odprowadzały mnie o tak wczesnej godzinie na kolej, i opuściłem dom.

Na jak długo, nie wiedziałem.

Było mi smętnie, kiedy znalazłem się sam na dworcu. Oddałem na bagaż swój duży kufer orski¹, który przewędrował ze mną tyle tysięcy kilometrów, i po chwili siedziałem już w pustym przedziale wagonu.

¹ Zob. „Grzechy młodości”.

Pociąg niebawem ruszył. Nie miałem towarzysza aż do Koluszek. Dopiero na tej węzłowej stacji wsiadło dwóch kupców z Łodzi, żydów, którzy jechali do Sosnowca. Ani ja z nimi, ani oni ze mną nie nawiązywali jednak rozmowy. Dojechałem więc, nie otwierając ust, w absolutnem milczeniu, do samej granicy. Tam mogłem zmienić sobie u żyda wekslarza kilkanaście rubli na austriackie guldeny i zjeść spokojnie obiad, pociąg bowiem z uwagi na formalności paszportowe stał bardzo długo. Restauracja była dobra i tania. Po obiedzie wypilem tu po raz ostatni dwie szklanki dobrej herbaty.

Siestę przerwał mi dzwonek. Kiedy znalazłem się już w wagonie „austriackim”, zagranicznym, doznałem przykrego zawodu. Po wagonach kolei wiedeńskiej, które były obszerne i schludne, miały siedzenia wyściełane i obite gładkim pluszem, przytem posiadały zamykane przedziały z wejściem od korytarza, mały, ciasny, starodawnej mody wagonik austriacki, z przedziałami o ławkach, krytych czarną, wytartą skórą czy nawet ceratą, wydał mi się nieprzyjemnem pudełkiem. Do tego pudełka wchodziło się bezpośrednio przez drzwiczki od zewnątrz. Drzwiczki takie były naprzestrzał. Zatrzaśnięto je za mną natychmiast, gdy wsiadłem. Było nas w przedziale kilka osób, jak w pułapce.

Upłynęła dobra chwila, zanim wszedł do wagonu oficer żandarmski. Za nim z wielką księgą pod pachą ukazał się wachmistrz.

Oficer zapytywał kolejno pasażerów o nazwiska, poczem wachmistrz wydobywał z księgi znajdujący się tam pod odpowiednią literą paszport, już ostemplowany i z wydartą na wyjazd kartką.

Ceremonja ta odbywała się sprawnie, trwała jednak stosunkowo długo, bo pociąg składał się z kilkunastu wagonów.

Po doręczeniu paszportów oficer, a za nim wachmistrz, obrzucali jeszcze przenikliwym wzrokiem obecnych w przedziale, jakby chcieli wydobyć z pod ich czaszek zawarte tam myśli, poczem zaglądali pod ławy, i drzwiczki znów zamykały się z trzaskiem, a żandarmi udawali się do następnego przedziału.

Gdy już rozdano wszystkie paszporty i dokonano badania „na oko” prawomyślności wszystkich jadących, pociąg ruszył.

Stałem przy oknie. Mignęła mi przed oczami budka ostatniego szyldwacha rosyjskiego, potem szara, kręta wstęga Przemszy, która stanowiła właściwą granicę między dwoma państwami, potem budka szyldwacha austriackiego — i odetchnąłem swobodniej.

Byłem już na terytorjum, podległem innemu rządowi i korzystając z praw konstytucyjnych.

My, Polacy z zaboru rosyjskiego, wciągaliśmy tu w płuca, jakby zgola inne powietrze. Ziemia była ta sama, niebo nad nią to samo, na tej ziemi naród taki sam, a jednak wszystko było inaczej, bo to, czego tam nie było wolno, tutaj było wolno.

Tu można było już głośno mówić o Polsce, tu nie trzeba było kryć się ani ze swojemi uczuciami, ani ze swojemi myślami, tu można było czytać gazety, nie podlegające przewencyjnej cenzurze, tu można było śmiać się z Moskali i nawet dokuczać im, jak to czynił wówczas „Djabeł” krakowski. Po tej stronie kordonu drukowała się właśnie ta „literatura nielegalna”, za którą my, po tamtej, nadstawialiśmy karków, nasłuchując po nocach brzęku ostróg żandarmskich na schodach.

Nie dziw więc, iż wydostanie się „zagranicę” robiło na nas wrażenie, chociaż nie była to właściwa „zagranica”, bo żadnej nie odczuwało się tam „obcości”, prócz tej, jaka zaznaczała się w odrębnym uniformie służby kolejowej i policyjnej na stacjach, w owych austriackich czapkach, przypominających skopki, z czarno-żółtymi bączkami, i w polskich wszędzie napisach.

Nie po raz pierwszy doznawałem ulgi, patrząc na te napisy. Pozostały mi one w pamięci z lat napół dziecięcych, kiedy, jako dziesięcioletni chłopiec byłem z ojcem we Lwowie, gdzie na widok mojego gimnazjalnego mundurka, który z dumą nosiłem w Warszawie, jako uczeń 1-ej klasy, biegali za mną ulicznicy, wołając „Moskal! Moskal!” Wspaniałomyślnie wybaczałem im to wówczas, zdając sobie sprawę z tego, że „nie wiedzą, co czynią”.

Przypominały mi się te dawne moje wrażenia z każdym obrotem kół. Pociąg tymczasem, wło-

kąc się leniwie, przebywał okolicę smutną, pozbawioną zupełnie roślinności i piaszczystą, jak Sahara. Gdzie niegdzie zaledwie na tem szarem morzu zamajaczył, jak wąłła plama, jakiś nikły krzaczek karłowatej sosny, zresztą piach i piach dokoła.

Tak dojechaliśmy do Szczakowej. Tam musiałem wysiąść do rewizji bagażu. Celnikom austriackim nie chodziło o nic innego, tylko o tytoń, herbatę i cukierki. Ponieważ nie posiadałem nic z tych trojga, przeto rewizja odbyła się bardzo powierzchownie. Przed odejściem pociągu w wagonie zjawił się urzędnik policyjny, który sprawdził wizy na paszportach i jeszcze podejrzliwszem okiem, niż to uczynili na odjeździe z Granicy żandarmi rosyjscy, obrzucił każdego podróżnego. Prawdopodobnie szukał pomiędzy nami szpiegów, defraudantów i złodziei, uciekających przed sądem i karą.

Stosunki między policją austriacką a rosyjską były wówczas dobre. Udzielano sobie wzajemnie wiadomości o ściganych przez prawo przestępcach i złoczyńcach, których po schwytaniu oddawano w ręce sprawiedliwości tego państwa, do którego dany ptaszek należał. Dotyczyło to jednak tylko tych, co byli w kolizji z kodeksem karnym. Umoowa ekstradycyjna nie obejmowała przestępców politycznych. Ci po przejeździe granicy byli już bezpieczni, Austrija nie miała bowiem do nich żadnych uroszczeń. I to czyniło ją w naszych oczach pań-

stwem europejskiem, które nie broniło wstępu na swoje terytorjum ofiarom opłakanych rosyjskich stosunków.

Po dokonaniu tego przeglądu pociąg ruszył dalej, aby po upływie kilkunastu minut znów zatrzymać się w Trzebini.

Na tej stacji trzeba było przesiąść się do pociągu, zdążającego z Wiednia do Krakowa.

Komunikacji bezpośredniej między Warszawą a Krakowem wówczas nie było. Rosja ze zrozumiałych względów wcale nie zabiegała o to, aby udogodnić ludności Warszawy i Królestwa podróż do Krakowa, a i dla Austrii było to zupełnie obojętne, gdyż cierpieli na tem tylko Polacy, i to „obcopoludni“, albowiem mieszkańcy Galicji po roku 1863 wogóle zrezygnowali z wyjazdów do Królestwa. Na sam widok żandarmów majaczyła im się przed oczami cytadela i Sybir. Mieszkańcy Królestwa natomiast chętnie i licznie odwiedzali Kraków i zdrojowiska galicyjskie. Nie brak ich było także wśród kuracjuszy Karlsbadu, Marienbadu, Franzensbadu, Reichenhallu, Gasteinu i innych czeskich i austriackich „badów“. Jadący zaś po zdrowie godzili się nawet na niewygodny podróż, byle spędzić kilka tygodni w innej, lepszej, bardziej europejskiej atmosferze.

Trzebinia była stacją małą, brudną, źle, a właściwie wcale nie urządzoną. Miała żydowski bufet i długą werandę pod dachem. Na tej werandzie oczekiwało się na pociąg.

Zajechał on z całym pędem. Wagony miał już lepsze, nowszego typu, znacznie schludniejsze, ale w wagonach tych trudno było o miejsce. Pociąg szedł z Wiednia przez Kraków do Lwowa, miał więc sporą ilość pasażerów dalekobieżnych i był przepełniony. Jakoś jednak tych kilkanaście osób, jadących do Krakowa, zmieściło się w nim jeszcze, i pojechaliliśmy dalej już w szybszym tempie, do Krzeszowic.

Zwróciło moją uwagę, że konduktor, wywołujący nazwę tej stacji, wymawiał ją inaczej, niż my, przenosząc akcent z przedostatniej na pierwszą sylabę. Wywoływał on mianowicie Krze'szowice a nie Krzeszowi'ce. Zacząłem więc kombinować, coby mogła być za przyczyna tego, i doszedłem do wniosku, że to niewątpliwym wpływ czeszczyzny, która od wieków, przez bramę śląską, tędy przenikała do nas. Trafiło mi to tak do przekonania, że od tej chwili w każdym niemal wypowiedzianym wyrazie słyszałem akcent czeski. Wydawało mi się nawet, że moi współpasażerowie pytają mnie, czy jadę do Kra'kowa, gdy ja im odpowiadam: do Krako'wa.

Te rozważania na temat odmiennej wymowy dwu dzielnic przerwał jednak rychło sam Kraków.

Kochane miasto! Znałem je pobieżnie, ale znałem od dziecka. Tu matka moja, usłyszawszy po raz pierwszy hejnał z wieży Marjackiej, rozpłakała się, a gdy ją ojciec wypytywał o przyczynę łez, odpowiedziała, że ją tak wzrusza dawność tej

melodji, której tyle już pokoleń słucha. Utkwiło mi to w pamięci.

Tu po raz pierwszy w życiu odczułem hańbę niewoli podczas zwiedzania Wawelu. Miałem w duszy swój Wawel królewski, stworzony na podstawie wyobraźni i opisów jego dawnej wspałałości. Teraz zobaczyłem opłakaną rzeczywistość. Zrujnowany, opuszczony zamek, z którego utworzono koszary dla wojska. Pamiętam, jak weszliśmy z ojcem do Kurzej stopki, do pokoju Jadwigi. Było to późną jesienią i jakiś feldfebel najspokojniej w świecie na marmurowym obramowaniu kominka rąbał toporem drzewo, aby sobie ogień rozpalić. W ten barbarzyński sposób niszczone wszystko. Na szczęście spostrzegł to podobno jakiś wyższy oficer Polak i z jego inicjatywy przykryto potem schody marmurowe, prowadzące z dziedzińca na galerję, deskami, co ocaliło je od zupełnego zniszczenia.

Tu także w grobach królewskich modliłem się dzieckiem bardzo gorąco u sarkofagu ks. Józefa Poniatowskiego, którego utożsamiałem ze „świętym Józefem“, modliłem się, naturalnie o to, ażebym mógł być kiedyś polskim ułanem i pomścić śmierć bohatera z pod Lipska.

Przywitałem więc Kraków, jak starego znajomego.

Odebrałem i oddałem swój kufer na przechowanie, ponieważ nazajutrz miałem jechać do Lwowa, i wyszedłem na miasto.

Wydało mi się ono bardzo szare. Nic dziwnego. Był październik, drzewa na plantach traciły już liście, i napół nagie tłukły się wzajemnie konarami.

Poszedłem znajomą drogą do klasztoru Pijarów, tam bowiem, jak dowiedziałem się w Warszawie, zamieszkał Adam Jasiński, medyk, jeden z najbliższych moich kolegów i przyjaciół, kilińczyk, który po odsiedzeniu 4 miesięcy więzienia, zamiast jechać na wygnanie do Rosji, przeszedł przez „zieloną granicę” do Krakowa. Był już tam od roku, zdał dwa egzaminy i przygotowywał się właśnie do ostatniego rygorozum doktorskiego.

Zastałem kochanego Adama w domu, obłożonego książkami i skryptami. Ucieszył się ogromnie.

— Przenocujesz mnie?

— Z całą rozkoszą. Widzisz, jest gościnną kaptura, a pościelą się podzielimy.

Zaczęliśmy gawędzić. Przedewszystkiem wysypałem na stół wszystkie nowiny warszawskie, których Adam słuchał chciwie, tęsknił bowiem już bardzo do Warszawy i do swoich dawnych stosunków, dzielonych pomiędzy uniwersytet a pracę konspiracyjną.

Adam, który przez cały prawie okres studjów mieszkał razem z Józefem Ciaglińskim, naprzód na samym dole ul. Bednarskiej, gdzie mieli zakonspirowaną służącą, Anielcię, bardzo miłą dziew-

czynę, która przechowywała u siebie pod siennikiem całą nielegalną literaturę, potem przy ul. Złotej pod nr. 26, należał do najbardziej wyrobionych działaczy oświatowych na uniwersytecie warszawskim. Pod jego też kierunkiem stawiałem pierwsze na tem polu kroki i to nas zbliżyło. Zostaliśmy przyjaciółmi, mimo, że on kończył już studia, a ja dopiero je zaczynałem.

Nic dziwnego, że po zgórą rocznem niewiedzeniu się i po tylu zmianach, jakie zaszły w naszym życiu, zagadaliśmy się przy blaszanym krakowskim samowarku do późnej nocy.

Było już dobrze po drugiej, kiedy nareszcie położyliśmy się i zgasili lampę.

Spałem dobrze, jak zwykle sypia się w tym wieku. Rano jednak ocknąłem się wcześniej. Dochodziła zaledwie siódma. Obudziły mnie stłumione, wydobywające się z za ściany dźwięki organów. W pierwszej chwili myślałem, że to jeszcze sen i że to na jego skrzydłach spływa ku mnie ta anielska muzyka. Gdy jednak stawała się ona coraz wyraźniejsza, zacząłem miarkować, że jestem przecież w celi klasztornej i że zapewne w kościele odbywa się już msza poranna. Tak było istotnie.

Niebawem ocknął się także Adam i stwierdził, że jest to najprzyjemniejszy budzik, z jakiego w życiu korzystał. Bez zegarka jest zawsze wcześniej na nogach i wcześniej zasiada do pracy.

Wiedząc, że go czeka niedługo egzamin i że musi teraz dobrze przysiadawać fałdów, wstałem, ubrałem się i wyszedłem na miasto.

Umówiliśmy się na 1-ą godzinę, na obiad, w kuchni studenckiej.

— Tam zastaniesz wszystkich „naszych“, a jest ich tu już kilkunastu. Rok akademicki zaczyna się, więc niema prawie dnia, żeby ktoś nie przyjechał.

Powłóczyłem się trochę po Krakowie, odwiedziłem kilka kościołów, zaszedłem do Muzeum Narodowego, byłem na Wawelu, odświeżyłem sporo dawnych wrażeń i tak mi czas zbiegł do oznaczonej godziny.

Punktualnie stawilem się w kuchni, gdzie moje wejście wywołało radosny okrzyk przy stole „królewików“. Adama jeszcze nie było, więc nikt nie wiedział o moim przyjeździe.

Zastałem kilku dobrych przyjaciół. Więc Adama Szelągowskiego, który, porzuciwszy medycynę, studjował tu już od roku historję, Konrada Glińskiego, który po awanturze z Ziłowem w r. 1893 oraz przerwaniu z powodu tej awantury egzaminów na całym pierwszym kursie medycyny, przeniósł się do Krakowa, Marjana Jastrzębskiego, Feliksa Gastmana, Leona Jankowskiego, Mieczysława Szenka, Wiktora Jankowskiego i Teofila Zalesskiego — wszystkich „kilińczyków“.

Za ich wskazówką poszedłem do kasy wykupić przedewszystkiem bilet na obiad.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy przy tej kasie, jako urzędującego „dyżurnego”, zastałem Karola Dłużewskiego z Pobyłkowa, przyjaciela od dziecka, bo ojcowie nasi żyli w przyjaźni. Okazało się, że Karol jest tu na studjum rolniczem.

Niebawem nadszedł Adam i zasiedliśmy w wesołym gronie do stołu. Dowiedziałem się rychło, iż zapowiedziany jest przyjazd do Krakowa całej rodziny Kirkorów, Janka Dudzińskiego i innych jeszcze, o ile nie będą przyjęci do Dorpatu.

Namawiano mnie gorąco, abym nie jechał do Lwowa, ale został tu, bo tu powstanie cała „kolonja”, a do Lwowa nikt się nie wybiera. Miałem jednak od ojca tak wyraźną dyspozycję pojechania do Lwowa, że już zmienić tego nie mogłem.

Po obiedzie przenieśliśmy się do jakiejś winiarni na miód, i tam na gawędzie zeszło nam kilka godzin. Potem przechadzka po A—B i po Plantach, po przechadzce wspólna wieczerza, poczem marsz na kolej.

Nie bez poczucia smutku w duszy znalazłem się znów sam jeden w wagonie.

W E L W O W I E

Wspominam dzisiaj Lwów, jako jedno z najbliższych i najmilszych miast, z którymi związało mnie życie. Oglądam często w marzeniach jego wspaniałą panoramę, która roztacza się przed oczami widza z wyżyn parku Kilińskiego lub Wysokiego Zamku. Prawo obywatelstwa w mojej pamięci zdobyli sobie liczni tego miasta mieszkańcy, którzy okazali mi wiele przyjaźni.

A jednak wówczas, kiedy jechałem do Lwowa, jechałem z obawą, niepewny, jak sobie dam radę w nowych warunkach, w nieznanym środowisku, odbity zupełnie od stosunków, do jakich przywykłem.

Wszystko jednak poszło gładko.

Pierwsze dwa tygodnie pobytu we Lwowie pochłonęło mi załatwianie moich spraw uniwersyteckich.

Dziekanem wydziału prawnego był w roku 1895/6 prof. dr. Stanisław Starzyński. Do niego więc udałem się, aby uzyskać prawo wpisania się w poczet słuchaczy uniwersytetu. Przyjęty byłem z wielką uprzejmością i życzliwością. Okazało się jednak, że sprawa moja nie może być rozstrzygnięta przez senat akademicki, ale musi być przedstawiona ministrowi wyznań i oświece-

nia w Wiedniu. Prof. Starzyński zaopiekował się nią bardzo troskliwie. Sam zredagował odpowiednie przedstawienie; polecił mi tylko dołączyć do tego przedstawienia moje świadectwo uniwersyteckie i inne papiery w uwierzytelnionym przekładzie na język niemiecki. Musiałem tedy udać się do tłumacza przysięgłego przy sądzie karnym, jako jednego z nielicznych we Lwowie znawców języka rosyjskiego. Tłumaczem tym był niejaki Franciszek Sobolak, figura dość zabawna, typ urzędnika austriackiego z zarostem à la Franciszek Józef. Za opłatą odpowiedniej ilości guldenów, przełożył on na urzędową niemczyznę wszystkie moje papiery, i w kilka dni po mojej pierwszej wizycie u prof. Starzyńskiego sprawa moja już poszła do Wiednia. Dziekan jednak przestrzegał, że trzeba uzbroić się w cierpliwość, że to może potrwać dobrych kilka tygodni a może znacznie dłużej. „Tymczasem zaś — mówił — nie należy tracić czasu, bo jeśli panu Wiedeń zaliczy studja warszawskie, to może spaść na pana nagle egzamin prawno-historyczny“. Był to pierwszy egzamin rządowy, obowiązujący studentów prawa na uniwersytetach austriackich po dwóch latach. Na podstawie tego egzaminu uzyskiwało się dopiero prawo słuchania wykładów na trzecim roku. „Radzę więc — ciągnął dalej prof. Starzyński — nie czekając na rezolucję wiedeńską, uczęszczać na wykłady i przygotowywać się do egzaminu na wszelki przypadek.“ To mówiąc, wy dobył program

wykładów i pouczył mnie jakich przedmiotów mam słuchać, aby mieć przepisaną ilość godzin i braki swoje uzupełnić. Braki te szły przede wszystkim w trzech kierunkach. Naprzód prawo rzymskie było wykładane we Lwowie w daleko szerszym zakresie, niż w Warszawie, powtóre, do egzaminu obowiązywało prawo kościelne, którego w Warszawie nie wykładano wcale, po trzecie, również przedmiotem obowiązkowym była historia ustroju polski — *terra incognita* dla mnie. Nadto trzeba było przejść kurs historii prawa niemieckiego i historii Austrii.

Na te więc wykłady, idąc za radą dziekana, zacząłem uczęszczać.

Muszę tu wyznać, że zaraz na wstępie byłem uderzony różnicą poziomu pomiędzy wykładami lwowskimi a warszawskimi.

Nie mówię już o wrażeniu, jakie wywarł na mnie język polski w ustach profesorów Polaków, rozlegający się z katedry donośnie i dźwięcznie. To była sprawa sentymentu. Poza tem jednak od razu wyczułem, iż mam tu do czynienia z naukowem traktowaniem wykładanych przedmiotów. Każdy z profesorów mówił znacznie więcej, niż wymagał tego program, bez porównania więcej, niż było potrzeba studentowi do egzaminu, gdy w Warszawie profesorom i studentom szło tylko o ten egzamin, o nic więcej. Byle zdać, byle przejść z kursu na kurs i otrzymać dyplom „rzeczywistego studenta” lub „kandydata praw”. Nie



mogę zaprzeczyć, że i wśród moich kolegów lwowskich, jak się później przekonałem, przeważająca większość podzielała takie właśnie zapatrywania, ale nie dzielali ich profesorowie. Każdy z nich starał się zbliżyć słuchacza do nauki rzeczywistej, zachęcić go do niej, wskazać mu drogi, prowadzące do poznania i ogarnięcia przedmiotu, nie w jego fragmentach, lecz w całości.

Byłem tak ujęty tym sposobem prowadzenia wykładów, że nagle z rozpróźnionego studenta warszawskiego, który, jak rok długi, nie brał do ręki książki, a zaczynał uczyć się z litografowanego kursu dopiero przed samymi egzaminami, licząc głównie na kilkodniowe przerwy, które dzieliły jeden egzamin od drugiego, przedzierzgałem się w najpilniejszego, jakiego można sobie wyobrazić, słuchacza. Spostrzegłszy zaś odrazu, jak dużo z tych wykładów korzystam, uczęszczałem na nie z poprostu chwalebną regularnością — i to przez cały czas mego pobytu w uniwersytecie lwowskim, aż do końca studjów.

Należałem pod tym względem do wyjątków, na co zwrócili uwagę profesorowie. Ogół bowiem młodzieży prawniczej we Lwowie trzymał się zdala od sal wykładowych. Przyczyniały się do tego ciężkie warunki materjalne, w jakich znajdowała się młodzież tamtejsza. Ogromna większość z pośród studentów prawa musiała pracować na siebie, że zaś w stosunkach tamtejszych nie było „korepetycyj”, które ratowała swoich akademików

Warszawa, przeto chleba należało szukać po kancelariach adwokackich i drobnych urzędach, i to na obszarze całego kraju. Nieraz więc zdarzało się, iż student lwowski mieszkał przez cały okres studjów w Stanisławowie, Samborze, Stryju czy Drohobyczu, a do Lwowa przyjeżdżał tylko na egzamina.

Był to niewątpliwie objaw niepożądany, że jednak źródłem tego zjawiska były ciężkie stosunki gospodarcze kraju, przeto profesorowie, rozumiejąc to, patrzyli przez palce na ten absenteizm i czasem tylko żartobliwie, przy podpisywaniu indeksów, zwracali temu lub innemu studentowi uwagę na to, że widzą go po raz pierwszy.

W rezultacie na wykłady uczęszczała zaledwie garstka pilnych chłopców, którym warunki na tę pilność pozwalały. Byli to przeważnie albo synowie wyższych urzędników politycznych, sędziów lub adwokatów, stale mieszkających we Lwowie, albo synowie rodzin ziemiańskich, które z uwagi na rozwinięte w kraju życie polityczne, dbały o wyższe wykształcenie swoich dzieci więcej, niż w Królestwie, gdzie nikt nie mógł marzyć o tem, aby zostać posłem lub starostą, nie chciał więc przygotowywać się do tego, czego — wiedział — że w życiu nie osiągnie.

Młodzieży zamożnej było jednak na uniwersytecie lwowskim niewiele. Przekładała ona konserwatywny Kraków albo wesoły Wiedeń ponad demokratyczny gród nadpełtwiański, mimo, iż on

właśnie był stolicą polityczną kraju, że tu było namiestnictwo, sejm i wydział krajowy.

Od pierwszego zetknięcia się z moimi nowymi kolegami uniwersyteckimi zauważyłem, że przeważa wśród nich biedota, pochodząca z miasteczek wschodnio-galicyjnych, a nawet ze wsi. Nazwiska wskazywały, że jest wśród nich spora ilość przedstawicieli ludu, a więc warstwy, która w życiu kulturalnem Królestwa jeszcze żadnej roli nie odgrywała.

W Warszawie ani w gimnazjum ani w uniwersytecie nie miałem ani jednego kolegi, który byłby synem włościańskim. Wszystkie nazwiska, jakie pamiętam, miały albo brzmienie zdecydowanie szlacheckie, albo były nazwiskami mieszczańskimi o brzmieniu niemieckiem, a o zmienionej tylko pisowni, to znaczy, że Müller pisał się Miller, Schneider — Sznajder, Schuhmacher — Szumacher i t. p.

Tu natomiast, zarówno wśród Polaków, jak wśród Rusinów, których była spora liczba na uniwersytecie, przeważały nazwiska ludowe.

Zainteresowało mnie to zjawisko i zacząłem się bliżej przyglądać temu materiałowi na przyszłą polską inteligencję. Nie odniosłem jednak wrażeń korzystnych. Byłem przekonany demokratycznych i przez głowę mi nie przeszło jakiegokolwiek wynoszenie się nad innych. Nie mogłem jednak nie spostrzec, iż pomiędzy młodzieżą, z którą dotych-

czas obcowałem, a młodzieżą, którą zaczynałem poznawać tutaj, istnieje duża różnica w kulturze duchowej, umysłowej i obyczajowej.

To, że młodzież tej kategorii wyglądała ubogo, budziło we mnie współczucie, to jednak, że zakres jej zainteresowań intelektualnych był bardzo szczupły, że poza przepchaniem się przez uniwersytet nic jej zgoła nie obchodziło, że nie przez nią ale daleko obok niej przechodziły współczesne prądy ideologiczne, które mnie i moich kolegów warszawskich niosły na swojej fali ku nieznanym brzegom polskiego i ogólnoeuropejskiego jutra — to napawało mnie rozgoryczeniem.

— Jakto? — zadawałem sobie pytanie. — Tu, gdzie wszystko wolno, gdzie jest taki łatwy dostęp do nauki, gdzie żandarm nie nadśluchuje, czy kto przypadkiem nie wypowie wyrazów: „niepodległość” albo „socjalizm”, gdzie w bibliotece uniwersyteckiej można znaleźć setki książek „niecenzuralnych” w rozmaitych językach — panuje zupełna obojętność dla zagadnień społecznych i politycznych, które tam, w kraju niewoli, rozplaminiają nam mózgi?

Koledzy moi, coprawda młodszy ode mnie o lat kilka, bo ja, w porównaniu z nimi, byłem już „starym studentem”, wydawali mi się zgoła dziećmi w swoich rozmowach i bardzo naiwnych albo nawet ignoranckich sądach o Królestwie, o jego położeniu, o Rosji, o nurtujących w niej ruchach rewolucyjnych, na których my, tam, za kordonem

opieraliśmy nasze złudne nadzieje. Poziom ich inteligencji — wywnioskowałem — odpowiada co najwyżej poziomowi naszych szóstoklasistów. I z takiego materiału ma się po kilku latach pobytu w uniwersytecie utworzyć elita, powołana do kierowania krajem? Z tego środowiska wyjdą posłowie na sejm i do rady państwa, urzędnicy, nauczyciele, publicyści i t. p. funkcjonariusze zbiorowego życia narodu?

Był to sąd ogólnikowy młodzieńca równie jeszcze niedojrzałego, jak tamci, ale świadomego już swoich obowiązków wobec społeczeństwa i narodu.

Zapominałem jednak, że ja mam już za sobą rok samotnych rozmyślań w Orsku i rozległe w stosunku do mojego wieku czytanie, oni zaś nie mają jeszcze nic poza szkołą średnią.

Nie rozumiałem także wówczas, że reakcja na niewolę nie mogła tu mieć takiego samego napięcia, jak tam, że różnice między dwiema dzielnicami w ustroju politycznym były jednak olbrzymie, że stąd punkty zapatrywania się na rozmaite kwestje musiały być dalekie od siebie.

Nie zdawałem sobie wreszcie sprawy z tego, że to, co uważałem za „normalne” i pożądane, było raczej „anormalnem” i niepożądane, że przedwczesne życie konspiracyjne było „życiem nad stan”, że wciągało ono młodzież przed zdobyciem odpowiedniego przygotowania w wir polityki i sprawiało, że rwała się ona do ról, należących

z natury rzeczy do ludzi dojrzałych, a więc do pokolenia starszego.

Inna rzecz, że w Królestwie wszystko składało się na to, żeby tak było, że starsze pokolenie dobrowolnie wypuszczało ster z ręki i ustępowało miejsca młodzieży, która mogła i chciała się narażać.

W Galicji ówczesnej tego nie było. Tu było jawne życie polityczne, był sejm, były stronnictwa, które przeprowadzały swoich kandydatów do ciał prawodawczych, była prasa, wolna od cenzury politycznej. Na wszystkich tych polach pracowało pokolenie starsze, dla młodzieży akademickiej nie było tam miejsca. Powinna więc ona była spokojnie i cierpliwie czekać na swoją kolej.

Ale ten właśnie spokój i cierpliwość raziły mnie, przyzwyczajonego do buntu, do przeciwstawiania się pogodzonemu z losem Polski elementom ładu i porządku.

Napełniało mnie to goryczą tem bardziej, gdy przekonałem się, że tu nikt, jak mi się wydawało, o niepodległości Polski nie marzy, że ideałem wszystkich jest co najwyżej to, aby kiedyś, w szczęśliwych warunkach, Królestwo mogło połączyć się z Galicją pod miłościwem berłem cesarza Franciszka Józefa, który „kocha Polaków” i który przyjmie ich chętnie do korony austriackiej.

Z tym Franciszkiem Józefem miałem zaraz na wstępie dość zabawną przygodę.

W dwa czy trzy tygodnie po przyjeździe moim do Lwowa, gdy byłem już zameldowany, otrzymałem wezwanie do stawienia się w c. k. policji u komisarza Engla.

Poszedłem. Dopytałem się o owego Engla i zaprowadzono mnie do niego. Wszedłem do małego, przesyconego dymem tanich cygar pokoiku, gdzie za biurkiem siedział niskiego wzrostu, o twarzy obrzękłej i posiwiałym zaroście urzędnik w starym wyświechtanym surducie ze złotymi guzikami.

Przedstawiłem mu się.

— A to dobrze. Chciałem pana poznać osobiście — rzekł, wyciągając ku mnie rękę. — Proszę o pański paszport.

Podąłem mu paszport.

Obejrzał go starannie na wszystkie strony. Sprawdził, czy jest wiza konsulatu austriacko-węgierskiego w Warszawie, czy jest stempel graniczny, poczem zwrócił mi dokument ze słowami:

— Wszystko w porządku.

Chciałem już odejść, ale niespodziewanie pan komisarz Engel zatrzymał mnie jeszcze uprzejmym gestem.

— Niech pan siada, pogawędzimy chwilę.

Usiadłem.

— No, niech mi pan opowie teraz, jak to tam było na Syberji.

— Ależ ja nigdy na Syberji nie byłem.

— A my wiemy, że pan był, bo policja musi wiedzieć wszystko. Niech się pan nie zapiera.

Wytłumaczyłem mu, że nie mam najmniejszego zamiaru ukrywać prawdy, ale że Syberji rzeczywiście nie znam. Jeżeli zaś idzie o moje zesłanie, to byłem w Orsku, w stepach orenburskich, które należą jeszcze do Rosji europejskiej.

Pan komisarz Engel nie protestował już przeciw temu.

Zkolei ja go zagadnąłem.

— Ale niech mi też pan powie, panie komisarzu, co pana naprowadziło na to pytanie. Nieślychanie to dla mnie ciekawa rzecz, jaką drogą doszły pana wiadomości o mojem wygnaniu.

— Ach, to rzecz bardzo prosta. Przyjechał pan do Lwowa, zemeldował się jako poddany rosyjski z Warszawy, więc zapytaliśmy policję warszawską o pana. Policja na całym świecie jest z sobą w kontakcie. Tak już musi być z rozmaitych względów. Z Warszawy też mamy o panu informacje.

Tu stuknął kostką trzeciego palca prawej ręki w leżący przed nim na biurku jakiś papier.

— Ale poco to panom?

— Jakto poco? Chce pan tu mieszkać, chce pan tu studjować, więc musimy wiedzieć, kim pan jest. Zresztą, proszę się nie niepokoić. My nawet takim jak pan pozwalamy tu pozostać, proszę tylko nie zapominać, że jest pan gościem na austriackiej ziemi.

O mały włos nie parsknąłem śmiechem na te słowa.

Powstrzymałem się jednak i spokojnie odpowiedziałem:

— Dziękuję, ale kto to jest „my”.

Komisarz Engel spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Poczem wstał i, wskazując ręką na wiszący na ścianie oleodrukowy wizerunek cesarza, wypowiedział z namaszczeniem:

— Oczywiście najjaśniejszy pan, łaskawie nam panujący Franciszek Józef.

Przylgnąłem oczami do portretu, aby nie patrzeć w twarz panu komisarzowi, bo znów śmiech mnie wewnątrz rozsadzał.

Na szczęście ktoś zapukał do drzwi i audjencja była skończona.

W korytarzu dopiero dałem upust ogarniającej mnie wesołości na myśl, że oto tu, we Lwowie, w mieście ślubów Jana Kazimierza, jestem tolerowanym przez samego cesarza austriackiego i króla węgierskiego „gościem na austriackiej ziemi”.

Tragiczny komizm, zawarty w tych wyrazach, źle mnie usposobił do Galicji.

Powoli dopiero, gdy rozszerzały się moje stosunki, gdy zacząłem poznawać więcej ludzi z poza uniwersytetu, gdy zaczęły mi się oczy otwierać na wiele korzystnych dla całego narodu rzeczy, które istniały w Galicji, rozgoryczenie moje mijało, ustępując miejsca pilnej i rozważnej obserwacji. Nie przestałem tylko nigdy ubolewać nad tą młodzieżą akademicką, która przebijała się przez uniwersytet w opłakanych warunkach, literalnie głodu-

jąc, bo ileż zarabiał taki praktykant u adwokata albo w sądzie? Całych 12 guldenów na miesiąc! Jak za te pieniądze mieszkał, jak się ubierał i co jadał — łatwo obliczyć.

A w takich warunkach znajdowała się większość studentów przepełnionego uniwersytetu lwowskiego. Odżywiali się oni po drugorzędnych „mleczarniach“, spożywając na obiad i na wieczerzę po porcji ziemniaków i szklance mleka — nic więcej. Mięso dla wielu z nich było zbytkiem, na który mogli sobie pozwalać bardzo rzadko, chyba w domu, u rodziców.

Kiedy się temu przyjrzałem, przestałem się dziwić, że ta młodzież nie myśli o niczem innem, jak tylko o tem, żeby jak najprędzej skończyć studia, zdać przepisane egzaminy i otrzymać skromne stanowisko „auskultanta“ sądowego lub „koncypienta“ w służbie politycznej, i że jeszcze na ławie uniwersyteckiej, jak o najwyższem szczęściu, marzy ona o „złotym kołnierzu“, obliczając, ile lat trzeba przesłużyć, aby dojść do tej wysokiej rangi.

Ilu z nich jednak nigdy do niej nie doszło, ilu padło w pół drogi, umierając przedwcześnie na gruźlicę, tego żadne roczniki statystyczne nie podają, a jednak, kto pamięta ówczesne stosunki w Galicji, wie, jak wyglądała rzeczywistość.

Przyczyna tego tkwiła niewątpliwie w nadmiernej parciu młodzieży galicyjskiej do uniwersytetów. I w Krakowie i we Lwowie, nawet w Czer-

niowcach, było przepełnienie. Zwłaszcza wydział prawny, jako droga do kariery biurokratycznej, liczył słuchaczy na tysiące. Rozsadziliby oni mury starego uniwersytetu przy ul. Mikołajskiej, gdyby chcieli wszyscy bywać na wykładach!

Pragnienie zdobycia *quand même* wyższego wykształcenia utożsamiało się tutaj z pragnieniem chleba.

W kraju o bardzo gęstym zaludnieniu, gdzie nie było przemysłu ani handlu na większą skalę, gdzie struktura gospodarcza, dzięki polityce ekonomicznej Wiednia, pozostawiała wiele do życzenia, jedyną perspektywą osiągnięcia jakiego takiego bytu, bo „dobrobyt” właściwy był tu zjawiskiem bez porównania rzadszem, niż w uprzemysłowionem i mającem otwarty zbyt na rynki wschodnie Królestwie — był urząd. Roiło się więc, bo roić się musiało od kandydatów na urzędników.

Szkoła średnia była łatwa i łatwo dostępna dla wszystkich. Nie było miasta, nawet miasteczka, które nie posiadałoby pełnego ośmioklasowego gimnazjum. Zato żadnych szkół zawodowych i jedna tylko na cały kraj, skromnie uposażona politechnika we Lwowie, wychowująca także inżynierów-urzędników. Po ukończeniu studiów służyli oni na kolejach, w Wydziale krajowym, który budował t. zw. „autonomiczne” szosy, w gazowniach miejskich i t. p. Garstka tylko najśmielszych rzucała się na naftę i szukała dla siebie wzoru w działalności Stanisława Szczepanowskiego, au-

tora słynnej w owym czasie książki p. t. „Nędza Galicji”.

Jako prawnik, miałem jednak w okresie studiów najbliższe stosunki z prawnikami. Tych nie-liczną garść spotykałem na wykładach.

Rozpocząłem słuchanie tych wykładów od prawa rzymskiego. Wykładał je prof. Stanisław Szachowski, małego wzrostu, przygarbiony staruszek, który jednak postacią swoją od razu zwrócił na siebie moją uwagę.

Dowiedziałem się potem, że pochodził on z Warszawy i że był ni mniej ni więcej tylko owym „Dziecięciem Starego Miasta”, uwiecznionem przez Kraszewskiego w „niecenzuralnej” powieści pod tym tytułem.

W roku 1861 był on studentem Szkoły Sztuk Pięknych i należał do organizatorów słynnych manifestacyj kościelnych. Potem musiał emigrować. Wyjechał do Paryża i tam studjował prawo w „Ecole de droit”. Następnie doktoryzował się w Pradze czeskiej i na podstawie tego „austriackiego” doktoratu otrzymał *veniam legendi* we Lwowie.

Był doskonałym znawcą prawa rzymskiego i wykładał ten przedmiot z zamiłowaniem, pełen zawsze uwielbienia dla geniuszu rzymskiego, dla przedziwnej zdolności konstrukcyjno-jurydycznej mózgów rzymskich, dla tych fundamentów wiecznotrwałych, na których od lat zgórą dwóch tysięcy opiera się cała nauka prawa.

Słusznie też głosił, że kto nie pozna dobrze zasad prawa rzymskiego, ten nigdy nie będzie dobrym prawnikiem.

Na egzaminach wymagał od studentów przede wszystkim „prawniczego myślenia”.

Ulubionem jego pytaniem, które zadawał nowicjuszm, było następujące:

— Jeżeli pan wejdzie na wieżę ratuszową i spojrzy stamtąd na miasto, to co pan zobaczy, jako prawnik?

Student po namyśle odpowiadał:

— Domy, ludzi, konie, wozy, ogrody...

— To widzi byle kiep, a ja pytam, co pan zobaczy, jako prawnik?

Student, oczywiście, był skonsternowany, profesor więc odpowiadał za niego:

— Będzie pan widział przedmioty i podmioty prawa, nic więcej.

Drugim „konikiem”, na którym jeździł, było zagadnienie wynagrodzenia za szkodę wyrządzoną.

Pytanie brzmiało:

— Niewolnik Marka Tuliusa prowadził za uzdę konia, który był własnością Liciniusa Lucullusa. Gdy przechodzili obok straganu z naczyniami glinianymi, koń wierzgnął i rozbił kopytami kilkanaście garnków. Ze straganu posypały się skorupy. Baba w krzyk i do pretora. Przedstawiła mu sprawę. Otóż jak pan sądzi? Co orzekł sprawiedliwy i mądry pretor?

Gdy student był w kłopotcie, profesor starał się go naprowadzić na właściwą drogę.

— Ile nóg miał koń? — zapytywał.

— Cztery.

— A ile ich miał niewolnik?

— Dwie.

— Więc...

Student milczał.

— Więc — wyjaśniał z uśmiechem profesor, rad z tego, że miał mysz w pułapce — Marcus Tullius jako właściciel niewolnika zapłacił $\frac{2}{3}$, a Licinius Lucullus, że do niego należał koń, $\frac{4}{5}$. W ten sposób szkoda została wynagrodzona całkowicie. No, widzę, iż nie mógłby pan być pre-torem rzymskim.

Prof. Szachowski wymagał też od uczniów, aby wiele określeń umieli wyrecytować napamięć, z zamkniętymi oczami.

Gdy zapytywał, co to jest *zobowiązanie*, należało odpowiedzieć bez zająknięcia:

„*Obligatio est juris vinculum quod necessitate adstringimur alicujus rei solvendae secundum civitatis nostrae jura*”.

Polszczyzna była tu zupełnie zbyteczna.

Na wykładach porywał go czasem zapal krasomówczy. Pamiętam, że gdy mówił o prawie małżeńskim u Rzymian starożytnych, unosił się nad idealizmem tego związku, który był, jego zdaniem, związkiem *par excellence* duchowym, nie mającym ani początku ani końca, co symbolizował pierścień.

Tymczasem — stwierdzał z ubolewaniem — prawo kościelne, wprowadzając swoje określenie „copula carnalis fecit nuptias”, uczyniło z małżeństwa raczej związek fizyczny.

Tu wchodził w kolizję z prof. Abrahamem, który starał się nas przekonać i przekonywał istotnie na wykładach prawa kościelnego, że właśnie „copula carnalis” ma swój głęboki sens, dzięki temu bowiem mamy „matrimonium ratum sed non consumatum”, które może być unieważnione, co wobec nieistnienia w Kościele katolickim rozwodów stanowi pożądane wyjście z trudnej nieraz sytuacji.

Prawo kościelne było przedmiotem dość suchoym, prof. Abraham potrafił jednak wykład swój urozmaicać. Kiedy np. opowiadał o elekcji papieża przez „zamurowanych” kardynałów, roztaczał przed oczami słuchaczy taki obraz, że, chociaż nigdy nie byłem w Rzymie podczas wyborów, zdaje mi się, że na własne oczy widziałem ów dymek, owo słynne *sfumato*, wzbijające się z historycznego komina w Watykanie.

Największą jednak zasługą profesora prawa kościelnego było to, że w wykład swój wplatał on mnóstwo cennych i zajmujących informacji z zakresu dziejów Kościoła w Polsce.

Nad dziejami temi pracował w archiwach watykańskich, miał więc sporo wiadomości takich, których nikt jeszcze poza nim nie posiadał. Dowiedziałem się od niego między innymi o tem, że już w wieku XIII, a później XIV-tym, a więc na długo

przed zaślubinami Jadwigi z Jagiełłą i chrztem Litwy, na Litwie było dobrych kilkadziesiąt tysięcy ludności polskiej, katolickiej, która z woli książąt litewskich miała swoją obsługę religijną, więc swoich kapłanów i swoje kościoły. Ludność ta pochodziła bądź ze zbiegłych polskich poddanych, którzy chronili się na ziemiach sąsiednich, bądź, w przeważającej liczbie, z jeńców polskich, branych podczas licznych na Polskę wypraw litewskich i osadzanych w dobrach wielkksiążęcych. Dowodziłoby to, że posiadamy na Litwie autochtonicznych Polaków, bo przez lat 700 nabyli oni tam niezaprzeczalnych praw ludności rdzennej.

Wogóle to, co prof. Abraham mówił o organizacji Kościoła w Polsce w wiekach średnich, było zawsze wysoce zajmujące i pouczające. Były to jednak, niestety, tylko dygresje od zasadniczych tematów prawa kościelnego.

Trzecim wykładem, na który uczęszczałem, był wykład „historji ustroju Polski” prof. Oswalda Balzera. Nie wiedziałem wówczas jeszcze nic o zasługach naukowych prof. Balzera, od razu jednak zorientowałem się, że mam do czynienia z umysłowością niepospolitą i z wiedzą rozległą.

Dla mnie, wychowanka szkoły rosyjskiej, wykłady te były rewelacją. Dawały mi one niejako wizję Polski dawnej, niepodległej, opartej o swój własny ustrój prawny, o swoją „magnum chartam libertatum” z r. 1505. Wszystko tu było dla mnie nowe, jeżeli bowiem nawet wiedziałem to i owo,

to były to okruchy wiadomości, luźnie pochwytanych, nie mających jednak nic wspólnego z rzeczywistą wiedzą. Tej wiedzy najczystsza krynica był dla mnie dopiero prof. Balzer. Zasłuchiwałem się więc w to, co mówił, i starannie notowałem jego słowa.

Znakomity autor „Genealogji Piastów” i „Genezy trybunału koronnego” mówił wyraźnie, potoczyście, dobrą polszczyzną. W sądach swoich był przedmiotowy. Oceniał należycie to, co było w ustroju Polski dobre, surowo zaś ale sprawiedliwie osądzał to, co prowadziło ją do nieuchronnego rozstroju. Nie był to jednak suchy historyczno-prawny wykład. Biło w nim zawsze serce obywatela, gorąco kochającego ojczyznę i szukającego w przeszłości pokrzepienia w niedoli dzisiejszej.

Wykłady te, jak również osoba prof. Balzera, odegrały w mojem życiu ważną rolę, dlatego muszę im poświęcić nieco więcej uwagi.

Kiedy po upływie roku na podstawie reskryptu ministerjum wiedeńskiego przystąpiłem do egzaminu prawno-historycznego i zdałem go z wynikiem tylko „dostatecznym”, bo z prawem rzymskiem poszło mi jakoś kulawo, miałem wrażenie, że ten wynik zawdzięczam prof. Balzerowi, któremu odpowiedziałem bardzo dobrze na wszystkie pytania i który, prawdopodobnie, wziął mnie w obronę wobec słusznych niewątpliwie zastrzeżeń prof.

Szachowskiego, z którym różniłem się nieco w zapatrywaniach na prawo spadkowe rzymskie.

Jak tam było rzeczywiście, nie wiem, dość, że nabrałem przeświadczenia, że do historii prawa polskiego mam większe uzdolnienie, niż do innych gałęzi nauki prawa, i w następnym roku, chociaż ten przedmiot już mnie nie obowiązywał, zapisałem się na seminarjum prof. Balzera.

Tam dopiero poznałem, co to jest nauka wogóle i zachowuję za to do dzisiejszego dnia wdzięczność dla czcigodnego profesora.

Było nas na tem seminarjum zgórą 20 studentów, kilkunastu prawników i kilku historyków. Z pośród prawników wyróżniał się przede wszystkim Przemysław Dąbkowski, ulubieniec Balzera, pracujący pod jego kierunkiem w archiwum Bernardyńskim. Dalej Franciszek Jaworski (późniejszy autor cennych i pięknie pisanych szkiców z przeszłości Lwowa, Adam Skałkowski i Jan Leszczyński, którzy w następstwie całkowicie przerzucili się na historję. Z pośród historyków Adam Szelągowski, mój dawny kolega warszawski i przyjaciel, który przeniósł się był właśnie wtedy z Krakowa do Lwowa, i kilku innych.

Praca seminaryjna polegała na źródłowym opracowywaniu tematów, które dawał profesor. Po napisaniu na zadany temat rozprawy składała się ją profesorowi, który naprzód sam ją czytał, a potem doreczał dla przestudjowania wyznaczono-

nemu przez siebie koreferentowi. Gdy koreferent, który musiał zapoznać się ze źródłami, był już gotów, następowało publiczne odczytanie rozprawy i koreferatu, poczem rozpoczynała się dyskusja. Zaczynał i prowadził ją profesor, brali w niej udział wszyscy członkowie seminarjum. Płynął stąd ogromny pożytek.

Otóż podczas mojego dwuletniego uczestniczenia w pracach seminarjum napisałem dwie rozprawy. Pierwszą na temat „Organizacja stanu bojarów na Wołyniu”, drugą „O prawie magdeburskiem na Wołyniu”. Obie rozprawy oparte były na studjum materiałów źródłowych, zawartych w wydanych do owego czasu tomach „Archiwum Sanguszków-Lubartowiczów” w Sławucie. Tematy te wyznaczył mi prof. Balzer z uwagi na to, iż mogłem swobodnie czytać akty, drukowane kyrilicą w języku białoruskim i ruskim.

Kiedy przyszło do odczytania pierwszej mojej rozprawy, kiedy już koreferent, Rusin, niejaki Tomaszewskij, wypowiedział swój na nią pogląd, formułując oględnie pewne, drobne zresztą, ze swojej strony zarzuty, zabrał wreszcie głos prof. Balzer. Mówił powoli, dobitnie, tak że każdy wyraz jego przemówienia przechował się w mojej pamięci do dzisiaj.

— Panie Dębicki — zaczął — Pan ma to, za co się Panu Bogu powinno na klęczkach dziękować. Pan ma talent pisarski.

Zaszumiało mi w głowie, serce zaczęło walić we mnie młotem. Po raz pierwszy w życiu mówił tak do mnie ktoś i to w dodatku nie byle kto — jeden z największych uczonych polskich. Jakby mnie na sto koni wsadził...

Oczywiście, po tym wstępie przyszła kolej na rozbiór krytyczny rozprawy. Okazało się, że poza formą literacką niema w niej nic, godnego uwagi ze stanowiska naukowego. Nastąpiła prawdziwie ojcowska, życzliwa reprimenda.

Balzer uczył nas, że stosunek do każdej pracy naukowej określa się przedewszystkiem odpowiedzią na pytanie „co nowego?” Jeżeli praca taka nie zawiera nic nowego, jeżeli jest tylko sto pierwszą rozprawą lub książką, napisaną na podstawie stu poprzednich, w takim razie w nauce jest ona zbyteczna.

Okazało się, że i moja praca należała do tej kategorii prac zbytecznych, gdyż nie umiałem wyzyskać dość umiejętnie źródeł i wyciągnąć z nich wszystkich wniosków.

Krytyka profesorska była sprawiedliwa, najsprawiedliwsza w świecie, i zrobiła swoje, bo następna rozprawa była już lepsza.

Ale ta pierwsza próba miała dla mnie fatalne następstwa. Balzer odezwaniem się swoim zaszczerpił we mnie przekonanie, że coś z tym „talentem literackim” powinienem zrobić.

Czy wyrządził mi tem przysługę, czy pchnął mimowoli na niewłaściwą drogę, tego do dzisiaj

nie wiem. Dość, że od tej pory przygasły we mnie ambicje naukowe, rozwinęły się zaś ambicje literacko-artystyczne.

Ale o tem potem.

Narazie studjowałem dalej prawo. Na trzecim roku słuchałem z zapałem wykładów ekonomji politycznej prof. Stanisława Głąbińskiego. Był on wówczas posłem do rady państwa w Wiedniu, przyjeżdżał jednak co czas pewien na kilka tygodni i doskonale prowadził wykłady. Mówił gładko, z pamięci, w sposób jasny i zrozumiały. Znać było, że doskonale owładnął przedmiotem.

Głąbiński był na katedrze następcą Leona Bielińskiego. Zapowiadał się jako wybitny uczony. Pierwsza jego książka p. t. „O systemie fizjokratów” należała do najlepszych polskich prac naukowych w tym zakresie i w owym czasie. Polityka jednak czynna, która wciągnęła go w swoje wiry i której poświęcił się potem całkowicie, oddalała go coraz bardziej od nauki czystej a czyniła swoim wyłącznie sługą.

Z wykładów prof. Głąbińskiego wiele jednak skorzystałem. Idąc za jego wskazówkami, zacząłem studjować ruch spółdzielczy w Galicji, wertując roczniki statystyczne, wydawane przez Wydział krajowy. Znalazłem tam sporo ciekawego materiału, dotyczącego przemysłu drobnego, i napisałem na ten temat szereg artykułów, które wydrukowałem w wychodzącej podówczas we Lwowie pod redakcją dra Wiktora Ungara „Gazecie

handlowo-geograficznej". Niektóre z tych artykułów przedrukowały inne pisma.

Zainteresowałem się także wykładami prawa karnego, nauką o więziennictwie i filozofją prawa karnego. Prawo karne wykładał prof. Gryziecki. Był on przedtem długie lata prokuratorem. Znał więc ustawę karną nawylot. Wykład jego był rzeczowy, mający nawskroś praktyczne cele na widoku, a stąd mało zajmował. W stosunku do roli sędziów koronnych w wymiarze sprawiedliwości Gryziecki był sceptykiem.

— Paragrafy w kodeksie — mówił — są jak klatki. Cała rola sędziego koronnego polega na tem, aby umiał wprowadzić danego przystępcę do danej klatki. Mieści się, dobrze. Nie mieści się, trzeba dla niego szukać nowej klatki, aż wreszcie natrafi się na właściwą. Dopasowanie przestępstwa do paragrafu jest tu więc wszystkiem. Reszta już idzie drogą zupełnie mechaniczną.

Z wykładów, które prowadził prof. Gryziecki, najbardziej zainteresował mnie wykład historyczny austriackiego prawa prasowego na szerokiem tle ogólno-europejskiej walki o wolność słowa drukowanego. Było to *collegium publicum* i nie mogłem wyjść z podziwu, że tak mało uczęszczało na nie słuchaczy, gdy przedmiot był tak bardzo zajmujący.

Jeszcze mniej słuchaczy miał doskonale wykładający filozofję prawa karnego prof. Ostrożyński. Bywało nas na jego prelekcjach wszystkiego

pięciu czy sześciu, bo przedmiot nie był obowiązkowy, a każdy słuchacz uniwersytetu lwowskiego zapisywał się tylko na te przedmioty, których wysłuchanie było niezbędne do otrzymania absolutorjum. Za każdą godzinę tygodniowo płacono się czesne w wysokości 1 guldena i 5 centów za półrocze, a że nawet uiszczenie tak niskiej opłaty sprawiało wielu studentom kłopot, przeto „nadobowiązkowe” wykłady miały znikomą liczbę uczęszczających.

Tak było właśnie z filozofią prawa karnego, mimo, że prof. Ostrożyński wyładał świetnie i wprowadzał słuchaczy w krąg najpoważniejszych zagadnień społecznych i filozoficznych, roztrząsając pojęcia zbrodni i kary.

Mając kilku tylko, lecz zato gorliwych uczniów, którzy nie opuszczali ani jednego wykładu, zapraszał on nas niejednokrotnie po wykładzie, zwyczajem niemieckim, „na piwo”. Tam gawędził z nami *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, a że był to człowiek bardzo odcytany, doskonale znający całą kryminologiczną literaturę europejską, przeto wiele korzystaliśmy z tych rozmów. Pewnego razu szczególnie gorąco dysputowaliśmy z nim na temat przestępstw politycznych. Przeczytałem był wówczas świeżo książkę Louis Proala p. t. „La criminalité politique”. Rozmawialiśmy na jej temat, a w szczególności na temat zależności przestępstw politycznych od ustroju politycznego danego kraju. Ja twierdziłem, że przestępstwo po-

lityczne jest tylko i wyłącznie czynnikiem złego ustroju i przytaczałem przykłady z życia Rosji współczesnej. Profesor, przeciwnie, był zdania, iż i w najlepszym ustroju mogą się zdarzać zbrodnie polityczne, źródłem ich bowiem jest przede wszystkim namiętność, przeradzająca się w fanatyzm polityczny.

Rozmowa ta stanęła mi żywo w pamięci po latach, w dniu zabójstwa prezydenta Narutowicza przez Eligjusza Niewiadomskiego. Polska była już wtedy krajem wolnym, miała świeżo uchwaloną najliberalniejszą konstytucję w Europie, na podstawie tej konstytucji zgromadzenie narodowe wybrało pierwszego prezydenta, a jednak zbrodnia zabójstwa politycznego została popełniona i to przez człowieka, po którym nigdy podobnego czynu spodziewać się nie było można.

Pomyślałem wówczas, że profesor Ostrożyński miał słuszość.

Do przedmiotów, które mnie interesowały, należało jeszcze prawo polityczne, czyli państwowe, wykładane przez prof. Stanisława Starzyńskiego.

Był to mężczyzna postawny, pięknej, typowo polskiej urody, ubrany zawsze wytwornie i w ruchach wykwinny. Gdy wchodził do audytorjum, witał słuchaczy poprawnym ukłonem z pochyleniem głowy, jak przy wejściu do salonu, poczem zasiadał na katedrze i rozpoczynał lekcję. Mówił swobodnie, zajmująco, z dużą erudycją. Był doskonałym znawcą prawa konstytucyjnego austrija-

ckiego i ustrojów państw innych. Z przekonania zachowawca, krytycznie i ostrożnie traktował zbyt daleko idące zaufanie demokratyczne do ludu, biorącego udział w rządach i „pragnącego” za te rządy ponosić odpowiedzialność. Uwagi jego były na czasie, wprowadzono bowiem właśnie wtenczas do austriackiej ordynacji wyborczej t. zw. „piątą kuryję”, która wciągała do życia politycznego warstwy, dotychczas nie posiadające czynnego prawa wyborczego. Triumfowała z tego powodu socjalna demokracja pod wodzą Daszyńskiego, gdy prawica i środek zachowywały się wobec tej reformy bardzo powściągliwie.

Wykłady prof. Starzyńskiego były dla mnie bardzo zajmujące, gdyż wprowadzały mnie, wychowanego „poza Europą” i „poza prawem”, w okresie reakcyjnych rządów samowładcy takiego, jakim był car Aleksander III, w sferę zagadnień ustrojowych zachodnio-europejskich. Niepostrzeżenie też pod wpływem tych wykładów „europeizowałem się”, zaczynając patrzeć na świat nie tylko przez zakratowane okno polskiego więzienia, w jakim siedzieliśmy w Królestwie. Nabrałem, można powiedzieć, oddechu i orjentacji w ogólnie-europejskich stosunkach politycznych. Zacząłem rozumieć, czym jest państwo konstytucyjne i o ile łatwiej jest w nim być każdemu dobrym obywatelem.

Prof. Starzyńskiemu zawdzięczam też, że zacząłem myśleć politycznie, posługując się w for-

mowaniu swoich poglądów już nie tylko materiałem uczuciowym lecz i rozumowym. Światły, zrównoważony, spokojny umysł profesora, który jednoczył w sobie wiedzę uczonego z praktycznym doświadczeniem posła do rady państwa, wywierał wpływ na mnie bardzo dodatni. Zwolna też osiadały się w moim mózgu fermenty rewolucyjne typu wschodniego, a w miejsce ich krystalizował się światopogląd zachodni.

Jakżeby się cieszył był wówczas mój ojciec, widząc tę zachodzącą we mnie przemianę. Zresztą ja sam czułem nawet nawpół świadomie, że wyrastam z jakiegoś półbarbarzyństwa, a wchodzę w okres rzeczywistej cywilizacji.

Za posianie w moim umyśle tych ziarn europejskich wdzięczny jestem do dzisiaj prof. Starzyńskiemu.

Inne wykłady na wydziale prawnym interesowały mnie już w znacznie mniejszym stopniu. Uczęszczałem na nie, bo postanowiłem sobie być wzorem studenta. Ale „historji prawa niemieckiego”, wykładanej przez prof. Janowicza, służyłem już zgoła obojętnie. Na wykłady zaś „historji Austrii” prof. Izydora Szaraniewicza chodziłem „dla rozrywki” wraz z Adamem Szelańskim, z którym zaśmiewaliśmy się razem z uwielbienia profesora dla Austrii. Mieliśmy obaj obowiązek „dosłuchania” tego przedmiotu, więc dosłuchiwaliśmy go „na wesoło”. Profesor Szaraniewicz był zupełnie starym człowiekiem, który dawno już

powinien był być na emeryturze. Rusin i autor kilku wartościowych podobno nawet prac historycznych w języku ruskim i niemieckim, w owym czasie był on już zupełnie *ramolli*. Doszliśmy do wniosku, że „w młodości” musiał się kochać w Marji Teresie, ilekroć bowiem mówił o niej, roztkliwiał się tak, że nie mógł nic innego powiedzieć ponad wyrazy: „Marja Terezja (tak wymawiał) moi panowie, oo! Marja Terezja, oo! moi panowie!”

Poza tem był to człowiek bardzo poczciwy, który za samą obecność na swoich wykładach stawiał już na *colloquiach* stopień celujący. *Colloquium* takie nie było mi potrzebne, bo nie starałem się o zwolnienie z opłaty czesnego, mimo to „zdawałem je” razem z innymi, to znaczy dałem profesorowi do podpisu odpowiedni blankiet, na którym wykalił grafował on „celująco”.

Nie umieli także wzbudzić we mnie zapału dla swoich przedmiotów ani prof. Ernest Till, który według wydanego przez siebie podręcznika wykładał sucho austriackie prawo cywilne, ani prof. Balasits, który uchodził za doskonałego specjalistę w dziedzinie nowej procedury cywilnej, świeżo właśnie wówczas w Austrii wprowadzanej. Suche też i mało dla mnie zajmujące były wykłady prof. Tadeusza Pilata, który czytał z notatek „prawo administracyjne” i „statystykę”.

Dopiero pod sam koniec studiów obudził we mnie nieco więcej zaciekawienia prof. Roszkowski

swoim wykładem „prawa międzynarodowego”. Było to wyjście z ciasnych ram „austrijackości” na szersze przestrzenie ogólnoeuropejskich stosunków i to widocznie mnie pociągało, gdyż sam wykład nie odznaczał się dostatecznym pogłębieniem naukowym. Na wykładach tych spotykałem dr. Joachima Bartoszewicza z Warszawy. Ukończył on był przed kilkoma laty medycynę, widocznie jednak praktyka lekarska nie dawała mu zadowolenia, porzucił ją bowiem i przeniósł się do Lwowa, gdzie rozpoczął regularne studia prawnicze. Było to przygotowanie do późniejszej owocnej jego działalności politycznej na terenie Kijowa i Warszawy, co doprowadziło go do zasłużonego krzesła senatorskiego w wolnej Rzeczypospolitej.

Przystojny, elegancki blondyn, zawsze w cylindrze i zawsze w rękawiczkach, zasiadał on w pierwszej ławce i słuchał bardzo uważnie. Wskutek poważnego wyglądu młodzi, przybywający na zakończenie półrocza z prowincji studenci, zaczepiali go nieraz na korytarzu, prosząc o t. zw. testy, czyli zaświadczenie w swoich indeksach. Nie mogli wyjść z podziwu, dowiadując się, że to nie profesor, ale taki sam słuchacz, jak i oni.

Pociągnął mnie jeszcze ponownie ku sobie sposobem i formą wykładu prof. St. Głabiński, który na czwartym roku wykładał „naukę o skarbowości”. Nie spodziewałem się, aby zagadnienia fiskalne mogły mnie tak zająć, a jednak z przy-

jemnością i pożytkiem słuchałem o rozmaitych sposobach wydobywania przez państwo pieniędzy z kieszeni obywateli. Na to zainteresowanie się skarbowością wpłynęło niewątpliwie także i to, że cała Galicja narzekała wówczas na śrubę podatkową, którą Wiedeń naciskał coraz bezwzględniej. Szczególnie dotkliwy dla ludności a zwłaszcza dla wolnych zawodów był t. zw. podatek zarobkowy czyli dochodowy, który wywoływał mnóstwo nieporozumień i protestów. Urzędnicy skarbowi byli wskutek tego naogół nie lubiani i stanowili przedmiot licznych anegdot.

Opowiadano sobie np. o psie, który połknął nową koronę (świeżo właśnie wprowadzono wówczas walutę koronową). Właściciel psa był srodze tem strapiiony, gdyż obawiał się o życie ulubieńca. Chciał go uratować. Żaden weterynarz nie mógł pomóc. Wkońcu, idąc za radą przyjaciela, wezwał do chorego psa poborcę skarbowego. Ten zacytował odpowiedni paragraf ustawy i, o dziwo! koronówka wyszła natychmiast, bez bólu, odpowiednią drogą. Pies był uratowany, ale poborca skonfiskował koronówkę na dobro skarbu austriackiego...

Przykładając się do nauki o skarbowości, nie przypuszczałem ani na chwilę, że rychło ta właśnie nauka przyda mi się, i że będę miał z niej praktyczne korzyści.

Wśród profesorów uniwersytetu lwowskiego wdzięczność moją zaskarbił sobie jeszcze prof.

Kazimierz Twardowski. Słuchałem jego wykładów „psychologii” i „etyki”. Oba te wykłady były na bardzo wysokim poziomie.

Prof. Twardowski był wtedy jednym z najmłodszych profesorów. Studja odbywał w Wiedniu i tam się doktoryzował. Mówił nawet po polsku z niemieckim akcentem. Wykładał jednak wprost znakomicie. Wiedza jego była gruntowna i rozległa. Umiął do niej przekonywać, umiał zachęcać do samodzielnych badań. Wkrótce też stworzył we Lwowie najpoważniejszy bodaj w Polsce ośrodek filozoficzny, skupiając dokoła siebie szereg młodych sił, przeważnie swoich uczniów.

Była chwila, kiedy po ukończeniu wydziału prawnego chciałem jeszcze pozostać w uniwersytecie i zapisać się na filozofję dla studjów specjalnych u Twardowskiego, ale stanęła temu na przeszkodzie wspomniana wyżej skarbowość. Oto zaproponowano mi niespodziewanie — o czym będzie mowa niżej — abym przyjął w Związku Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych stanowisko referenta do spraw podatkowych i obrońcy przed niesprawiedliwym wymiarem podatków. Ofiarowano mi, jak na stosunki galicyjskie, bardzo dobrą pensję — 200 koron miesięcznie, co wzbudziło zazdrość w wielu moich kolegach lwowskich, którzy sarkali nawet na to, iż im „chleb odbieram”. Zapewniłem ich jednak, że to nie na długo, i zasiadłem do biurka, aby pisać „rekursy” i brać

w obronę skrzywdzone przez urzędy skarbowe stowarzyszenia spółdzielcze. Zatrzymało mnie to jeszcze o rok dłużej we Lwowie.

W rezultacie więc spędziłem w tem mieście zamiast trzech całe cztery lata, od października 1895 do października 1899 roku.

Zadzierzgnęło to pomiędzy mną a Lwowem niejeden węzeł uczuciowy i dało mi bogaty materiał wspomnieniowy.

P I E R W S I Z N A J O M I

Życie moje we Lwowie było początkowo dość samotne. Miałem oparcie o rodzinę, o dom mego stryja, i to mi w zupełności wystarczało.

Październik był pogodny, włączyłem się więc po mieście i starałem się je poznać. Niemal codziennie bywałem na Wysokim Zamku a stamtąd, dla gimnastyki mięśni, wchodziłem po osypującej się serpentynie na podmurowaniu kamiennem na kopiec Unji lubelskiej. Wiedziałem już, że inicjatorem jego usypania był Franciszek Smolka, że, w chwilach wolnych od zajęć, przychodził tu sam, zrzucał surdut i woził taczkami ziemię, dając przykład innym, jak czynić należy.

Na szczycie tego kopca drzemał sobie melancholijny, niedostatecznie uszanowany, jako zabytek, stary, kamienny lew, godło miasta, pochodzące podobno jeszcze z zamku książąt ruskich.

Z tym lwem toczyłem nieme rozmowy, to znaczy, on milczał, a przez moją głowę toczyły się również w milczeniu najrozmaitsze myśli, związane z przeszłością tego „zawsze wiernego” miasta i z moją w jego murach przyszłością.

Po kilkunastu już dniach Lwów zaczął dla mnie nabierać uroku. Podobała mi się jego cisza, jego spokój w porównaniu z gwarem i harmidrem

Warszawy. Ciągnęła mnie ku sobie zieleń jego parków, chociaż mocno już przetkana złotem jesieni.

Z łatwością też znalazłem w śródmieściu kilka punktów oparcia dla duszy. Był to przede wszystkim kościół Bernardynów, gdzie w stalach zwrócił moją uwagę szereg ciekawych, naiwnie malowanych obrazków, przedstawiających „cudowne ocalenie” jakiegoś szlachcica, którego poniosły konie wraz z karocą i który z tej przygody wyszedł cało tylko dzięki Opatrzności.

Lubiłem tam pójść o zmroku i patrzeć w czerwony, migotliwy płomyk lampy, palącej się przed głównym ołtarzem.

Szczególnie upodobałem sobie także kaplicę Boimów na tyłach katedry i wstępowałem tam zawsze na krótką chwilę, o ile byłem w tamtych stronach, aby podziwiać ten ciekawy zabytek baroku.

Miała dla mnie także swoją wymowę architektoniczną piękna cerkiew wołoska, — i do jej wnętrza zaglądałem nieraz z ciekawością.

W Rynku żywiłem sentyment tylko dla kamienicy Sobieskiego, bo wogóle dla tego króla od lat dziecięcych miałem kult głęboki. Z radością też powitałem później jego pomnik dłota Barącza, dzwignięty na Wałach Hetmańskich.

Powab zacisza miał dla mnie kościółek św. Miłkołaja i cały pojezuicki budynek Uniwersytetu.

Ze wzruszeniem mijałem zawsze nienaruszony jeszcze wówczas dworek Fredry, ukryty w obszer-
nym ogrodzie, oddzielonym od ulicy drewnianymi
sztachetami.

Nie lubiłem natomiast i unikałem ul. Karola
Ludwika, gdzie czułem się nad wyraz obco wśród
przechadzającej się tam publiczności, która roz-
mawiała przeważnie po niemiecku. Była to lwow-
ska inteligencja i półinteligencja żydowska, która
tę główną arterję obrała sobie na miejsce wieczor-
nych przechadzek i schadzek na wzór wiedeńskiej
Kärtnerstrasse.

Czasem pobrzękiwały tu także wleczone po
trotuarze szable oficerów austriackich, śpieszą-
cych na swoje codzienne piwo do modnego Szkow-
rona, lub innej, podrzędniejszej restauracji.

Publiczność spacerująca dochodziła zwykle do
hotelu George'a, pod którego staremi, pomalowa-
nemi na żółty kolor murami stał „durny Jasio”,
prawiący przechodniom morały i perorujący
w swoim ultra-lwowskim dialekcie od rana do wie-
czora. Tolerowany przez policję, lubiany przez
publiczność, korzystał on z wyjątkowej swobody
słowa. Nieraz też wypowiadał ostre, niepozba-
wione dowcipu uwagi satyryczne o stosunkach
społecznych i politycznych, świadczące, że pod je-
go żebraczemi łachmanami kryła się swoista filo-
zofja.

Na rogu ul. Akademickiej następował w prawo
zwrot, i fala wracała ku ul. Grodeckiej.

Był to jakby graniczny punkt między miastem żydowskim a nieżydowskim. Na placu Bernardyńskim z jednej strony, a na ul. Akademickiej z drugiej już było słyszeć tylko język polski, rzadka, z bardzo rzadka ruski.

W ten sposób na ulicach nabierałem powoli orientacji w stosunkach ludnościowych Lwowa.

Nie lubiłem także, mimo całej okazałości i niezaprzeczonego piękna tej budowli, św. Jura, jakby w przeczuciu, że kryje się tam i knuje zdrada przeciw Polsce.

Ale o wrogim stosunku Rusinów do Polaków nic wówczas nie wiedziałem, tem bardziej, że wtedy nie było jeszcze zewnętrznych objawów tej wrogości.

Zapewne, istniała już agitacja, bo nienawiść nie rodzi się z dzisiaj na jutro, ale nienawiść ta chowała się jeszcze po kątach „Narodnego Domu” i bursy teologów unickich, przenikając stamtąd dopiero powoli na ławy uniwersyteckie, gdzie Rusini trzymali się już osobno i unikali wyraźnie stosunków z Polakami, co zresztą, jak się potem przekonałem, było wzajemne.

Co do mnie, starałem się nawet zawiązywać z nimi znajomości, gdyż miałem dla Rusinów sympatię, opartą na moich wspomnieniach podolskich i wołyńskich. Mówiłem ich językiem i znałem całe mnóstwo pieśni i piosenek ukraińskich, które tak cudownie wyśpiewywał przy dźwiękach drumli „nasz sędzia”, Szabliowski, na Wołyniu, częsty

gość w domu moich rodziców, chociaż Rusin z Kijowszczyzny. Był to jednak w gruncie rzeczy pół Polak, i za takich uważałem wszystkich Rusinów. Niestety, było inaczej. Wśród poznanych na uniwersytecie Rusinów spotkałem się z zupełnym brakiem zaufania do mojej osoby. Najwidoczniej uważali mnie za „prowokatora” i trzymali się w rezerwie. Koleżeński, przyzwoity stosunek ustalił się tylko pomiędzy mną a dwoma braćmi Rudnickimi, z których jeden, ułomny, był prawnikiem, drugi studjował filozofję i wybił się potem, jako znany geograf; poza tem zaznajomił się ze mną z własnej ochoty prawnik, niejaki Zajaczkiwski, przerobiony najprawdopodobniej z Zajaczkowskiego, bywały bowiem już wtedy wypadki, że Polacy, urodzeni na Rusi, uważali się za Rusinów i deklarowali się, jako tacy, podobnie, jak w pewnym momencie u nas byli Polacy, urodzeni na Litwie, którzy głosili, że są „Litwinami” i nagwałt uczyli się po litewsku. I tu i tam były to jednak wyjątki. Ów Zajaczkiwski miał gdzieś majątek w Galicji wschodniej, i kiedy się raz zgadało o polowaniu, zapraszał mnie gorąco do siebie. Z zaproszenia tego nie skorzystałem.

Wracam jednak do Lwowa. Miałem w nim jeszcze jedno miejsce, do którego zaglądałem często tej mojej pierwszej jesieni. Była to panorama racławicka w parku Stryjskim (Kilińskiego). Wywarła ona na mnie ogromne wrażenie, które utrwalałem w sobie, chodząc tam niemal w każdą nie-

dzielę i święto. Pozostała ona po wystawie Kościuszkowskiej poprzedniego 1894 roku.

Cały Lwów żył jeszcze wówczas wspomnieniem tej wystawy, która stanowiła przełomowy moment dla miasta. Ocknęło się ono pod jej wpływem do nowego życia, jakby strząsnęło z siebie ostatnie pozostałości dawnej epoki germanizacyjnej z przed roku 1869. Powiał nowy duch. Obudził się silny patriotyzm, oparty na wierze we własne siły. I słusznie, Lwów bowiem zdał wówczas egzamin z tych swoich sił. Wystawa zorganizowana była dobrze i dała jak najpomyślniejsze wyniki moralne dla całego kraju, poniekąd nawet dla całej Polski.

Nie widziałem, niestety, tej wystawy, odbywałem bowiem wówczas swoje rekolekcje w Orsku, ale z tych śladów po niej, które zastałem jeszcze pod koniec 1895 roku i z którymi spotykałem się jeszcze nieraz potem, mogłem wnosić, że była ona najdonioślejszym faktem w autonomicznym życiu Galicji od czasu nadania temu krajowi samorządu.

Był to okres, w którym spolszczenie szkolnictwa, uniwersytetów i urzędów zaczynało wydawać owoce. Stare pokolenie „austriackich” Polaków odchodziło, na jego miejsce zjawiało się pokolenie młodsze, nie pamiętające już ery przedkonstytucyjnej i szykan germanizacyjnych. Polskość miasta, odgrywającego rolę stolicy, wychodziła nawierzchni, jak burak dojrzały z ziemi. Jakaś siła przyrodzona wysadzała ją do góry i czyniła

widoczną we wszystkim. Nietylko ruch polityczny wlewał się do szerszych łożysk. Ożywiała się także działalność naukowa, publicystyczna i literacka. Lwów stawał się samodzielnym ośrodkiem polskiego życia duchowego, umysłowego i artystycznego.

Obserwując to, przekonałem się rychło, że w szczęśliwym momencie przybyłem do tego miasta, że będę tu miał nietylko czem, ale i z kim żyć, że nie jest to wcale prowincjonalne miasteczko, ale miasto w całym znaczeniu tego pojęcia, mimo swojego odbicia od wielkich gościńców, europejskie i mające niejedną cechę tej europejskości wyraźniejszą, niż Warszawa. Warszawie tych właśnie cech europejskich z każdym rokiem ubywało, Lwowu zaś przybywało ich z każdym rokiem.

Było to miasto inteligencji. Skupienie jej było tu duże. Uniwersytet i politechnika promieniowały na tę inteligencję. Sprawy nauki, literatury i sztuki miały tu daleko mniej ludzi obojętnych, niż w Warszawie, gdzie brały już przewagę w życiu towarzyskiem warstwy przemysłowo-handlowe, goniące za korzystnymi aferami. Te warstwy, dużo zarabiające i dużo wydające, szerzyły w Warszawie burżuazyjny zbytek, dążność do jak najwystawniejszych przyjęć, do kosztownych rozrywek i zabaw. Otóż we Lwowie tego nie było. Życie było o wiele skromniejsze. Urzędnik, profesor, nauczyciel, pobierający niewielką pensję —

a ludzie tej kategorii stanowili główny zrąb inteligencji lwowskiej — musieli w wydatkach swoich stosować się do swoich dochodów. Stosunki towarzyskie były tu o wiele bardziej ograniczone, niż w Warszawie. W domach rodzinnych prawie że przyjęć nie bywało. Zastępowały je wspólne spacery lub zejście się na umówioną godzinę w jakiejś kawiarni.

Nocnego życia restauracyjnego, które tak się zakorzeniło w Warszawie, także w ówczesnym Lwowie nie było. Miasto żyło regularnie, według ustalonego rytmu — wcześniej wstawało i wcześniej szło na spoczynek. Około godziny 10-ej wieczorem ulice pustoszały, o 10-ej bramy już były zamknięte, ludzie spali lub zabierali się do snu.

Pamiętam, jak raz, w początkach mego pobytu we Lwowie, zaproszono mnie do znajomego domu na kolację. Poszedłem, zwyczajem warszawskim, o godz. 9-ej i zastałem już wszystkich po kolacji. Gospodyni była niemiłe zdziwiona tem mojem opóźnieniem bez uprzedzenia, powoli dopiero sytuacja się wyjaśniła. Dowiedziałem się wówczas, że Lwów wieczerza między 7-ą a 8-ą. Oczywiście, drugi raz już nie zgrzeszyłem w podobny sposób. Zresztą, bardzo prędko przyzwyczaiłem się do tego regularnego trybu życia i musiałem uznać jego wyższość nad nieporządnym trybem warszawskim, gdzie nie było uregulowanych nawet godzin posiłku, gdzie w każdym domu o innej porze był obiad i o innej wieczerza, wsku-

tek czego jedni drugim zawsze przeszkadzali w spokojnem spożyciu „darów Bożych”.

Nie mogłem natomiast przez dłuższy czas przezwyciężyć w sobie nałogu nocnego czytania. Byłem wprawdzie zawsze przed zamknięciem bramy w domu, ale lampa w moim pokoju nie gasła wcześniej, jak o 1-ej lub 2-ej w nocy.

Mieszkałem wówczas na ul. Gołębiej, w dość dużej, jak na stosunki lwowskie, kamienicy, gdzie były na podstryszu dwa pokoje „kawalerskie”. Jeden z nich zajmowałem ja, drugi — niejaki Neuhaus-Nowodworski, b. redaktor polskiego pisma w Elku, na Mazurach pruskich, który musiał ze swoich ojczystych stron uciekać przed ścigającym go jakimś wyrokiem sądów pruskich. Uciekł oczywiście, jak to czynili wówczas wszyscy, do Galicji, i dostał się do Lwowa, gdzie przytulił się w Wydziale krajowym, jako skromny urzędnik, z pensją 25 guldenów na miesiąc, co mu pozwoliło ledwie wegetować.

Człowiek ten robił na mnie wrażenie nienormalnego. Po nocach budziły mnie jego płacze i krzyki za ścianą. Zapytałem raz stróża, Rusina, który nam obu usługiwał, na co sąsiad mój jest chory? Stróż bardzo prosto odpowiedział, że „ten pan tak płacze i krzyczy z tęsknoty za swoim krajem”.

Robiłem sobie wyrzuty, że tego sam odrazu nie rozumiałem. Okazało się, że prosty Rusin był wrażliwszy i bystrzejszy ode mnie, chociaż dobrze wiedziałem, co to jest nostalgia.

W mieszkaniu na Gołębiej niedługo jednak popasałem. Po miesiącu, gdy się już ochłodziło, gdy nastały przymrozki i trzeba było w piecu palić, okazało się, że to palenie nie na wiele się przyda, gdyż wszystko ciepło ucieka na strych. Nocami ziąbłem nie do wytrzymania. A kiedy raz, po wstaniu, nie mogłem się umyć, gdyż woda w dzbanku była zamarznięta, postanowiłem szukać sobie innego mieszkania, a to natychmiast wypowiedziałem.

Było to w połowie listopada. Strapiony, wyszedłem na ulicę, zdając sobie sprawę, że nie tak łatwo będzie o tej porze roku znaleźć dobry pokój.

Gdy byłem już koło uniwersytetu, nagle spotkałem się *bec-à-bec* z moim dobrym przyjacielem z czasów warszawskich, studentem przyrody i także „kilińczykiem”, Włodzimierzem Kiedrzyńskim, zwanym przez kolegów „Pszczółką”.

Zdziwienie było obustronne.

— Pszczółka! na miłość Boską, co ty tu robisz?

— O to samo chciałem ciebie zapytać — brzmiała odpowiedź.

Niebawem sytuacja się wyjaśniła. Kiedrzyński nie mógł się dostać do żadnego uniwersytetu w państwie rosyjskim, przyjechał więc do Lwowa i zapisał się na wydział chemiczny politechniki, chemja bowiem była jego specjalnością.

Poinformowałem go o mojem strapieniu.

— Wiesz co? — rzekł — dobrze się składa. Jest tu niejaki Downar-Zapolski, emigrant z War-

szawy, urzędnik Wydziału krajowego, który, wiem, że poszukuje współlokatora. Mogłbyś, o ile zechcesz, zamieszkać z nim razem. Wybierzemy się do niego po południu, bo teraz jest w biurze.

Przystąłem. Naznaczyliśmy sobie z Włodziem *rendez-vous* w cukierni Grossa.

Stawił się punktualnie o 5-ej po południu i poszliśmy do owego Downara-Zapolskiego. Zastaliśmy go. Był to mężczyzna barczysty, już po trzydziestce, z okazałą łysiną na dużej, dobrze zbudowanej głowie, o twarzy nerwowej, ale o pocziwych, szarych oczach.

Ukończył on w Warszawie w swoim czasie gimnazjum realne, ale nie dostał się do Instytutu Technologicznego w Petersburgu. Przyjął więc, czekając na pomyślniejszą konjunkturę, skromną posadę urzędnika w biurach kolei Dęblińsko-Dąbrowskiej. Biura takie były wówczas ucieczką dla inteligencji polskiej.

Zaprzyjaźniony a nawet spowinowacony z Janem Strożeckim, pozostawał z nim w stosunkach konspiracyjnych. Kiedyś użyczył mu na jego prośbę swego mieszkania dla wydrukowania jakiejś proklamacji. Ktoś jednak zdradził. Podczas składania przyszli żandarmi i zastali kilku młodzieńców przy kaszcie. Oczywiście wszystkich aresztowano. Aresztowano także Zapolskiego. Przesiedział on dłuższy czas w cytadeli, a wypuszczony przed wyrokiem wskutek słabego zdrowia za kaucją, nie namyślając się długo, wyjechał zagra-

nicę i znalazł się we Lwowie. Tu, podobnie jak Neuhaus-Nowodworski, przyjęty został do Wydziału krajowego, aby z głodu nie umarł. Przyznać należy, że marszałek Stanisław Badeni pod tym względem nie czynił przeszkód „obcopoloddanym“ Polakom. O ile mógł, dopomagał im w otrzymaniu pracy, nie oglądając się na to, jakich są oni przekonani. Zapolski był socjalistą, w dodatku skompromitowanym poważnie, a przecież nie odmówiono mu kawałka chleba w instytucji, która socjalizm uważała za wroga kraju i społeczeństwa. Takich „przybłędów“ z zaboru rosyjskiego było w Wydziale krajowym więcej. Siedzieli oni tam cicho, radzi że mogą żyć. Pan marszałek nie miał więc kłopotu, a ocalił niejednego przed wykołajeniem albo przed wydaleniem z granic państwa austriackiego, co policja chętnie czyniła z lada jakiego powodu.

Porozumiałem się z Adamem Zapolskim szybko. Mieszkanie wydało mi się dogodne, składało się bowiem z dwóch pokojów. Należało je tylko trochę domeblować, co jednak we Lwowie nie było rzeczą trudną, istniały tam bowiem na ul. Słonecznej żydowskie przedsiębiorstwa wynajmu wszelkich mebli za miesięczną opłatą. W ciągu godziny można było przeto mieszkanie zaopatrzyć potrzebnymi sprzętami. Żydzi robili oczywiście na tem świetne interesy, gdyż w ciągu roku pokrywała im się całkowicie wartość wynajętych gratów, ale i dla strony wynajmującej było to nie

bez zysku, chroniło bowiem przed jednorazowym wydatkiem ponad siły. Korzystali więc z tego z ochotą oficerowie, studenci i początkujący urzędnicy, wogóle żywioł koczujący, którego we Lwowie było sporo.

Doszliśmy łatwo do zgody i umowa pomiędzy nami stanęła. Miałem się nazajutrz sprowadzić, co też uczyniłem.

Nie przypuszczałem wówczas, że będziemy tak wspólnie mieszkali przez cały czas mojego we Lwowie pobytu i że mój wyjazd będzie kiedyś dla Zapolskiego prawie że katastrofą.

Pocziwy i niezapomniany Adaś! Od pierwszego dnia był on nietylko wzorem szlafkamrata, ale troskliwym opiekunem i najlepszym przyjacielem.

Wstawał zawsze pierwszy, i skoro tylko zjawiała się z pieczywem usługująca nam, dość pokraczna, ale uosabiająca w sobie dobroć prostych kobiet Julcia, przyrządzał natychmiast herbatę i przynosił mi ją do łóżka. Tak samo było z wieczszą. Wogóle żadnem „gospodarstwem” nie potrzebowałem się nigdy zajmować. Dawałem tylko pieniądze, a Adaś, wracając z biura, robił zakupy, rozrachowywał i obrachowywał wszystko. Z czasem doszliśmy w tem gospodarstwie do zupełnej komuny i zaprzestaliśmy rachunków. Uczyniłem to tem chętniej, że byłem lepiej uposażony i bez żadnego uszczerbku mogłem dopomagać swemu towarzyszowi.

Było nam razem dobrze. Nie poróżniliśmy się nigdy, a dom nasz stawał się powoli centralnym punktem zbornym dla „emigracji warszawskiej”, zwłaszcza od chwili, kiedy Adaś rzucił Wydział krajowy i, idąc za radą prof. Bronisława Pawlewskiego, wstąpił na politechnikę, gdzie, jako najstarszy wiekiem, odgrywał rolę patrona całej młodzieży z Królestwa.

Mieszkanie nasze znajdowało się przy zbiegu ul. Mochnackiego z ul. Supińskiego. Był to dom narożny, jednopiętrowy. Na parterze mieszkały jakieś rodziny filisterskie. Pierwsze piętro składało się z trzech dwupokojowych mieszkań i jednego jednopokojowego. Sąsiadami naszymi byli: Roger Battaglia de Supra Monte a Ponte Alto, prawnik, który wówczas składał egzaminy doktorskie, i nieodłączny jego towarzysz Mieczysław Baranowski, absolwent filozofji. Mieszkali oni razem.

W drugich dwóch pokojach prowadzili dość huczne i wesołe życie dwaj oficerowie, nadporucznik Kovacič, Chorwat, i porucznik Tissot, Włoch tyrolski, chłopiec przedziwnie pięknej urody. Byliśmy z nimi w dobrej komitywie, tak, że gdy odbywały się u nich liczniejsze zebrania, wciągali nas gwałtem w swoje towarzystwo, które jednak nie było towarzystwem dla nas. Oficerowie bowiem, gdy sobie podpili, sprowadzali dziewczęta i urządzali prawdziwe „rajskie wesela”, co zresztą we Lwowie, mieście, jak się później przekonałem,

o silnie rozwiniętym erotyzmie, nie należało do rzadkości.

Pojedyńczy wreszcie, ustronny pokój, zajmował młody architekt Teofil Wiśniowski, z tej samej rodziny, co jego imiennik, powieszony przez Austriaków na „hycłowskiej górze” w roku 1846.

Pan Teofil mógł mieć wtedy lat ze 25, nie więcej, ale już budował samodzielnie jakiś dom. Z pewnością, nie śniło mu się wówczas, że będzie czasem konserwatorem zabytków przy polskim komisarjacie rządu w Warszawie.

Nasze mieszkanie miało dwa okna, z których jedno wychodziło na Cytadelę, drugie na ul. Sypiańskiego a poprzez jej parkany na t. zw. Panieński staw. Ten Panieński staw stał się później przyczyną ciężkiej malarji, jaką przebyłem w lecie następnego roku. Uczyłem się wówczas do egzaminu nocami, przy otwartem oknie, przez które wlatywało do pokoju mnóstwo komarów. One to zaszczepliły mi tę uporczywą chorobę, która wycieńczyła mnie zupełnie. Z trudem wyciągnął mnie z niej pocziwy dr. Józef Fajersztajn, brat mego kolegi i przyjaciela, Leona, również lekarza.

Kiedy już urządziliśmy się z Adasiem jako tako, życie nasze unormowało się. Rozchodziliśmy się rano, on do biura, ja na wykłady, spotykaliśmy się dopiero po południu.

Niebawem zaczęło być u nas gwarно. Powoli odnajdywałem tu kolegów-kilińczyków, którzy przychodzili do nas na pogawędkę. Zjeżdżało się

bractwo z rozmaitych stron. Przyjechał Andrzej Brzostowski z Suwałk, były medyk, i zapisał się na politechnikę. Przyjechał także Józef Wasilkowski z Warszawy i Stefan Ślubowski z Piotrkowa, i obaj także wstąpili na politechnikę. Medycynę studjował tu już od roku Piotr Pręgowski, który, zamiast jechać na wygnanie w głąb Rosji, wolał przenieść się do Lwowa.

Pręgowski był wyjątkowo zdolny. Oprócz medycyny uczęszczał on jednocześnie gorliwie na wykłady filozofji prof. Twardowskiego i potem uzyskał dwa doktoraty: medycyny w Monachjum, gdzie specjalizował się w chorobach nerwowych, i filozofji we Lwowie.

Często wpadał do nas także Adam Szelągowski, który mieszkał niedaleko, a z nim razem kolega jego krakowski, Wacław Sobieski, odslugujący wtedy we Lwowie wojsko, jako jednoroczny ochotnik.

Rozmowy, oczywiście, toczyły się najczęściej o Warszawie i o stosunkach w Królestwie, pomimo bowiem, że we Lwowie było nam dobrze, tęskniliśmy jednak za środowiskiem, z którym wiązało nas tyle wspomnień.

Pewnego dnia listopadowego zakomunikował mi Adaś, że jest tu we Lwowie niejaki Roman Dmowski z Warszawy i że chce mnie poznać. Powiedział mu to inż. Bronikowski w Wydziale krajowym, mieszkający razem z Dmowskim.

Dmowskiego nie znałem osobiście, ale znałem go bardzo dobrze ze słyszenia. Ukończył on uniwersytet na rok przedtem (1890), zanim ja do niego wstąpiłem. Została jednak po nim legenda, którą starsi przekazywali młodszym.

„Ignac” — takie było jego przezwisko wśród kolegów — był wychowancem III gimnazjum, uważanego za najgorsze i najtrudniejsze w Warszawie. Mimo zdolności zimował w kilku klasach i był już dobrze pełnoletni, kiedy wstąpił na wydział przyrodniczy. Ukończył go szybko i chlubnie. Napisał nawet rozprawę o wymoczkach, która zdawała się wróżyć mu przyszłość naukową. Należał on do organizatorów ruchu narodowego o nieśmiałym jeszcze wówczas charakterze wszechpolskim. Był jednym z inicjatorów i uczestników pierwszej jawnej manifestacji na ulicach Warszawy na rzecz niepodległości w setną rocznicę konstytucji Trzeciego Maja. Pochód ówczesnej młodzieży akademickiej, choć nielicznej, przez Aleje Ujazdowskie do ogrodu Botanicznego, gdzie pękami świeżych fiołków obrzucono ruiny fundamentów kaplicy Opatrzności, wywarł na mieszkańcach Warszawy duże wrażenie. Uczestników tej manifestacji osadzono potem z wyroku administracyjnego na 6 tygodni w areszcie przy ul. Chłodnej. Dmowski aresztu wtedy uniknął i wyjechał do Paryża, skąd pisywał do „Głosu” artykuły i korespondencje, podpisywane czytelnym dla nas pseudonimem „Don Diego Iguenaz”. Natomiast wracającego do

kraju aresztowano na granicy i odstawiono do cytadeli warszawskiej, gdzie pod śledztwem, które mu niczego nie udowodniło, przesiedział 5 miesięcy, poczem zesłano go na 3 lata przymusowego pobytu w Mitawie. Po przybyciu na miejsce swojej deportacji Dmowski przekonał się jednak rychło, że byłby to czas zupełnie dla niego stracony. Podał więc prośbę o przeniesienie go z powodu, iż mu „klimat nie służy”, do Kre- mieńczuga na południu Rosji. Pozwolenie na tę zamianę otrzymał i opuścił Mitawę. W drodze jednak zmienił kierunek podróży i przez „zieloną granicę”, bez paszportu, dostał się jako emigrant do Lwowa.

Tam niezwłocznie przystąpił w porozumieniu z Warszawą, która potrzebowała pisma narodowego, wychodzącego bez cenzury, do wydawania dwutygodnika p. t. „Przegląd Wszechpolski”. Istniał wówczas we Lwowie „Przegląd Emigracyjny”, redagowany przez Wiktora Ungara, młodego adwokata, spropagowanego dla idei „Nowej Polski” w Paranie, w Brazylii, przez Stanisława Kłobukowskiego. Ów to „Przegląd Emigracyjny” zamieniony został na „Przegląd Wszechpolski”, sprawy zaś emigracji przeniesiono na łamy „Gazety Handlowo-Geograficznej”, która przez kilka lat wychodziła, jako dodatek do „Przeglądu Wszechpolskiego”.

Działo się to w lipcu 1895 roku, a więc na kilka miesięcy przed moim przyjazdem.

Dmowski poświęcił się całkowicie „Przeglądowi Wszechpolskiemu”. Wyjawszy nieliczne korespondencje, nadchodzące drogą konspiracyjną z kraju, sam go „pisał” od deski do deski, sam pilnował w drukarni składania napisanych przez siebie artykułów, sam, zaopatrzony w paszport austriacki na imię niejakiego Strzyżowskiego, urzędnika Banku Krajowego we Lwowie, woził „na sobie” transporty pisma w postaci t. zw. „ornatów” do Warszawy. Było to pismo narazie jeszcze skromne rozmiarami, ale jasno i wyraźnie stawiające program walki z najazdem i łączności ideowej Polaków wszystkich trzech dzielnic. To było w niem nowe i to znajdowało gorących zwolenników, zwłaszcza wśród młodzieży, która dowiadywała się stamtąd o sytuacji zarówno w Królestwie, jak w Galicji i w Poznańskim.

Poznanie się moje z Dmowskim nastąpiło w sposób bardzo prosty. Adaś oświadczył mi, że chce on, abyśmy w najbliższą niedzielę odbyli wspólną poobiednią przechadzkę, i w tym celu wstąpi po nas.

Jakoż istotnie w niedzielę, koło trzeciej po południu, usłyszeliśmy pod naszymi oknami wesoły śpiew:

„Najdroższa Małgorzato,
Przybywam tu z kantatą...”

— To oni — rzekł Adaś.

Zbiegliśmy natychmiast nadół i tam, *sub Jove*, zawarłem znajomość z Dmowskim i Bronikowskim.

— Słyszałem o panu od Adama Jasińskiego. Skoro pan tu jest na dłużej, trzeba się wziąć do roboty.

Było to powiedziane z takim zaborczym impetem, że poczułem się odrazu, nie wiedząc jeszcze o co chodzi, w tej „robocie”.

Dmowski zrobił na mnie wrażenie dobre. Biło od niego zdrowie, siła i zdecydowanie. „Ten człowiek wie, czego chce i dokąd idzie” — pomyślałem. A ponieważ takich ludzi bardzo niewiele dotychczas spotkałem w życiu, przeto zaimponował mi on niepomału. Był starszy ode mnie o jakieś lat 7 lub 8, miał więc i z tego jeszcze powodu wyrażną przewagę nade mną.

Przewadze tej poddałem się odrazu, a temperament, humor i dowcip Dmowskiego oczarowały mnie tak całkowicie, iż w ciągu dwugodzinnej przechadzki po parku Stryjskim zdobył mnie on sobie na zawsze.

„Radca” Bronikowski, jego przyjaciel, z którym mieszkał razem przy ul. Długosza na drugim piętrze, w dwóch ładnych pokojach, niedawno ukończył politechnikę w Zurychu i był inżynierem drogowym w Wydziale krajowym. Pochodził z łomżyńskiego, tak jednak przywykł do europejskich stosunków w Szwajcarii, że nie miał najmniejszej ochoty do powrotu „pod bat rosyjski.” Był to mężczyzna trzydziestoparoletni, przystojny, z brodą starannie utrzymaną, ubierający się wytwornie, o bystrej inteligencji i miły w obejściu.

Dmowskiemu był oddany bardzo. Łączyła ich nadto wspólna przyjaźń dla Zygmunta Balickiego, znanego działacza na wycochdztwie w Szwajcarii.

Po powrocie z tej pierwszej przechadzki byliśmy już wszyscy w dobrym stosunku wzajemnym. Niebawem też zaczęła się „robota“, o której wspomniał Dmowski.

R O M A N D M O W S K I

Stosunek z Romanem Dmowskim zaważył na całym moim życiu, jak zresztą na życiu wielu z moich współczesnych, nie wyłączając nawet tych, którzy go zwalczali, ale nie mogli nie ulegać ani jego urokowi osobistemu, ani sile jego przekonania i argumentacji. W walce takiej Dmowski był niezrównany. Zaatakowany, nie bronił się, ale nacierał na przeciwnika, przygważdżając go do muru jakimś powiedzeniem tak zasadniczem, że nie było już na nie innej odpowiedzi, jak tylko proste *tak* lub *nie*. Zwykłym jego zwrotem było: „gdyby pan był dobrym Polakiem, toby pan rozumiał” i t. d. Zamykało to usta przeciwnikowi, który zaczynał się wówczas zastanawiać może po raz pierwszy w życiu, czy jest naprawdę dobrym Polakiem? Nieprzyjaciel tak powszechnej w Polsce powierzchowności sądów i zdawkowości uczuć, żądał od ludzi, z którymi obcował, samodzielnego i głębszego przemyślenia zagadnień, dotyczących zarówno przeszłości, jak teraźniejszości i przyszłości narodu. Przyrodnik z wykształcenia, miał silnie rozwinięty zmysł obserwacyjny i dar wnioskowania, poczem z łatwością ujmował syntetycznie daną kwestję. Ta umiejętność i łatwość syntezy była podstawą jego talentu publicystycznego, który

znalazł dla siebie początek na łamach „Głosu” Bohusza-Potockiego, a rozwinał się i dojrzał na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego”, gdzie pisywał pod pseudonimem R. Skrzyckiego, bądź zgoła bezimiennie. Tych bezimiennych artykułów była z pewnością większość, zwłaszcza w pierwszym okresie istnienia pisma.

W tym właśnie okresie przypadło mi w udziale być jego, na gruncie lwowskim początkowo jedynym współpracownikiem.

Kiedy nazajutrz po naszym wspólnym spacerze zjawiłem się u Dmowskiego o oznaczonej godzinie, zwrócił się on do mnie prosto z mostu z tem, abym na jutro napisał mu artykuł do „Przeglądu”. Byłem tem zaskoczony.

— Jaki artykuł? — zapytałem.

— Wszystko jedno jaki. Wybór tematu należy do pana. Byle artykuł był dobry.

— Ależ ja dotychczas nigdy jeszcze żadnego artykułu nie pisałem...

— To nic nie znaczy. Napisze pan w takim razie pierwszy swój artykuł do „Przeglądu Wszechpolskiego”. To będzie wielki zaszczyt.

Życzenie było wypowiedziane w tak kategorycznej formie, że nie można mu było odmówić.

Po powrocie do domu łamałem sobie głowę nad tem, co właściwie mam pisać? Pisałem dotychczas ukradkiem tylko poezję. Trzy moje nieudolne, uczniowskie wiersze były nawet drukowane w roku 1890. Pierwszy w jednodniówce p. t. „Na

głodnych", dwa następne w „Tygodniku Mód i Powieści”. Żadnych jednak z tego tytułu nie rościłem sobie jeszcze wówczas ambicij literackich.

Koniec końców po namyśle napisałem dość obszerny artykuł „O wychodźstwie polskiem w Rosji”, oparty na spostrzeżeniach, poczynionych podczas mojego pobytu w Orsku.

Artykuł ten przepisałem „na czysto” i zanieśliem Dmowskiemu. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po upływie kilku dni zobaczyłem ten artykuł w „Przeglądzie” i to w dodatku na miejscu naczelnem, jako wstępny. Podpisany był jakimiś literami, nie mającemi nic wspólnego z mojem imieniem i nazwiskiem, ale był mój w każdej literze, w każdym zdaniu. Ołówek redaktorski niczego z niego nie usunął. Zjawiał się w nienaruszonym swoim kształcie. Nie taję, że mi to sprawiło wielką radość. Naprzód dlatego, że ten pierwszy mój artykuł był pisany „na zamówienie”, powtóre, że tak szczęśliwie wytrzymał próbę.

Próba musiała wypaść istotnie dobrze, bo ja-koś w początkach grudnia Dmowski powiedział mi:

— Muszę jechać z numerem do Warszawy i zabawię tam nieco dłużej, niż zwykle, a przed Bożem Narodzeniem trzeba wydać jeszcze jeden numer. Niech pan się tem zajmie i dopilnuje, żeby wszystko było na czas. Trochę materiałów jest w drukarni, cośnecoś przyniesie panu pocztą, a resztę napisze pan sam, posiłkując się dzienni-

kami i wyciągając z nich to, co dla naszego pisma będzie odpowiednie.

Zdrętwiałem. Tak ciężkiego i odpowiedzialnego obowiązku nie chciałem brać na siebie, ale Dmowski nastawał.

— Jestem tutaj sam — mówił — nie mam żadnej pomocy, żadnego zastępstwa. Spodziewam się dopiero przyjazdu Jana Popławskiego. Ale zanim on przyjedzie, musi pan to zrobić.

Jakoż zrobiłem. Dmowski pojechał, a ja przez dziesięć dni męczyłem się nad zupełnie mi nieznaną robotą. Siedziałem po całych dniach w drukarni, gdzie łamacz był moim instruktorem, robiłem korekty, pisałem, przekreślałem napisane i znów pisałem, wieczorami czytywałem po kawiarniach dzienniki i jakoś numer ten skleciłem, mimo iż poczta nic mi nie przyniosła. Musiałem sam napisać kilka „korespondencyj”.

Co o tym numerze sądzili czytelnicy w Królestwie, nie wiem. Dmowski zaś po powrocie nie tylko nie zrobił mi żadnej wymówki, lecz wciągnął mnie już w zupełnie zdecydowany sposób do współpracownictwa w piśmie.

Pomagałem mu coraz częściej i coraz więcej. Zdarzyło się kilka razy, że przy pracy zasiedzieliśmy się dłużej. Zatrzymywał mnie wówczas na noc u siebie, sam, jako troskliwy gospodarz, przygotowując mi posłanie na ceratowej kanapie w swoim pokoju.

Niezapomniane to były noce! „Radca” Bronikowski spał już u siebie przy zamkniętych drzwiach, a my, po zgaszeniu światła, gawędziliśmy jeszcze godzinami.

Zdumiewała mnie wówczas erudycja i fenomenalna pamięć Dmowskiego, który w rozmowach tych brał mnie formalnie na egzamin.

Co chwila cytował jakiegoś klasyka rzymskiego lub greckiego całymi fragmentami i zapytywał „a to z czego?”, „a to czyje?”

Najczęściej odpowiadałem dobrze, miałem bowiem także pamięć dobrą, ale Dmowski przewyższał mnie pod tym względem znacznie. Widocznie dobrze go wyćwiczyli w trzecim gimnazjum Uzdrawski i Chojko. Nietylko oni zresztą, bo tak samo było z poezją rosyjską. Gospodarz mój recytował jak z nut utwory Puszkina i Lermontowa, których uczyliśmy się w szkole napamięć. Recytował także całe ustępy z „nauki o stylach” Łomonosowa, ze „Słowa o pułku Ihorowym”, ze słynnego traktatu Karamzina „O miłości ojczyzny”, nawet z Hohola: „Czudien Dniepr pri ti choj, lietniej pogodzie, kogda wolno i pławno mczit on wody swoi”...

Licytując się wzajemnie, przy tym lub innym ustępie zasypialiśmy wreszcie, aby nazajutrz pójść każdy do swojego zajęcia.

Dmowski rankami nigdy nie pisał. Szedł do cukierni przy ul. Akademickiej (była to wówczas najporządniejsza we Lwowie cukiernia) i tam, ob-

łożony dziennikami, wertował je przez kilka godzin. W kawiarniach i cukierniach lwowskich było wówczas ogromne mnóstwo gazet. Obok miejscowych, wszystkie ważniejsze polskie dzienniki krakowskie, warszawskie i poznańskie. Nadto cała prasa wiedeńska. Z gazet rosyjskich widywało się tam często „Nowoje Wremia”, jako organ polakożerczy, informujący polityków galicyjskich o zapatrywaniach kół rządowych na sprawy polskie.

Załatwiwszy się z prasą, szedł na obiad, po obiedzie na przechadzkę, popołudniowe zaś, wieczorne i nocne godziny poświęcał dopiero pracy pisarskiej.

Pisał dużo, czytelnem i równem pismem na zawsze jednakowych ćwiartkach papieru, prawie bez poprawek. Rękopisy jego błogosławili zecerzy. Ciągnął wówczas z numeru na numer swoją rzecz o „Szkolnictwie rosyjskiem w Polsce”, która wyszła w następstwie w oddzielnej broszurze. Dla wychowañców szkoły rosyjskiej w Polsce była to lektura ponętna, ujawniała bowiem całą ich niedolę w latach szkolnych, wszystkie tortury moralne, przez które przechodzili w okresie apuchtinowskim i — nadewszystko — zobojętnienie na to społeczeństwa, pogodzonego już z losem i twierdzącego, że „lepszą taką szkołą, niż żadną”.

Nie przeczuwałem, iż w dziesięć lat potem autor tej broszury będzie zwalczał bojkot szkolnictwa rosyjskiego w Królestwie. Wogóle Dmowski był wówczas nastrojony rewolucyjnie

i to jednało mu ogromnie młodzież. Nie był przeciwnikiem przekonań radykalnych, był tylko przeciwnikiem tego „radykalizmu zewnętrznego”, na który była wtedy moda wśród studentów warszawskich. Twierdził, zupełnie słusznie, że Polak powinien wyglądać „po europejsku”, ubierać się porządnie, nosić czystą koszulę, kołnierzyk, krawat i mankiety, a nie paradować w nocnej koszuli, jak to czynili Moskale. Sam dbał bardzo o ubranie i dawał z siebie dobry przykład. Wpływy jego też rosły wśród naszej nielicznej kolonii we Lwowie. Nawet Włodzio Kiedrzyński, który był mocno socjalizmem zafarbowany, napisał raz artykuł do „Przeglądu Wszechpolskiego”. Na mnie jednak, wskutek częstego z nim bezpośredniego obcowania, oddziaływał Dmowski silniej, niż na innych. Prosto kształtował się we mnie pod jego kierunkiem nowy światopogląd i nowe na obowiązki „nowoczesnego” Polaka zapatrywania.

Pamiętam, kiedy pewnego razu, ni stąd ni zowąd, redaktor „Przeglądu Wszechpolskiego” zagadnął mnie:

- Czy pan pragnie niepodległej Polski?
- Oczywiście, że pragnę — odpowiedziałem.
- W takim razie kim pan chciałby tam być?
- Jakto kim?
- No, jakie funkcje chciałby pan tam pełnić?

Pytanie to zaskoczyło mnie. Nigdy nie myślałem na ten temat. Spostrzegł Dmowski moje zaskłopotanie i tak ciągnął dalej:

— Co do mnie — mówił — najchętniej zostałbym oberpolicmajstrem warszawskim...

— ? ?

— W ciągu dziesięciu lat nauczyłbym ludzi żyć po europejsku, uczyniłbym z miasta czyste i porządne miasto, godne tego, aby było stolicą Polski. Moskale zrobili z Warszawy „miasto gubernjalne”. Trzeba więc corychlej to piętno z niej zetrzeć. A pan coby sobie obrał?

Milczałem.

— Ach! wy wszyscy jesteście jednakowi. Uczuciowo pragniecie niepodległości, a wcale nie przygotowujecie się do niej. Żaden z was nie myśli o tem, że Polska niepodległa będzie potrzebowała ministrów, urzędników politycznych, dyrektorów policji, dyplomatów i t. p. Nie będziemy przecież sprowadzali fachowców z zagranicy. Trzeba się nam na wszelki przypadek przygotowywać do tych funkcji, które mogą spaść jeszcze na nasze pokolenie.

Otworzyły się przede mną nowe horyzonty. Istotnie, ani ja, ani żaden z moich kolegów tak tej kwestji nigdy przed sobą nie stawialiśmy. Marzyliśmy, że „przyjdzie kiedyś dzień”, ale jak on będzie wyglądał w rzeczywistości, o to nikogo głowa nie bolała.

Ta rozmowa zachęciła mnie między innemi do moich studiów prawniczych. Zacząłem regularnie chodzić do Biblioteki Uniwersyteckiej, czytać tam

na miejscu i wypożyczać do domu książki, które mogły mi przynieść pożytek. Zacząłem także odwiedzać Ossolineum i tam zaznajamiać się z historią Polski.

Miałem już wtedy więcej czasu, przyjechał był bowiem z Warszawy do Lwowa Jan Ludwik Popławski i podzielił z Dmowskim obowiązki redaktorskie.

Dmowski także wówczas odetchnął i zaczął myśleć o podróży do Londynu. Anglja bowiem pociągała go ku sobie bardzo, zarówno swoją potęgą polityczną, jak i potęgą i poziomem kultury.

Nie znał jednak języka angielskiego, a bez języka nie chciał jechać.

Cóż prostszego było u takiego, jak on człowieka, jak powiedzieć sobie: nauczę się po angielsku.

I nauczył się.

Zdarzyło się, że w domu, w którym mieszkaliśmy przy ul. Mochnackiego, zamieszkał na parterze niejaki Feliks Jaroński, wiolonczelista, brat rodzony Wiktora, który był później przez szereg lat posłem kieleckim do dумы rosyjskiej.

Ów Jaroński, będąc na studjach w Lipsku, ożenił się z Angielką. Było ich dwoje z małym synkiem. Jaroński grywał w orkiestrze teatralnej, w domu więc nie było nadzwyczajnego dostatku. Pani Jarońska, która mówiła już wcale nieźle po polsku, postanowiła dorabiać lekcjami języka angielskiego.

Adaś Zapolski znał Jarońskich przez Strozec-
kiego, również kielczanina. Zaproponował więc
Dmowskiemu, aby brał lekcje od pani Jarońskiej.
Dmowski zgodził się. Pierwsza lekcja odbyła się
w naszym mieszkaniu. Następnie Dmowski cho-
dził już do p. Jarońskiej. Był, jak nam to nieraz
przy spotkaniu opowiadała, bardzo pilnym i bar-
dzo zdolnym uczniem. To też po upływie pięciu
miesięcy nietylko swobodnie czytał, lecz i możli-
wie mówił po angielsku. Wobec tego mógł serjo
myśleć o podróży upragnionej.

Projekt ten skutecznił jednak dopiero w roku
1898, kiedy, odziedziczywszy jakąś skromną sumę,
przypadającą na niego z działów rodzinnych,
obrócił ją na podróż do Anglii, a w roku następ-
nym do Brazylii.

Narazie „klepał biedę” we Lwowie. Bywały
chwile, kiedy miał pieniędzy dość, ale że War-
szawa dostarczała nieregularnie środków na wy-
dawnictwo, więc nie brak było także dni ciężkich.
Na szczęście właściciel drukarni był człowiekiem
cierpliwym i zwłoki w płaceniu rachunków
uwzględniał. W najcięższych momentach sytuację
ratował dr. Ungar drobnymi pożyczkami, choć
i u niego było krucho, gdyż był dopiero początku-
jącym adwokatem. Drugi przyjaciel „Przeglądu
Wszechpolskiego”, dr. Ernest Adam, także zaj-
mował wówczas skromne jeszcze stanowisko.

Zato, gdy pieniądze nadeszły, lub gdy je
Dmowski najczęściej sam przywiózł z Warszawy,

płacił natychmiast wszelkie zobowiązania i przez jakiś czas żył na nieco wyższą stopę, do czego zresztą miał upodobanie.

Po przyjeździe do Lwowa Popławskiego „Przegląd Wszechpolski” zmienił szatę zewnętrzną. Stał się pismem znacznie bogatszem w treść, otrzymał dogodniejszy format i zamiast niebieskiej pomarańczową okładkę, która tak dobrze była potem znana żandarmom w Królestwie, że przy rewizjach tego przedewszystkiem koloru szukali w papierach.

Zwiększył się także nakład i trzeba było transportować numery w większej ilości. „Ornaty” już nie wystarczały. Należało zorganizować prawidłową kontrabandę. Mieszkał wówczas w Tyszowcach, w lubelskiem, niedaleko granicy Bronisław Koskowski, który miał tam aptekę, odziedziczoną po ojcu. Z nim to, kiedy przyjechał pewnego razu do Lwowa, sprawa została omówiona. Okazało się, że Koskowski może wszystko urządzić przy pomocy swoich stosunków nadgranicznych. Wskazał nawet zaufanego człowieka po stronie „austriackiej”, który dostarczone mu paki będzie wysyłał przez przemytników zawodowych dalej, aż dotrą do Tyszowiec.

Kiedy te rzeczy już były ustalone, Dmowski zaproponował mi, abyśmy z pierwszym transportem pojechali razem.

Zgodziłem się chętnie. Zabraliśmy z sobą dwie duże paki, wykupiliśmy bilety do Sokala, oddaliś-

my na bagaż nasz transport i pojechaliśmy pełni humoru. Dmowski przez całą drogę sypał, jak z rękawa, dowcipami i anegdotami, których miał zawsze nieprzebrany zasób w pogotowiu.

Kiedyśmy przejeżdżali przez Rawę Ruską, i konduktor wywołał nazwę stacji, Dmowski zawołał:

— Słyszysz pan?

— Słyszę. Rawa Ruska.

— Gdzie tam! Najwyraźniej „Warwåruszką”. I tak się to pewnie będzie nazywało, jeśli Moskale tu kiedy przyjdą.

Z tego powodu wywiązała się pomiędzy nami rozmowa na temat Rusinów i kwestji ruskiej w Galicji.

Dmowski, który lubił krańcowe stawianie kwestji, w pewnym momencie oświadczył:

— W gruncie rzeczy niema żadnych Rusinów. Jest tylko „kiepski gatunek Polaków”.

Wydawało mi się to zbyt paradoksalne, zaproponowałem więc. Dmowski jednak bronił uparcie swojego określenia, dowodząc, że cała kwestja ruska tonie w morzu rosyjskiem i że nie można mieć żadnych złudzeń co do tego, iż Rosja imperjalistyczna nie spocznie, dopóki nie oprze się o Karpaty i nie sprawosławi całej Galicji wschodniej. Rusini przeto, którzy chcą ocalić się przed tą zagładą, powinni iść razem z Polakami, a naszą już rzeczą jest zrobić z nich „dobrych Polaków”, oczywiście nie w znaczeniu odebrania im

ich narodowości, lecz w sensie jednakowego z nami poczucia interesu państwowego, który przez półtysiąca lat był na tej ziemi wspólny dla obu narodów i który dopiero polityka austriacka rozdwoiła.

Napomknąłem nieśmiało o odrębności Ukrainy od Rosji i o ruchu niepodległościowym wśród Ukraińców kijowskich. Dmowski zachnął się.

— I pan w to wierzy? Przecież ta cała „samostijna Ukraina“ to humbug i w dodatku humbug wyrobu austriacko - niemieckiego. Ukraina nigdy od Rosji się nie oddzieli, bo bez Ukrainy nie byłoby Rosji. Oderwanie od niej Ukrainy to odcięcie jej od spichrza, który w latach nieurodzaju karmi centralne gubernje, to odcięcie jej także od morza Czarnego, którędy prowadzi droga nietylko do Konstantynopola, lecz także na Kaukaz, do Baku, do nafty. Apetyty Rosji na Galicję wschodnią — to rzecz realna, to ostatni punkt programu Iwana Kality, „zbieracza ziemi rosyjskiej“, to wykonanie apokryficznego testamentu Piotra Wielkiego, i tego należy się obawiać, ale tamto jest bajką dla dzieci, w dodatku bajką szkodliwą dla dzieci polskich. Z przedziwa tej bajki przyszłość może łatwo ukreślić powrót na szyję Polski, jeżeli znajdą się wśród nas rzeczywiście Polacy, którzy będą popierali program Ukrainy niepodległej. Bo przypuśćmy, że taka Ukraina powstaje naprawdę. Jakież są tego naturalne konsekwencje? Naprzód zagarnie ona Galicję Wschodnią, a potem razem

z nią — prędzej czy później — wejdzie w skład wielkiej, jedynej i niepodzielnej Rosji, choćby na mocy rządzących dzisiaj w polityce praw ekonomicznych... Pan i tacy, jak pan, rządzą się sentymentem. Widzicie przez pryzmat poezji Bohdana Zaleskiego taką Ukrainę, jakiej nigdy nie było, niema i nie będzie, a w polityce niema sentymentów, niema poezji, jest tylko interes. Otóż nasz polski interes nie leży wcale w tworzeniu niepodległej Ukrainy, ale w tem, żeby Rosja nigdy nie przekroczyła Zbrucza, nigdy nie przeszła przez dzisiejsze słupy graniczne od strony Podola i Wołynia. Interesowi temu przeciwstawiają się dzisiaj Rusini galicyjscy i dlatego nazywam ich „kiepskimi Polakami”. Jedni z nich zdradzają nas dla fikcji ukraińskiej, inni są zakapturzonymi Moskalami. Ale z dwojga złego wolę ostatnich. Przynajmniej wiem, z kim mam do czynienia...

Dojechaliśmy tymczasem do Sokala. Stamtąd parokonna bryczka dowiozła nas, wraz z naszym transportem, do jakiegoś skromnego i zacisznego domku na skraju miasteczka, gdzie mieszkał wskazany nam leśniczy. Był on już uprzedzony o naszym przyjeździe i oczekiwał nas z obiadem. Podczas tego obiadu przekonaliśmy się, że paki dostały się we właściwe ręce, które zaopiekują się nimi troskliwie i dostarczą bez uszkodzenia za kordon. Służba leśna po obu stronach granicy była w dobrych i nieustannych z sobą stosunkach. Dobre też musiały być stosunki pomiędzy nią

a „objezczykami“. Zresztą, cały „kordon“ w tej okolicy, to był dukt, wycięty w lesie, po którym przechadzała się straż graniczna. Poza plecami takiego strażnika w ciągu dwóch minut można było przejść na „drugą stronę“, a tam już odbierali transport umówieni ludzie i ukrywali go, jak należy. Trudniej było dostarczyć go od granicy do Tyszowiec. Zajmował się tem sam Koskowski, który przyjeżdżał po nie bryką i odwoził do siebie do domu. Rychło jednak na te jego wycieczki do lasów nadgranicznych zwrócono uwagę. Po paru też tygodniach tej służby widzieliśmy go już wśród siebie, we Lwowie, jako nowego emigranta.

Zbyszy się naszego bagażu, wracaliśmy z Dmowskim wieczornym pociągiem w jeszcze lepszych humorach.

Jak się przekonałem nazajutrz, ten dzień i ta wycieczka były moją „próbą“. Na podstawie tej „próby“ zostałem przez Dmowskiego i Popławskiego wtajemniczony w istnienie „Ligi narodowej“ i uroczystie przyjęty w poczet jej członków.

Od tej pory byłem już „zakonspirowanym działaczem“ w ramach organizacji. Przestałem chodzić samopas.

Podczas pobytu mego we Lwowie kilkakrotnie jeszcze miałem do czynienia z „transportami“, ale woziłem je już tylko na sobie w postaci „ornatów“.

Było to zawsze połączone z ryzykiem wolności osobistej, i rodzice moi, gdyby o tem wiedzieli,

wcale nie cieszyliby się z moich odwiedzin w Warszawie. Nie znając jednak istotnych powodów moich przyjazdów, matka witała mnie zawsze radośnie i kładła je na karb tęsknoty za nią i za domem.

Nie myliła się wprawdzie, bo i to uczucie niewątpliwie w grę wchodziło, ale „obowiązek” stał ponad tem.

Pierwsza z tych podróży połączona była, oczywiście, z najsilniejszą emocją.

Było to w połowie października 1896 roku. Włożywszy na siebie starannie obszyty w płótno przez panią Karolinę Domagalską „ornat” na piersi i plecy, a nadto dwa „nagolenniki”, poczułem się, jak rycerz średniowieczny w zbroi żelaznej. Trudno było mi się ruszać. Chodziłem długo po pokoju, żeby przyzwycząić się do tego skrępowania. Potem włożyłem na siebie pożyczony od Adasia płaszcz z peleryną, dość eleganckiego kroju, Dmowski bowiem kładł zawsze nacisk na to, aby na granicy prezentować się żandarmom możliwie wytwornie i „po europejsku”, i pojechałem na kolej. Paszport miałem ten sam, którego używał Dmowski, na nazwisko Strzyżowskiego, urzędnika Banku Krajowego we Lwowie. Ponieważ jednak Dmowski jeździł zwykle za tym paszportem przez Kraków, Szczakowę, Granicę, przeto ja obrałem drogę na Radziwiłłów, gdzie Strzyżowski był jeszcze nieznany.

Radziwiłłów był o tyle niedogodny, że nie odbierano tam paszportów w wagonach, lecz trzeba było wysiadać z niemi i stemplować je w okienku, do którego dochodziło się pomiędzy dwiema ciasnymi barjerami.

Wysiadłem więc razem z innymi i przeszedłem szczęśliwie przez to „ucho igielne”. „Ostemplowany” mogłem już przejść na peron pociągu, odchodzącego w stronę Zdołbunowa. Uczyniłem to. Ale na ten peron wtoczył się właśnie w tej chwili pociąg, idący od Zdołbunowa. Wśród wysiadających z niego pasażerów spostrzegłem Adama Szelałowskiego, powracającego z wakacji, które spędzał w Lublinie. I on mnie spostrzegł także, a że nie widzieliśmy się kilka miesięcy, więc chwycił mnie w ramiona. Chrzest moich „ornatów” zastanowił go. Wypuścił mnie więc ze swoich objęć, zrozumiałwszy odrazu, co to jest. Pożegnałem go natychmiast, nie chcąc go narażać swoim towarzystwem na przypadek jakiejś przygody.

Ale przygody żadnej nie było. Ulokowałem się w pociągu i dojechałem szczęśliwie do Zdołbunowa. Tam musiałem przesiąść się do pociągu, idącego z Kijowa do Kowla. Była już noc. Kurjer kijowski był przepełniony. W przedziałach ławki podniesione i ludzie śpiący w dwóch kondygnacjach. Z trudem znalazłem jedno wolne górne miejsce. Jakże jednak w moich „ornatach” dostać się tam? Bałem się zwrócić na siebie uwagę chrzę-

stem papierów. Zaproponowałem więc nie śpiącemu jeszcze, ale wyciągniętemu na dolnej ławce jakiegoś Moskalowi, aby zamienił się ze mną na miejsce, gdyż jestem chory, jadę na operację do Warszawy i wejść na górę nie potrafię. Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale pocziwie zgodził się na zamianę. On więc powędrował na górę, a ja spokojnie i wygodnie położyłem się w mojej zbroi na wolnej ławce. W Kowlu znów zmieniłem pociąg, miałem bowiem bilet wykupiony na Lublin, nie na Brześć. Ale tam już było dużo miejsca. Wygodnie więc i bezpiecznie, bo sam jeden byłem w przedziale, dojechałem do Warszawy.

Było to jakoś koło 1-ej czy 2-ej po południu. Wsiadłem w parokonną dorożkę (walizkę miałem elegancką, z żółtej skóry) i pojechałem do hotelu Francuskiego, gdzie wziąłem, nie licząc się z kosztami, droższy numer na 1-em piętrze. Tam natychmiast rozebrałem się i zamknąłem moje „ornaty” i „nagolenniki” w szafie. Umyłem się, przebrałem i poszedłem na obiad. Po obiedzie, około piątej pojechałem na Podwale, do Józefa Kamińskiego, adwokata, który był z ramienia organizacji L. N. wyznaczony do przyjmowania transportów zagranicznych. Zastałem go w domu. Porozumieliśmy się bardzo szybko i ustaliliśmy, że po godzinach przyjąć odwiedzi on mnie w hotelu i transport zabierze. Jakoż koło 7-ej przyjechał, zapytał się formalnie portjera o pana Strzyżowskiego ze Lwowa i zapukał do mego pokoju. Przy-

brałem go szybko w mój ciężar i nie bez ulgi pa-trzyłem, jak wsiadał z podniesionym u palta koł-nierzem do dorożki i odjechał z przed hotelu.

Byłem już wolny! Od tej chwili czas mój nale-żał do rodziny i przyjaciół. Jakże ucieszyli się wszyscy, widząc mnie po rocznej nieobecności. Po paru dniach jednak musiałem wracać do Lwo-wa, bo rozpoczynał się już rok akademicki.

Drugim razem, już pod koniec mego pobytu we Lwowie jechałem do Warszawy przez Kraków i Granicę, jako August Schönowitz, aptekarz ze Śląska.

Zatrzymałem się w Krakowie u Konrada Glin-skiego, który był już wówczas żonaty i mieszkał w Instytucie Anatomji Patologicznej na Grze-górkach, gdzie był prosektorem-asystentem prof. Browicza. Zastałem tam Janka Mazurkiewicza, przepocziwego i przemiłego zawsze w swoim ła-godnym uśmiechu i dobrym humorze. Przegawędzi-liśmy kilka godzin we czworo, z panią Janiną Glin-ską, z domu Raczyńską, towarzyszką wielu na-szych studenckich zabaw jeszcze w Warszawie. Już było po północy, kiedy Mazurkiewicz po-szedł do domu, a mnie Konrad ułożył do spa-nia w stołowym pokoju na otomanie. Ledwo zga-siłem światło i zasnąłem, obudziło mnie głośne stukanie do drzwi. Usłyszałem, że Konrad wstał i poszedł otworzyć, potem, że się z kimś wita i głośnie rozmawia. Za chwilę do pokoju, w któ-rym spałem, wszedł razem z niespodziewanym

nocnym gościem. Był to Gustaw Wolff, który wracając z Zakopanego do Warszawy, zatrzymał się w Krakowie i prosił o nocleg. Jakim cudem w ubogiem, napół studenckiem jeszcze gospodarstwie Glińskich znalazły się materace, które ułożono na ziemi dla Wolffa — nie wiem. Przypuszczam, że stało się to z uszczerbkiem pani Glińskiej, ale taka już była wówczas wśród nas koleżeńska gościnność. Nazajutrz razem z Wolffem pojechałem do Warszawy. Musiałem go jednak wtajemniczyć, że nie jestem tym, za którego mnie ma, lecz Augustem Schönowitzem, aptekarzem ze Śląska. Nic jednak nie mówiłem o transporcie, który mam na sobie, przywdziałem bowiem rano ornaty na osobności, kiedy Wolffa nie było w pokoju.

Granicę przebyliśmy szczęśliwie. W obecności żandarmów Wolff zwracał się do mnie kilkakrotnie ze słowami: „panie Schönowitz? czy pan długo zabawi w Warszawie?” i t. p. Wzmacniało to niewątpliwie moje bezpieczeństwo, odwracając jakiegokolwiek podejrzenie od osoby Schönowitza.

W Myszkowie Wolff wysiadł, aby odwiedzić mieszkającego tam Bronisława Gembarzewskiego. Sam więc pojechałem dalej, a że to był dzień, więc zabrałem się do czytania niecenzuralnego wydania broszury Tołstoja p. t. „Co to jest sztuka?”, którą wraz z kilkoma innymi książkami wiozłem do Warszawy na prośbę mego przyjaciela, Stefana Dobrowolskiego. Wysiadając w War-

szawie, zostawiłem te książki w przedziale. Spozstrzegłem to dopiero w domu. Żał mi było książek, które już szczęśliwie przeszły granicę, ale nie mogłem upominać się o nie przed złożeniem transportu u Kamińskiego. Kiedy już to załatwiłem, pojechałem na dworzec i zgłosiłem się do kancelarii zawiadowcy stacji z zapytaniem o moją zgubę. Okazało się, że książki są. Dyżurujący pomocnik zawiadowcy wydobył je z szuflady biurka i podał mi ze słowami:

— Przechowałem je u siebie, pod zamknięciem, żeby były bezpieczniejsze...

Uśmiechnął się przytem porozumiewawczo. Tacy wówczas ludzie służyli na kolei wiedeńskiej. Można było zawsze być pewnym ich pomocy — od konduktora do dyrektora ruchu.

Z moich eskapad z „bibułą“ zapisała się jeszcze w mej pamięci wspólna wycieczka z Wacławem Żmudzkim (o którym potem) do Leżajska, na odpust 15 sierpnia. Było to w roku 1897. Dmowski zaproponował nam obu, abyśmy pojechali tam z broszurami i książeczkami dla ludu i rozdali je wśród odpustowej publiczności, pochodzącej z za kordonu. Leżajsk był blisko granicy i ludność z Lubelskiego przedostawała się tam z łatwością dla uczestniczenia w kościelnych uroczystościach.

Podjęliśmy się tej misji. Wyjechaliśmy z do-
brze wyposażoną walizą wczesnym rankiem ko-
leją do Przeworska, a stamtąd wynajętym

wózkiem żydowskim do Leżajska. Dzień był upalny. Wózek włókł się powoli piaszczystą drogą. Podróż się wydłużała, a głód nam dokuczał. Zatrzymaliśmy się więc w pierwszej napotkanej karczmie na śniadanie. Kilka kieliszków galicyjskiej okowity z fuzlami, zaprawionej dla strącenia zapachu anyżem, oraz miska jajecznicy, którą usmażyła nam żydówka, wprawiły nas w doskonały humor. Jechaliśmy dalej pełni wesela i ufności w to, że spełnimy swoją misję jak najlepiej.

Po drodze przejeżdżaliśmy przez lasy, należące do dóbr Łańcuckich. Tam natrafiliśmy w pobliżu leśniczówki na obszerną polanę, która zwróciła na siebie naszą uwagę. Na polanie tej rosły wysokie już świerki, tak posadzone, że tworzyły one w perspektywie wyraźne litery F. J. Powożący żydek, który mówił po polsku czysto chłopskim dialektem, z najprawidłowszemi „mazurzeniami”, wyjaśnił nam, iż w ten sposób został tu uczczony przez właściciela Łańcuta pobyt Franciszka Józefa, który polował w tych lasach. Cesarz przyjechał wówczas do Galicji na manewry i był gościem Potockich. Między innemi rozrywkami urządzono mu w lasach łańcuckich wspaniałe łowy. Na ich to pamiątkę zasadzono małe świerczki w kształt cyfry cesarskiej. Zdążyły one już porządnie wyrosnąć.

Na południe dojechaliśmy do Leżajska. Zatrzymaliśmy się w jakiejś prymitywnej, oczywiście żydowskiej oberży i tam, w nędznym pokoiku zło-

żyliśmy nasz bagaż nielegalny. Sami natomiast poszliśmy natychmiast do kościoła bernardynów.

Kończyła się właśnie suma. Kościół był przepełniony, a że to był dzień Matki Boskiej Zielnej, przeto wypełniała całe wnętrze dusząca woń kwiatów i ziół polnych, przyniesionych tu przez lud starym zwyczajem do święcenia. Świątynia zrobiła na nas imponujące wrażenie. Szczególnie podziwialiśmy wspaniałe organy, nie wiedząc, że należą one do najsłynniejszych w Europie. Smugi błękitnego dymu unosiły się w powietrzu ponad głowami rozmodlonego tłumu, słońce wlewało się szeroką falą przez otwarte wejście główne, kładąc złote pasma swoich promieni na barokowych ołtarzach, ksiądz, odprawiający sumę w kwiecistym ornacie, wyglądał jak zjawa niebiańska. Nastrój ten przemówił do nas swoją niewątpliwą poezją. Ukłękliśmy obok innych i czekaliśmy na koniec nabożeństwa. A kiedy tłum zaczął się już wylewać na obszerny cmentarz, znaleźliśmy się wśród niego, niepostrzeżenie jakby wyniesieni z kościoła.

— A teraz do roboty — szepnął Żmudzin. Rozdzieliliśmy się i zaczęliśmy nurkować wśród ludzi, usiłując z wyglądu, po ubraniu, rozpoznać przybyszów z za kordonu.

Jakoż po chwili spostrzegłem człowieka w „maciejówce“, który wydał mi się niewątpliwym „Królewakiem“. Zaczepiłem go i wdałem się z nim w rozmowę. Okazało się, że istotnie przyszedł

z „tamtej strony”. Szepnąłem mu coś o książkach do czytania, o potrzebie dowiedzenia się o tem, co dzieje się na szerszym świecie, o tem, że mógłbym takich książek dostarczyć, ale spojrzał na mnie tak nieufnie, że mnie zmroziło. Zaniechałem więc dalszej rozmowy i zacząłem innego. I ten był z Lubelskiego. Na wiadomość o książkach, zainteresował się, prosił jednak tylko o książki nabożne, prawdziwie katolickie. Domyśliłem się, że był to unita. Niestety, takich właśnie książek nabożnych, przeznaczonych dla unitów, nie mieliśmy z sobą. Była to jednak wskazówka, w co należy się zaopatrywać.

Dalsze moje próby nie dały również szczęśliwego wyniku. U wszystkich napotykałem na opór i nieufność, a kobiety zgoła już nie chciały słyszeć o niczem.

Zniechęciłem się i zacząłem się powoli wycofywać ku naszej oberży, gdzie miałem umówiony punkt „zborny” z Wacławem.

Po chwili zobaczyłem, że i on także podąża w tym kierunku, nie sam jednak. Prowadził z sobą kogoś. Był to, jak się okazało, szewc z Biłgoraja, człowiek dość inteligentny i zorientowany już w tem, co to jest „literatura nielegalna”.

Zmudzinowi udało się wciągnąć go do domu dla obejrzenia książek. Pokazaliśmy mu towar i zachwalaliśmy go, jak dobry kupcy. Wybrał sobie jednak tylko dwie książeczki, a gdyśmy nie chcieli przyjąć za nie pieniędzy, stracił widocznie

do nas zaufanie. Wkońcu więc wzięliśmy po 25 halerzy za książkę.

Gdy poszedł, rozłożyliśmy bezradnie ręce. Trzeba było pójść na nowy połów. Tym razem poszliśmy już obaj razem. Po dość długich poszukiwaniach udało nam się trafić na nauczyciela ludowego, ale z „tej strony”. Pochodził on ze wsi nadgranicznej, zgodził się więc zabrać cały nasz transport do siebie i rozdać go stopniowo pomiędzy ludem z za kordonu.

Uznaliśmy to za jedyne rozwiązanie sprawy, wracać bowiem z pełną walizą do Lwowa nie uchodziło, a ponieważ człowiekowi temu dobrze patrzyło z oczu i wywarł on na nas korzystne wrażenie, przeto doszliśmy do wniosku, że możemy powierzyć mu nasze książki.

Tak też uczyniliśmy, zanotowawszy sobie jego nazwisko i adres. Potem, we Lwowie, sprawdziliśmy, że istotnie była taka wieś, taka szkoła i taki nauczyciel. Byliśmy więc spokojni w naszych sumieniach.

Z Leżajska wracaliśmy o zachodzie słońca, ale inną już drogą i z innym żydkiem, na Łańcut, a stamtąd koleją.

Tak to kształcił nas Dmowski, pokrywając z funduszków, któremi rozporządzał, wszelkie koszty takich i tym podobnych wyjazdów.

Energja jego w pracy konspiracyjnej nie ustawała ani na chwilę, a wszystko, co przedsiębrał, czynił zawsze z humorem, z przeświadczeniem, że

to jest dobre i potrzebne, bez żadnych osłabiających wolę powątpiewań o skuteczności tego lub innego pociągnięcia na szachownicy.

Stosunki nasze w tym okresie były już bardzo bliskie. Nieraz słyszałem wieczorem pod oknem śpiew:

„Najdroższy Dębikonie,
Me serce ku cię płonie...”

i zbiegałem wówczas na dół, aby pójść z Dmowskim na przechadzkę dla omówienia tej lub innej sprawy. Przewał on mnie, na wzór szwajcarski, gdzie jest obfitość nazwisk, zakończonych na „kon”, „Dębikonem” i przezwisko to tak się spopularyzowało, że wkrótce używała go cała nasza kolonja, która niepostrzeżenie rosła, powiększając się o coraz to nowych przybyszów. Duszą jej jednak i przewodnikiem był i pozostał Dmowski aż do swego wyjazdu do Anglii.

Ponieważ wyjeżdżał na dłużej, więc żegnaliśmy go bardzo uroczyście i gromadą odprowadzaliśmy na kolej. Było to jakoś w pierwszych miesiącach 1898 roku. Z Londynu wrócił Dmowski dopiero pod jesień tego roku, ale wrócił prawie niepodobny do tego, jakim wyjechał. Miał już wytworny angielski surduty, lśniący, najnowszego fasonu cylinder, rękawiczki, słowem wyglądał jak prawdziwy dżentelman. Obok tej zmiany zewnętrznej zająć w nim musiały także i zmiany wewnętrzne. Poza konspiracją, która łączyła go z nami, zaczął zawierać stosunki z politykami ga-

licyjskimi, z którymi odbywał dłuższe konferencje. Pewnego razu spotkałem u niego prof. Głębińskiego, który odgrywał już wówczas w życiu politycznym Galicji rolę wybitną.

Nie byłem wtajemniczony w tę akcję, ale wyczuwałem, że „nasza polityka” zaczyna wypływać na szersze wody.

Były to, jak się okazało później, pierwsze posunięcia w kierunku utworzenia w Galicji jawnie działającego stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Dmowski po powrocie z Londynu niedługo jednak bawił we Lwowie. Po kilku miesiącach wyjechał znów na dłużej do Brazylii dla zbadania na miejscu spraw wychodźstwa i osadnictwa polskiego, co wobec wzmagającej się fali emigracyjnej z kraju było zagadnieniem pierwszorzędem.

Gorącym apostołem tworzenia „nowej Polski” w Paranie był na gruncie lwowskim dr. Stanisław Kłobukowski, który bawił w Brazylii przez czas dłuższy i relację z tej podróży zdawał na łamach „Gazety Handlowo-Geograficznej” w sposób, pozostawiający wiele do życzenia pod względem języka i stylu, ale ponieważ nie szło tu o literaturę, lecz o ideę, przeto dowiedzieliśmy się z tych relacji wielu ciekawych rzeczy o naszym wychodźstwie do Ameryki południowej.

„Kłobunio”, jak go pieszczotliwie nazywano w naszej kolonii, był synem znanego w Królestwie radcy Tow. Kredytowego Ziemińskiego, dr. Aleksan-

dra Kłobukowskiego, studjował ekonomję polityczną w Wiedniu i na tamtejszym uniwersytecie otrzymał doktorat.

Jako ekonomista interesował się żywo problemem wychodztwa i pragnął zcentralizować je w jednym stanie brazylijskim. Za najdogodniejszy z tych stanów uważał Paragę i zachęcał wszystkich do wyjazdu tam i osiedlenia się. O ile jednak źle on pisał, o tyle dobrze i zajmująco opowiadał o swoich przygodach podróżniczych. Z Kłobukowskim żyłem w bardzo dobrych stosunkach i wiele nasłuchiwałem się ciekawych rzeczy, bywając u niego na szklance „herva mate“, którą stale pijał zamiast herbaty, wystawiając jej niepospolite zalety, jako napoju orzeźwiającego, przywracającego siły mięśni i mózgu. Mimo tej reklamy nie mogłem jednak znaleźć upodobania w tym płynie, który czuć było dymem prymitywnej suszarni na wendzie chłopskiej. Wolałem chińską herbatę.

Otóż na podróż brazylijską Dmowskiego niewątpliwie wpłynął w dużym stopniu „Kłobunio“ i fanatycznie do idei parańskiej przywiązany dr. Wiktor Ungar, marzący na ten temat sny nieziszczalne.

Dmowski, który marzycielstwa nie lubił, postanowił tedy pojechać na miejsce, zobaczyć, jak rzeczy realnie wyglądają, ocenić je z punktu widzenia polityki polskiej i na podstawie poczynionych spostrzeżeń napisać obszerne dzieło o wychodztwie i osadnictwie.

Ponieważ wyjeżdżał znów na dłużej, więc znów żegnaliśmy go uroczyście, tym razem nawet już dość wystawnym bankietem, na którym nie brakło gorących przemówień.

Powrotu Dmowskiego z Brazylii już się we Lwowie nie doczekałem. Spotkałem się z nim dopiero po latach kilku w Warszawie.

Drugim spotkanym we Lwowie człowiekiem, któremu w rozwoju moim zawdzięczam bardzo wiele i którego pamięć cenię głęboko, był Jan Ludwik Popławski.

Przyjechał on do Lwowa przed samem Bożem Narodzeniem 1895 roku, chroniąc się przed ponownem zesłaniem do Rosji, które mu groziło, jako epilog kilkomiesięcznego pobytu w cytadeli.

Nie było nic innego do wyboru tylko albo poddać się oczekującemu go wyrokowi administracyjnemu, który, jako dla „recydywisty” byłby z pewnością dość surowy, albo — wyemigrować potajemnie zagranicę. Popławski, idąc za radą przyjaciół, wybrał to drugie.

Przyjechał do Lwowa — że to przechodził przez zieloną granicę — tak, jak stał, bez żadnych rzeczy, w wytartym i trochę przyciasnym garniturze i w skromnem palcie zimowem z karakułowym kołnierzem.

Zatrzymał się u Dmowskiego, i tam go spotkałem. Znałem go jeszcze z Warszawy, gdyż Związek młodzieży, do którego należałem, był w stosunkach z redakcją „Głosu”.

Przywitał mnie, chrząknął, poprawił binokle na nosie charakterystycznym swoim ruchem i nie-

Schmidt
dan
zwłocznie zaczął mnie rozpytywać o uniwersytet, o profesorów, o poziom wykładów, objawiając chęć uczęszczania na niektóre z nich, a kto wie, może i złożenia doktoratu. A wpół godziny potem siedzieliśmy już razem w kawiarni Schmidta przy ul. Akademickiej, obłożeni stosami gazet, które Popławski czytał z prawdziwym mistrzostwem. Nigdy się już potem w życiu nie spotkałem z taką umiejętnością czytania dzienników nawet u zawodowych dziennikarzy. Przedewszystkiem dla Popławskiego nie było gazety obojętnej. Niechby to był najmniejszy świstek prowincjonalny, brał go z zainteresowaniem do ręki i tak przeglądął, że od razu wiedział wszystko, co tam jest. Jeżeli to nie warte było jego uwagi, odrzucał. Jeżeli interesowało go, czytał już starannie. Potrafił jednak w czasie swoich „godzin kawiarnianych” przewertować takie góry papieru dziennikarskiego, że mnie to zawsze zdumieniem napełniało, a co już budziło największy we mnie podziw, to to, że czytał on codziennie przynajmniej dziesięć odcinków powieściowych w dziesięciu rozmaitych pismach i treść każdej powieści doskonale obejmował. Dowód to, jak dalece wszystko go interesowało, jak we wszystkim brał udział, jak nic, co było po polsku drukowane, nie było mu obce. Nic dziwnego, że znał i przechowywał w pamięci najdrobniejsze nawet wydarzenia na najgłębszej prowincji, o ile w ten lub inny sposób wiązały się one z życiem ogólnopolskiem i z polityką polską.

Szczególną jednak uwagę zwracał zawsze na to, co działo się w Wielkopolsce, na Śląsku Górnym i na Śląsku cieszyńskim.

Znał nawylot statystykę tych ziem, ludnościową i gospodarczą, wiedział napamięć, ilu tam jest Polaków a ilu Niemców lub Czechów, ile ziemi jest w rękach polskich, a ile w niepolskich, jaka jest liczba dzieci, uczęszczających do szkół, jakie są szanse ludności polskiej przy wyborach i t. p. W ogromnym magazynie jego pamięci publicystycznej przechowywało się to wszystko z taką dokładnością, iż, pisząc artykuł, rzadko kiedy sięgał do materiałów drukowanych. Wystarczało mu w zupełności to, co miał w głowie. Mógł na tem polegać całkowicie.

Nie śniło się jeszcze wówczas nikomu o t. zw. „nauce o Polsce”. Otóż Popławski był jakby uosobieniem tej nauki. Nie napisał wprawdzie, czego bardzo należy żałować, podręcznika na ten temat, ale był bodaj pierwszym w Polsce obywatelem, który w takim zasobie wiedzę o Polsce zgromadził w swoim mózgu i używał jej celowo do obalania fałszów, szerzonych przez publicystów niemieckich, i do orjentowania polskiej opinii publicznej w kierunku prawdy, stwierdzającej pomimo wszystko przyrost sił polskich we wszystkich dzielnicach.

Na zachodzie toczyła się wtedy walka na śmierć i życie między Niemcami a Polakami. Byliśmy tam otoczeni przez węża pruskiej komisji ko-

lonizacyjnej, którego pierścienie zaciskały się coraz szczelniej i coraz silniej dokoła polskich wysp, aby je wkońcu zdusić i strawić. W tej walce jednak wyrabiała się ludność polska. Powstał silny i zorganizowany stan drobnomieszczański, jakiego nie było w innych dzielnicach, a jednocześnie uświadomienie narodowe włościaństwa robiło postępy, mimo szkoły niemieckiej, mimo wojska pruskiego, mimo wychodztwa zarobkowego do Westfalji i wzbierającej ciągle fali emigracji do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie Górnoślązacy i Wielkopolanie byli pierwszymi przybyszami z Polski.

Popławski na to wszystko zwracał pilną uwagę i oceniał to właściwie. Dlatego tak go cieszył rozwój prasy ludowej w tych dzielnicach. Dlatego był stałym i pilnym czytelnikiem wszystkich, wychodzących tam popularnych gazet i pisemek, których zazwyczaj inteligencja polska nigdy nie czytywała, które znała zaledwie z tytułów, albo i nie znała nawet tych tytułów.

To też kiedy inni załamywali ręce, biadali i wołali głośno „giniemy bez ratunku!”, J. L. Popławski uśmiechał się na takie argumenty i znowu stwierdzał zapomocą liczb, że o przyszłości wątpić nie należy i nie można, bo chociaż pozornie jesteśmy rzeczywiście skazani przez Niemców na „wymarcie”, to jednak żywotność ludu polskiego, jego siła rozrodcza i jego przywiązanie do religii katolickiej, do języka i do obyczaju polskiego sta-

nowią bastjon nie do zdobycia, o który Niemcy, jeśli nawet zwyciężą w dalszej perspektywie dziejowej, to bardzo poszczerbią sobie zęby. Ale któż wie dzisiaj, jakie są „dalsze perspektywy dziejowe” cesarstwa niemieckiego? Za wcześnie jest więc mówić o tem. Trzeba raczej uważnie badać to, co dzieje się w zaborze pruskim i wspierać wszelkimi siłami nie tylko budzący się tam ruch narodowy, lecz i ruch o charakterze gospodarczym, który przysparza narodowi jednostek ekonomicznie silnych, a więc zdolniejszych przez to do wytrzymania naporu germanizacyjnego i do przeciwstawienia mu się. „Niemcy — mówił — mogą przenieść w głąb państwa albo i pozbawić zupełnie chleba Polaka urzędnika administracyjnego, sędziego, nauczyciela gimnazjalnego lub ludowego, ale nie mogą zmusić do takiego przeniesienia się drobnego kupca lub rzemieślnika, którym dobrze dzieje się w ich miasteczku, których dostatek się tam pomnaża i którzy stają się przez to coraz lepszymi płatnikami podatków. Najcenniejsza to więc nasza zdobycz w ostatnich dziesięcioleciach, o tę warstwę drobnomieszczańską opiera się bowiem także lud wiejski, podobnie, jak ona czerpie z niego coraz to nowe swoje siły, bo ludność wiejska z natury rzeczy ciągnie do miast i miasteczek i znajdując tam zarobek w drobnym przemyśle i handlu, urbanizuje się już zupełnie w drugim pokoleniu, stwarzając dla napływowej miejskiej ludności niemieckiej coraz silniejsze

współzawodnictwo. Raczej więc może nadejść chwila, w której Niemcy zaczną wynosić się z naszych miasteczek wielkopolskich, o ile każdy Polak będzie wspierał sklepy polskie a unikał niemieckich, a o tem nie można wątpić."

Mając oczy, obrócone na Zachód, Popławski równie pilnie badał stosunki na Wschodzie. Uważał jednak, że tam jesteśmy jeszcze silniejsi kulturą i stanem posiadania, że przeto mniejsze grozi nam niebezpieczeństwo zagłady na Litwie i Rusi, mimo wszystkich wysiłków rusyfikacyjnych polityki „objedinenija“, zainicjowanej przez Aleksandra III, a kontynuowanej przez rządy Mikołaja II. Natomiast niebezpieczeństwo na Zachodzie było w jego oczach największem niebezpieczeństwem. Cenił tu i uważał za nienaruszalny skarb narodowy nie już każdą morgę magdeburską, lecz każdy metr ziemi, znajdującej się w polskich rękach, i nad niczem bardziej nie bolał, jak nad zdarzającemi się, niestety, wówczas wypadkami „dobrowolnego“ przechodzenia polskich „dóbr rycerskich“ we władanie komisji kolonizacyjnej.

Częste rozmowy z Popławskim na ten temat ctwierały mi powoli oczy na stan kwestji polskiej w jej całokształcie, Popławski bowiem należał do tych nielicznych w mojem pokoleniu Polaków, dla których nie istniały granice rozbiorowe i którzy z całą swobodą przekraczali kordony międzydzielnicowe w swoich rozumowaniach i koncepcjach politycznych, obejmując okiem, uczuciem i przewi-

dującym rozumem całość Rzeczypospolitej z przed roku 1772.

Cichy i skromny ten człowiek, małomówny zwykle w liczniejszym towarzystwie, ale niezrównany zato w swoim emanowaniu się w szczuplejszym gronie, nie wyglądał zewnętrznie na to, że jest właściwym kierownikiem ideowym rosnącej szybko w siły grupy politycznej, która w odrodzeniu Polski odegrać miała poważną rolę jednego z najbardziej twórczych czynników nowego życia.

Średniego wzrostu, blondyn, z niestaránnie utrzymaną czupryną i rzadko przyszczyganą brodą, z nieodstępną krótką fajeczką w ustach, którą wyjmował i trzymał w prawej ręce tylko wówczas, gdy miał przemawiać, nerwowy w ruchach, nieśmiały w obejściu i chętnie trzymający się na boku, zawsze z krzywo zawiązanym czy źle przypiętym krawatem, w ubraniu raczej niedbały, bo go niewiele obchodziło to, co miał na sobie, dopiero przy bliższym poznaniu zyskiwał i jednał sobie zwolenników i przyjaciół, których podbijała mu jasność, bystrość i potęga jego myśli, mającej jedynie i wyłącznie dobro narodu na widoku.

O siebie nie dbał, o siebie nawet nie myślał. Wystarczało mu, jeżeli miał dach na głowę i obiad zapewniony. Poza tem całego siebie oddawał sprawie.

W pierwszych momentach jego pobytu we Lwowie, kiedy już podzielił z Dmowskim obowiązki redaktora „Przeglądu Wszechpolskiego” i zabrał

się do roboty, było jego marzeniem sprawić sobie porządną czarną czamare, która zastępowałaby mu surdut. Uważał ją za najwygodniejszą, gdyż w stroju takim o charakterze narodowym można było pokazać się wszędzie. Cóż za wygoda, nie przebijając się, od rana być gotowym na wszystkie okoliczności dnia!

Po kilku tygodniach paradował już w tej czamarze, zapinanej na drobne guziczki i odsłaniającej ledwie rąbek kołnierzyka i kawałek krawata. Chwalił sobie bardzo to ubranie, bo go wyzwoliło z pęt mody, do której ani umiał ani chciał się stosować. Czamara ta tak się z nim zrosła, że trudno go już było wyobrazić sobie w żakiecie lub w marynarce, a coś dopiero we fraku, którego zapewne przez całe życie swoje nie miał na sobie.

Drugim jego gorącym pragnieniem było sprowadzić do Lwowa żonę i dzieci, które narazie zostały w Warszawie i którym z powodu „ucieczki” męża i ojca mogły grozić szykany żandarmów. Udało im się jednak wyjechać dość szybko i bez przeszkód.

Wielka to była radość dla pana Jana. Pamiętam, jak na wiadomość o rychłym przyjeździe rodziny, zaczęliśmy „nagwałt” szukać mieszkania.

Znaleźliśmy trzy małe pokoiki na ul. Mochnackiego, niedaleko Gołębiej. Trzeba je było jako tako umeblować i tu Słoneczna ulica przyszła nam z pomocą.

W tem mieszkaniu pp. Popławscy mieszkali przez cały czas mojego pobytu we Lwowie.

W największym pokoju środkowym, który był zarazem gabinetem do pracy pisarskiej gospodarza i pokojem do przyjęć, stało zielonem suknem obite biurko na wysokich nogach, rodzaj kantorka typu buchalteryjnego, na którym spoczywa zwykle w biurach handlowych „wielka księga”, i przy którym pracuje się stojąc.

Nieraz podczas mojej obecności, i nietylko mojej lecz i kilku innych osób, kiedy rozmawialiśmy w jednym kącie pokoju z panią Felicją Popławską, z domu Potocką, siostrą Józefa, Antoniego i Ksawerego, a kiedy na środku tego pokoju dość hałaśliwie bawiły się dzieci, ponad wiek rozwinięta umysłowo Janeczka i młodszy od niej Wicio, zaczynający dopiero poznawać tajemnice abecadła, w tym samym czasie Popławski, stojąc przy biurku, najspokojniej w świecie pracował, zapisując swoim równem, okrągłym, niemal kaligraficznym pismem ćwiartkę za ćwiartką papieru. Nietylko że mu nic nie przeszkadzało w toku myśli i przelewaniu jej na papier, ale brał on jednocześnie udział w naszej rozmowie i od czasu do czasu, podniósłszy głowę, dorzucał do niej jakieś słowo, jakąś swoją uwagę. Podobnie odpowiadał z całą gotowością i pogodą na pytania dzieci, gdy te zażądały od jego ojcowskiego autorytetu rozstrzygnięcia, które z nich ma słuszność lub jak należy dalej prowadzić rozpoczętą zabawę czy grę.

Dowodzi to nietylko wszechstronności tego wyjątkowego umysłu, lecz i wielkiego opanowania nerwów i wielkiej siły woli, umiejącej koncentrować, mimo przeszkód, uwagę na jednym przedmiocie.

Były to niewątpliwie zalety polityka w wielkim stylu, który umiał i mógł myśleć z natężeniem o jednej kwestji, dopóki nie przemyślał jej do gruntu, a jednocześnie nie tracić kontaktu z tem, co go otaczało.

Takim politykiem był Popławski i byłby z pewnością odegrał wybitną rolę w kształtowaniu i układaniu się stosunków politycznych w Polsce niepodległej, gdyby jej zmartwychwstania, dla którego przez całe życie pracował, doczekał. Losy jednak zamknęły go, niestety, w ciasnych ramach życia konspiracyjnego. Niemniej wpływ jego na ówczesną polską myśl polityczną był ogromny. Rozumiał to i oceniał Dmowski, który od czasu jego przyjazdu do Lwowa nie przedsięwziął niczego, nie napisał nawet żadnego artykułu bez uprzedniej narady „z Jankiem”.

Talent publicystyczny Popławskiego odrazu też odbił się na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego”. Pismo to zyskało w nim rzeczywistego i wytrawnego kierownika, chociaż właściwe kierownictwo objął on dopiero po wyjeździe Dmowskiego do Londynu.

We Lwowie żyło się Popławskiemu dobrze, Dom utrzymywał wprawdzie na bardzo skromnej

stopie i niejednego było tam brak, ale już to samo, że ta skromna egzystencja była względnie spokojna, że każde jutro było zapewnione, odejmowało wiele trosk. Nadewszystko też pracowało się i spało w tem mieście spokojnie, bez obawy o to, że w nocy przyjdą żandarmi i przewrócą wszystko do góry nogami. W Warszawie zdarzyło się to Popławskiemu kilkakrotnie i kilkakrotnie odbywał on tak nazwaną żartobliwie przez siebie „powinność więzienną“, powszechnie obowiązującą Polaków w zaborze rosyjskim tak, jak gdzie indziej obowiązywała powszechna służba wojskowa. Od wojska w Królestwie inteligencja mogła się być jeszcze wykręcić, bo niechętnie przyjmowano do szeregów „zarażonych rewolucją“ młodzieńców, ale od odbycia „powinności więziennej“ rzadko kto mógł się uchylić w pokoleniu ówczesnem.

Popławski odbył tę „powinność“ jeszcze, jako student prawa uniwersytetu warszawskiego. Będąc na trzecim kursie, wpadł w ręce żandarmów w związku ze sprawą Adama Szymańskiego (1878 r.), późniejszego autora „Szkiców“ syberyjskich, i przypłacił ten swój pierwszy „grzech młodości“ pięcioletnim pobytem w Wiatce.

Obecnie, jako ojciec rodziny, nie miał ochoty na powtórzenie tych przymusowych rekolleksyj na północy, i dlatego wybrał raczej emigrację, niż zagrażające mu wygnanie.

We Lwowie miał „dzień spokojny i noc nietęskliwą“, to też oceniał to właściwie.

Bardzo przywiązany do rodziny, najlepszy mąż i najlepszy ojciec, rozradowany budzącą się inteligencją dzieci, która zapowiadała się u obojga zgola niepowszednio, był najszcześliwszy, kiedy znajdował się w gronie swoich najbliższych. Niestety, praca niewiele pozostawiała mu wolnego czasu. Nie narzekał jednak nigdy na to, nie skarżył się na przeciążenie robotą, nie porównywał swojej doli z dołą ludzi, którzy nie potrzebowali się tak zapracowywać dla kawałka chleba. Był ze swojego losu zadowolony, bo miał — po raz pierwszy w życiu, jeżeli nie liczyć czasu spędzonego w celi więziennej i lat wygnania — warunki, pozwalające na wewnętrzne skupienie się i wysilek mózgu w kierunku, który go zajmował.

Pracował też bardzo dużo, zwłaszcza od chwili, kiedy po wyjeździe Dmowskiego do Londynu spadł na jego barki cały ciężar redagowania i wydawania „Przeglądu Wszechpolskiego“, a obok tego popularnego miesięcznika ludowego p. t. „Polak“, przeznaczonego głównie dla Królestwa.

W „Polaka“ Popławski włożył bardzo wiele energii. Niemal wszystkie artykuły, drukowane w tem piśmie, wychodziły z pod jego pióra, a jeśli posiłkował się współpracownictwem ubocznem, to dbał bardzo o dobór materiału i o dobór piór.

Widząc go przy tej pracy, nabierałem dla niego coraz większego szacunku, a jednocześnie przekonywałem się coraz częściej, że pozyskałem jego sympatję, że darzy on mnie zaufaniem i przychył-

nie patrzy na moje próby literackie. Z jego inicjatywy napisałem też szereg artykułów rozmaitej treści, zarówno do „Przeglądu”, jak do „Polaka”.

Popławski był w obcowaniu ze mną bardzo miły, prawie koleżeński, mimo dużej różnicy wieku. Jeżeli się czasem „zaperzył”, to tylko w dyskusji politycznej, obok bowiem siły przekonania ogarniała go wówczas także namiętność, której nie umiał pohamować. Ale ta „zupa mleczna” szybko opadała i na twarzy jego błyskał znów pogodny i przyjemny uśmiech; był to bowiem człowiek nawskroś pogodnego usposobienia. Lubił i cenił dobry humor. Z uwagą słuchał zawsze wszystkich anegdot, opowiadanych tak obficie i dobrze przez Dmowskiego, i umiał śmiać się z nich serdecznie. Sam nawet dorzucał czasem w towarzystwie to i owo dla podniesienia temperatury. Lubił zwłaszcza wspominać swoje szkolne czasy, swoje młode lata, spędzone w gimnazjum lubelskim, i psie figle, płatanie żołnierzom rosyjskim z koszar, na przeciw których mieszkał. Były to czasem rzeczy niegodziwe, ale któż takich niegodziwości w wieku chłopięcym nie popełniał!

— Pewnego razu — opowiadał Popławski — postanowiliśmy w kilku zażartować sobie grubiej z żołnierzy. Kupiliśmy cały wianek serdelków, wydobyliśmy z nich delikatnie wnętrza i spożyliśmy z apetytem, poczem wypchaliśmy skórki gnijącymi odpadkami, zaczerpniętymi ze śmietnika. Zawinęliśmy to starannie w papier, obwiązali

kolorowem łyczkiem i położyli na ulicy, niby zgubioną przez kogoś paczkę. Sami zaś, ukryci za framugą okna, przyglądaliśmy się, co z tego wyniknie. Niedługo trzeba było czekać. Wyszło z koszar trzech żołnierzy, bo było to w godzinach popołudniowych, kiedy wolno im było wychodzić na miasto, i zaraz natknęli się na leżącą na ziemi paczkę. Jeden z nich podniósł ją, rozwinął i z radością wydobył wianek spreparowanych przez nas serdelków. Z triumfem poniósł łakomą zdobycz do ust i rozgryzł serdelek. Oczywiście, natychmiast skrzywił się, splunął i z okrzykiem: „Poganaja gadost'!” rzucił cały wianek na bruk i przydeptał obcasem. A my zaśmiewaliśmy się z radości, że tak nam się ten figiel udał...

Przytoczyłem to opowiadanie dlatego, iż rzuca ono światło na stosunki, panujące wówczas w Królestwie, gdzie nawet na dnie takich psot uczniowskich był podkład polityczny — chęć przeciwstawienia się i dokuczenia Moskalom, dziecinna walka, ale walka z najazdem.

W atmosferze tej walki wyrósł Popławski i stał się z biegiem czasu jednym z czołowych jej przedstawicieli w pokoleniu, do którego należał.

Dążenie do niepodległości Polski było najbardziej zasadniczym dążeniem jego duszy i jego umysłu. Miał on głębokie przekonanie, że sprawa polska nie jest bynajmniej sprawą przegraną, że w dzisiejszym układzie stosunków politycznych w Europie wygląda ona źle, ale w jutrzejszym,

który przyjść musi, bo w polityce niema nic trwałego, może będzie wyglądała lepiej, aż nadejdzie wreszcie dzień, w którym będzie ona musiała być uregulowana w sposób dla Polski i dla Polaków możliwy do przyjęcia.

Ten jego optymizm, który krzewił dokoła siebie i który wszczepiał zwłaszcza nam, młodym, kupiącym się dokoła niego, był rzeczą bardzo cenną, tem cenniejszą, iż przez świat płynęła wówczas czarna fala zwątpienia, od której wpływów trudno było się uchronić.

Pamiętam, gdy rozmawiałem z nim na ten temat po przeczytaniu książki Firensa Gavaerta p. t. „La tristesse contemporaine”.

Popławski, który rozumiał i odczuwał doskonale prądy literackie i filozoficzne zachodnio-europejskie, któremu nie obca była żadna myśl współczesna, tłumaczył mi, że pesymizm jest właściwością narodów starych, zmęczonych i wyczerpanych, które tracą rozpęd życiowy. My tymczasem jesteśmy narodem młodym, rosnącym w siły, który za wszelką cenę powinien wierzyć w swoją przyszłość, w to, że na niego teraz przychodzi kolej. Powoływał się przytem na młodego, początkującego wówczas filozofa, dra Ludwika Posadzego, który, broniąc swej rozprawy doktoryzacyjnej w jednym z uniwersytetów niemieckich, gdy mu któryś z profesorów zaoponował, miał mu powiedzieć: „Wy, Niemcy, nie macie tu nic do

powiedzenia; wasza rola jest już skończona w nauce; teraz kolej na nas, na naszą filozofję, na pracę naszego ducha i myśli".

To powiedzenie musiało sprawić Popławskiemu wielką radość, bo je przytaczał później dość często.

Pragnąc dla swojego narodu i swojego społeczeństwa przedewszystkiem zdrowia, które jest podstawą jasnego światopoglądu, przeciwstawiał się on stanowczo temu, co uważał za dowód charłactwa moralnego. Wynikiem takiego charłactwa był dla niego pesymizm — objaw zaniku w umyśle ludzkim zdolności zdobywczych.

Tylko umysły bierne — mówił — poddają się zwątpieniu. Umysły czynne walczą z niem i koniec końców zawsze zwyciężają, bo zawsze znajdują dla siebie jakąś deskę ratunku. Podobnie jest z narodami. Zwyciężą na świecie te, które będą na rzecz swoją czynniejsze. Dlatego wrogami naszymi są dzisiaj nietylko Moskale, Niemcy i Austriacy, lecz także nasza własna bierność i apatja. Zwalczać ją w sobie i dokoła siebie jest przeto najpierwszym obowiązkiem każdego trzeźwo myślącego i kochającego swój kraj Polaka a cóż dopiero pisarza polskiego, który ma ten przywilej, że go ludzie czytają i nieraz idą za jego wskazówkami.

Zapadły mi te słowa głęboko w pamięć, a jeżeli nie cytuję ich dzisiaj ściśle, to cytuję je w każdym razie wiernie co do istotnej, zawartej

w nich treści, bo ta treść wypełniła moje życie wewnętrzne.

Jeżeli też, będąc z natury skłonny do pesymizmu, w działalności swojej publicystycznej i literackiej szedłem raczej zawsze drogą optymizmu, to zawdzięczam to w dużej mierze obcowaniu w młodych latach z Popławskim.

Wpływ jego na mój rozwój był wielostronny, bo on także uformował mój stosunek do literatury i sztuki. Jak cała młodzież ówczesna, skłaniałem się wtedy ku tak zwanemu *modernizmowi*, który zaczynał wówczas kiełkować na gruncie polskim, szczególnie w Galicji, pozostającej pod wpływem Wiednia, gdzie wschodziły wówczas gwiazdy Artura Schnitzlera i Piotra Altenberga i gdzie w dymie kawiarnianym rodziła się „Stimmungspoese”, poezja nastrojowa, której pierwszym przedstawicielem w liryce polskiej był wiedeńczyk Ludwik Szczepański. Jednocześnie, z drugiej strony, przenikał do Polski Maurycy Maeterlinck, któremu zaczynali hołdować dwaj poeci krakowscy — głośny już Kazimierz Przerwa-Tetmajer i Lucjan Rydel.

Lwów żył wtedy echemi tych poczyną, ale już rozmawiano w nim o nowych prądach. Otóż Popławski zwrócił mi raz w rozmowie na ten temat uwagę na powinowactwo „nowej sztuki” ze sztuką pierwotną, „barbarzyńską”, jak mówił, przyczem tłumaczył ten objaw wkroczeniem do współczesnego życia kulturalnego warstw napół cywilizo-

wanych, nie posiadających wyższej dziedzicznej kultury „arystokratycznej”. Nie uważał on tego za złe, przeciwnie uznawał to za konieczny wynik postępującego w całej Europie i u nas procesu demokratyzacji, radził jednak przeczekać „dreszcze” i zobaczyć, co ta „nowa sztuka” da istotnie nowego.

Z rozmowy tej, odpowiednio pogłębionej i rozszerzonej, powstał w następstwie wygłoszony w Związku Naukowo - Literackim świetny odczyt Popławskiego o modernistach¹.

Świadczy to, że Popławski był nie tylko publicystą. Był także głębokim i wnikliwym krytykiem literackim, oceniającym właściwie każde zjawisko z dziedziny piękna, które go interesowało narówni ze zjawiskami życia politycznego.

Tak nieraz, siedząc w kawiarni Schmidta i grając z przyjaciółmi w ulubione domino, wyjmował z ust krótką fajeczkę i, gestykulując nią, wypowiadał mądre uwagi o sztuce ówczesnej i nurtujących w niej prądach.

Nauczał, jak mistrz, nie wiedząc o tem i nie przykładając żadnej do tego wagi.

Takim go widzę dzisiaj jeszcze, po latach.

¹ Zob. J. L. Popławski. Szkice literackie i naukowe. Warszawa 1910. Nakładem księgarni E. Wende i Ska (T. Hiż i A. Turkuł). Str. 162 i nast.

IGNACY I KAROLINA DOMAGALSCY,
STANISŁAW SZCZEPANOWSKI, NAR-
CYZ ULMER, TADEUSZ ROMANOWICZ

Jeżeli Roman Dmowski i Jan Ludwik Popławski byli ośrodkiem intelektualnym i politycznym, dokoła którego skupiała się ówczesna kolonia warszawska we Lwowie, to ogniskiem towarzyskiego życia tej kolonii był dom Ignacostwa Domagalskich przy ul. św. Zofji.

Niezapomniany dla mnie dom!

Ignacy Domagalski, „Kronenberczyk”, to znaczy wychowaniec słynnej szkoły handlowej Kronenberga w Warszawie, pochodził z Sierpca w ziemi płockiej, gdzie ojciec jego był rejentem. Po ukończeniu szkoły pracował, jako urzędnik, na kolei Dęblińsko-Dąbrowskiej. Rychło jednak dostał się do cytaдели, poczem unikając zesłania do Rosji, wyjechał zagranicę. Czas jakiś bawił w Cieszynie, skąd przeniósł się do Lwowa, gdzie otrzymał dość wybitne i stosunkowo dobrze płatne stanowisko „lustratora” w Związku Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych. Związek ten obejmował cały kraj, a że obowiązkiem „lustratora” było kolejne odwiedzanie wszystkich prowincjonalnych stowarzyszeń i badanie racjonalności ich gospodarki, przeto Domagalski w krótkim czasie

poznał Galicję tak, jak żaden z nas jej nie znał. Był doskonałym o niej informatorem, zwłaszcza stosunki ekonomiczne znał nawylot, gdyż, jako dobry fachowiec, orjentował się w nich szybko i dokładnie. Ignacy Domagalski ożeniony był z Karoliną Smoleńcówną, która była uosobieniem dobroci, łagodności i uczynności.

Była to wówczas młoda para małżeńska, będąca prawdziwym wzorem pożycia. Do zupełnego szczęścia brak jej było tylko potomstwa. Ten brak jednak wypełniali oboje pracą społeczno-narodową, której oddawali wszystko swój wolny czas i wszystkie swoje siły.

Pani Karolina Domagalska była mistrzynią w przyrządzaniu t. zw. „ornatów”. Jej to ręce dziergały te drobne ścięgi na płótnie, w które obszywała transporty „Przeglądu Wszechpolskiego” i „Polaka”, przeznaczone dla Królestwa i Warszawy. Ona też z przemiłym uśmiechem pomagała przywdziewać je tym, którzy zabierali je „na sobie”, i sprawdzała, czy „ornat” dobrze pasuje, dopytując się troskliwie, czy aby nie ugniata i nie tamuje swobody ruchów. Trzeba było jakiejś poprawki, to ją czyniła natychmiast, trzeba było ująć, to ujmowała, — dołożyć, to dokładała, prując, jak Penelopa, przed chwilą dopiero ukończoną robotę.

W domu pp. Domagalskich panowała atmosfera miła i pogodna. Pełno tam było słońca i kwiatów, starannie hodowanych, jeszcze pełniej przy-

jaźni dla ludzi. Nie dziw, że ten dom przyciągał nas wszystkich i że przychodziliśmy tam na skromną wieczorną herbatę chętnie i licznie. Bywało nieraz po dwadzieścia i więcej osób w małym trzypokojowym, skromnie umeblowanym mieszkaniu przy oddalonej od miasta ulicy św. Zofji, gdzie przy stole, zastawionym na „warszawski sposób”, toczyły się wartkie i żywe rozmowy na aktualne tematy. Po ich wyczerpaniu łącznikiem między gospodarstwem i gośćmi stawała się wspólna wszystkim tęsknota do Warszawy. Zaczynano wówczas wspominać ubiegłe lata, opowiadać o przyczynach swojego wychodźstwa, o więzieniach i o śledztwach, o wyprowadzeniu w pole żandar mów i rozmaitych przygodach konspiracyjnego życia.

Otwierały się szeroko serca i dusze, ludzie zbliżali się do siebie i łączyli, jakby w jedną rodzinę, w jedno przyjacielskie koło. Ciepło wzajemnej sympatji udzielało się wszystkim i niepostrzeżenie zebrania te przeciągały się długo w noc.

Lwów już spał, kiedy rozchodziliśmy się do domów, pokrzepieni na duchu i na humorach, wdzięczni obojgu Domagalskim za to, że nas umieli zgromadzić i tak sercem swoim ugościć.

Domagalski poza tem był jakby ministrem finansów w naszej kolonji. Do niego uciekano się zawsze w nagłej potrzebie i u niego znajdowano zawsze pomoc. Przedewszystkiem latał on z gotowością i ku własnemu nieraz uszczerbkowi dziu-

ry w budżecie „Przeglądu Wszechpolskiego“, gdy pieniądze z Warszawy nie przychodziły na czas, a zdarzało się to często. Często także pokrywał z własnych funduszy wydatki na cele konspiracyjne. On też przeprowadzał wszelkie kalkulacje rachunkowe w tej dziedzinie, był bowiem jedynym wśród nas umiejącym i lubiącym rachować.

Administrując przedtem wydawnictwem „Z dzisiejszej doby“, miał w tem już wprawę i kto wie, czy nie ujemne dla swojej kieszeni doświadczenie, gotowość do ofiarności była w nim jednak tak wielka, że nie wahałby się oddać wszystkiego, co posiadał, na cel, któryby uznał za godny tego.

Fanatyk ruchu spółdzielczego, wyobrażający sobie przyszłą Polskę, pokrytą siecią towarzystw spółdzielczych, ogarniających wszystkie warstwy społeczne i chroniących zarówno robotników miejskich, jak włościan przed wyzyskiem pośredników, szczepił on wśród nas swoją ukochaną ideę.

Z jego to inicjatywy powstało we Lwowie w r. 1897 Towarzystwo Wydawnicze, jako Spółka z ograniczoną poręką.

Wszyscy zostaliśmy członkami tego Towarzystwa, wpłacając ratami udziały pięćdziesięciokoronowe. Niewielki w sumie stworzyło to kapitał, pozwoliło jednak na wydanie pierwszej książki, którą powitaliśmy z wielką radością. Był to nabyty przez Domagalskiego od Stefana Żeromskiego tom nowel p. t. „Rozdzióbią nas kruki, wrony...“ Książka była „necenzuralna“, szło więc o to, że-

by jak największą liczbę jej egzemplarzy prze-
rzucić za kordon, co też udało się uczynić.

Zachęcony tem Żeromski oferował Towarzy-
stwu niebawem „Syzyfowe prace”.

Pamiętam dobrze, jak pewnego razu, powró-
ciwszy z „lustracyjnej” swojej podróży, Doma-
galski wydobyl z walizki gruby, oprawny zeszyt
i zwiastował nam o zdobyczy, którą przywiózł.
Widziałem wówczas po raz pierwszy rękopis Że-
romskiego, przepisany na czysto tak pięknie, jak-
by to uczynił pierwszorzędny kaligraf.

Pociągnięty wyraźnem pismem, zacząłem czy-
tać i nie mogłem się już oderwać. Wyprosiłem
sobie u Domagalskiego, że mi użyczy rękopisu na
jedną noc i zabrałem go z sobą do domu. Połkną-
łem powieść jednym tchem i w dodatku z dumą,
iż jestem pierwszym jej czytelnikiem.

Opowiadałem to kiedyś, po latach, Żeromskie-
mu, który mnie jednak pozbawił tego miłego złu-
dzenia, stwierdzając, iż pierwszym czyteln-
kiem „Syzyfowych prac” poza p. Oktawją Żerom-
ską był dr. Rafał Radziwiłłowicz.

Przeczytany rękopis odniosłem nazajutrz Do-
magalskiemu, radząc drukować go jak najszybciej,
choćby dniami i nocami. Niestety, brak pieniędzy
w kasie Towarzystwa nie pozwolił skutecznie te-
go od razu. Trzeba było wydać przedtem „Sztukę
i krytykę” Witkiewicza. Rękopis ów przeleżał do-
brych kilka miesięcy w biurku Domagalskiego, za-
nim poszedł do drukarni.

Domagalskiemu zawdzięczam — i do końca życia będę o tem pamiętał — wydanie pierwszych moich poezyj. On mnie do tego namówił — nieśmiałego, początkującego poetę, który ledwie otrzymał absolutorjum uniwersyteckie, i on mi wspinałomyślnie ofiarował oszałamiające honorarjum w kwocie 160 koron austriackich za „Ekstazę”. Było to w roku 1898. W rok potem otrzymałem już za „Noce bezsenne” 200 koron. A potem, kiedy już mieszkałem w Warszawie, wyszły jeszcze nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie moje: „Święto kwiatów”, „Kiedy ranne wstają zorze” i „Ojcze Nasz, Modlitwy wieczorne”, zilustrowane przez Stanisława Dębickiego.

W ten sposób działalność moja literacka związała się przez firmę Towarzystwa Wydawniczego ze Lwowem tak dalece, że przez dłuższy czas brano mnie w Warszawie za lwowianina.

Ten gest Domagalskiego w stosunku do mnie świadczył, że nie myślał on tylko o tem, aby wydawnictwa przynosiły zysk, to znaczy nie kierował się wyłącznie księgarską kalkulacją, lecz uważał także za swój obowiązek podawać rękę młodemu, nieznanemu jeszcze autorom. Tak jednocześnie ze mną debjutował w Towarzystwie tomem swoich „Szkiców literackich” nieznanymi jeszcze wówczas poza obrębem Krakowa Adolf Nowaczyński.

Domagalski był w Towarzystwie Wydawniczym wszystkim. On je stworzył i on zarządzał przez

szereg lat jego sprawami, dopóki te sprawy nie rozrosły się tak, że musiał być przyjęty specjalny administrator płatny w osobie Ludwika Pręgowskiego, młodszego brata Piotra. Było to jednak już po moim wyjeździe ze Lwowa. Za mego pobytu Towarzystwo stało i rozwijało się wyłącznie ofiarnością czasu i pracy niezastąpionego pana Ignacego.

On nabywał rękopisy, zawierał umowy z drukarnią, starannie dopilnowywał druku, sam przeprowadzał wszystkie korekty, korzystając chyba tylko z pomocy żony, i sam puszczał wydane książki w obieg.

Wyjeżdżając na prowincję w celach „lustracji”, zabierał zwykle do swojej podróźnej walizki kilkanaście lub kilkadziesiąt egzemplarzy nowej książki i umieszczał te egzemplarze po księgarniach lub księgarenkach małomiejskich.

Miał z tem dużo kłopotu, księgarstwo bowiem galicyjskie poza Krakowem i Lwowem stało wówczas na bardzo niskim poziomie organizacyjnym, było złym odbiorcą książki i złym jej sprzedawcą, a że księgarze krakowscy i lwowscy nieprzychylnem okiem patrzyli na współzawodnictwo Towarzystwa i bynajmniej nie kwapili się do otoczenia opieką jego wydawnictw, przeto trzeba było torować dla tych wydawnictw drogi na własną rękę.

Domagalski, który był cierpliwy i nie zrażał się niczem, potrafił wkońcu tego dopiąć i spopularyzował „swoje książki” w kraju.

Marzył on o założeniu przez Towarzystwo księgarni we Lwowie, ale brak na to było środków. Narazie więc skład książek mieścił się w jego mieszkaniu. Niebawem książki te zajęły cały pokój i spiętrzyły się aż pod sufit.

Co się tyczy księgarstwa lwowskiego, to sam wówczas doświadczyłem na sobie jego złej organizacji.

Potrzebowałem kiedyś pilnie do odczytu, który miałem wygłosić, przekładów Leopardiego, dokonanych przez Porębowicza a wydanych w Warszawie w lewentalowskiej „Bibliotece Najcelniejszych Utworów”. Poszedłem do księgarni Połonieckiego, z którą byłem w dobrych stosunkach, i prosiłem o jak najszybsze sprowadzenie mi tej książki. Przrzeczono mi to załatwić niezwłocznie. Minał jednak tydzień, a książki nie było. Zapytałem więc o przyczynę takiej zwłoki, gdyż obliczyłem sobie, że w ciągu czterech, najdalej pięciu dni powinienem był książkę z Warszawy otrzymać.

Połoniecki wyjaśnił mi wówczas, iż książek z Warszawy nie sprowadza się bezpośrednio, lecz przez agencję Brockhousa w Lipsku. Agencja, oczywiście, nie miała na składzie Leopardiego, musiała więc zwrócić się po tę książkę do Warszawy, a dopiero otrzymawszy ją stamtąd, mogła ją była wysłać do Lwowa. Tak było istotnie, wkońcu bowiem po dwóch tygodniach oczekiwania otrzymałem żądane przekłady.

Zdziwiło mnie to wszystko niepomatu i sprawę tę podniosłem w którymś z pism. Miało to ten dobry skutek, że Połoniecki nawiązał od tej pory bezpośrednio stosunki z Warszawą, omijając Lipsk.

Wracam jednak do Domagalskiego. Potrafił on mnie zainteresować Towarzystwem Wydawniczym tak, że nieraz mu pomagałem, spędzając z nim razem wieczory nad rachunkami, korespondencją albo korektami. Niewielka była ta moja pomoc, ale zato wiele korzystałem z obcowania z tym doskonałym człowiekiem, oddanym całkowicie służbie narodowej i społecznej.

Niewielu w życiu spotkałem ludzi o tak kryształowym charakterze i o takim przywiązaniu do idei, która płonęła w nim jakimś wyjątkowo jasnym płomieniem.

Była pomiędzy nami różnica wieku dość znaczna, nie mówiliśmy więc z sobą o przyjaźni, a jednak zaprzyjaźniliśmy się. Przyszło to samo przez się, przez wzajemne przyzwyczajanie się do siebie, przez coraz częstszą potrzebę spotykania się.

Ze strony Domagalskiego dowodem jego dla mnie przyjaźni było przede wszystkim to, że wprowadził mnie on do Związku Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych, gdzie sam pracował i gdzie zająłem doskonałe, jak na początku jego pracownika, płatną posadę, o czym zresztą, wspominałem już wyżej.

Od tej pory byliśmy „kolegami”, spotykaliśmy się codzień w biurze, a nieraz i poza biurem.

Na terenie biurowym Domagalski opiekował się mną i wyrabiał mi jak najlepszą opinię u władzy przełożonej. Tą władzą przełożoną był sekretarz Związku, ś. p. Narcyz Ulmer, człowiek bardzo zdolny, znający nawylot sprawy spółdzielcze, zwłaszcza w dziedzinie kredytowej, wróg zapamiętały t. zw. „familijnych“ towarzystw kredytowych żydowskich, polegających na tem, że małomiejska rodzina żydowska zakładała w miasteczku towarzystwo na zasadzie normalnej ustawy, lokowała w niem swoje większe lub mniejsze kapitały i prowadziła operacje kredytowe, przyczem piastowała jednocześnie w takim towarzystwie wszystkie urzędy. Prezesem rady nadzorczej był dziadek, dyrektorem syn, kasjerem zięć, członkowie komisji rewizyjnej także składali się z krewnych i w ten sposób lichwa mogła być uprawiana bez żadnych przeszkód.

Na tle opłakanych galicyjskich stosunków gospodarczych był to niebezpieczny liszaj. Kredyt, udzielany przez takie towarzystwa, nie był kredytem wytwórczym. Był on wyłącznie kredytem konsumcyjnym, a że był łatwy do zdobycia, przeto sięgali po niego skwapliwie urzędnicy i nauczyciele prowincjonalni. Każdy z nich miał tam dług, wynoszący 500 do 1000 koron, a ponieważ nie mógł z nikłej swojej pensji takiej sumy spłacić w terminie, przeto prolongował weksle co trzy miesiące i w wyniku ostatecznym po latach wpła-

cał procentami Towarzystwu podwójny lub nawet potrójny kapitał.

Otóż Ulmer, zdając sobie sprawę z tego, że to jest klęska, tępił takie stowarzyszenia, i o ile należały do Związku, osobiście dokonywał od czasu do czasu ich rewizji.

Widząc, że zainteresowałem się tą sprawą, kilkakrotnie brał mnie z sobą na takie „lustracje”.

Dzięki temu poznałem Podole galicyjskie, kraj bardzo piękny. Byłem z Ulmerem w Brzeżanach i w Podhajcach. I to kilkakrotnie. W Podhajcach widziałem pole zwycięskiej bitwy Jana III. Nade wszystko jednak przemówił do mnie krajobraz wsi podolskich, lasów, jarów i rozdołów, porośniętych dereniem, tak podobnych do zawsze mi drogich wspomnień z tamtej strony Zbrucza, gdzie w okolicach Kamieńca i Żwańca bywałem w dzieciństwie u mego wuja Chmielowskiego.

Za to przypomnienie „kraju lat dzieciennych” byłem Ulmerowi bardzo wdzięczny.

Zresztą musiałem mu być wdzięczny i za wiele innych rzeczy. Był on redaktorem wydawanego przez Związek pisma, poświęconego sprawom spółdzielczym. Otóż, wiedząc od Domagalskiego o mojej ochocie do pióra, wciągnął mnie do współpracy w tym piśmie, co jeszcze zwiększyło o kilkanaście, a czasem kilkadziesiąt koron miesięczne moje dochody.

Sam będąc dobrym i wyrobionym w tej dziedzinie pisarzem, Ulmer uczył mnie, jak należy te-

go rodzaju artykuły pisać. Początkowo poprawiał je starannie, usuwając z nich bądź balast wywodów teoretycznych, bądź nadmierną „literackość”, potem, widząc, że stosuje się do jego wskazówek, zostawiał mi coraz większą swobodę.

Obok Ulmera pracował jeszcze w biurze Związku niejaki Ryszard Mazowiecki, człowiek bardzo cichy i skromny, a jednocześnie bardzo dbały o swój wygląd zewnętrzny, zawsze ubrany, jak z igły, starannie przyczesany i upomadowany, o wielkich, hodowanych pod bindą wąsach, które przy małym jego wzroście i okularach nadawały mu wygląd przypominający chrabąszcza.

Dobiegał on już sześćdziesiątki, trzymał się jednak dobrze.

Jak mi potem wyznał, pochodził z Królestwa. Właściwe jego nazwisko było Cioth. Był w młodości aktorem. Do Galicji przybył drogą nielegalną, bez paszportu, po roku 1863. Powód jednak tej ucieczki zachował w tajemnicy. Wątpię, żeby nim był udział w powstaniu, bo na to nie wyglądał. Musiał jednak być czems wobec władz rosyjskich skompromitowany, skoro zmienił nazwisko.

Ukryty pod tem przybranem nazwiskiem, bał się jednak Moskali i przez lat trzydzieści kilka ani razu nie odwiedził rodziny swojej w Królestwie. Dopiero Domagalski go przekonał, że może śmiało, jako Ryszard Mazowiecki, obywatel austriacki, pojechać do Warszawy i że włos mu tam z głowy nie spadnie. Istotnie, wybrał się tam w roku 1898

na kilka tygodni i wrócił szczęśliwy z odnowienia dawnych swoich stosunków.

Skład biura Związku uzupełniał jeszcze przepisywacz papierów na czysto, t. zw. „mundant”, młody student prawa, Marjan Dąbrowicki, zagorzały socjalista, z którego Ulmer żartował sobie zawsze, ile weszło. Tolerował jednak jego radykalne przekonania społeczne z właściwą sobie dobroćliwością, był to bowiem człowiek i mądry i dobry, o miękkim sercu, pełnem najgorętszych uczuć patryjotycznych.

Mimo niemieckiego nazwiska więcej w nim było przywiązania do polskości i wiary w przyszłość narodu, niż w niejednym Polaku galicyjskim na „ski” i „cki”.

Przedewszystkiem bardzo mi się podobał jego krytyczny stosunek do Austrii, daleki od tego bezwzględnego kultu dla Wiednia, z którym we Lwowie spotykałem się dość często.

Przedstawiciel mieszczaństwa, Ulmer był przeciwną demokratycznych, nie lubił szlachty galicyjskiej, zwłaszcza tych panów i półpanów, od których rościło się na Podolu, a którzy marzyli tylko o mandatach do rady państwa w Wiedniu, nie poto, żeby służyć tam krajowi, ale żeby spędzać czas w stolicy, grywać w karty w Jockeyklubie i bywać na przyjęciach dworskich.

W zapatrywaniach swoich na układ sił politycznych w Galicji był trzeźwy i rozumny. Zdawał sobie dobrze sprawę z niebezpieczeństwa ros-

nacej, jak na drożdżach, sprawy ruskiej, i widział najlepszy środek do zjednania Rusinów dla Polski w gospodarczem podniesieniu wsi ruskiej, w wyzwoleniu jej ze szponów żydowskich, w dostarczaniu jej taniego i zdrowego kredytu na wydobycie się z lichwiarskich długów u karczmarzy i małomiasteczkowych kapitalistów, którzy dążyli świadomie do tego, aby chłopu zabrać ziemię i skłonić go do emigracji do Kanady. W imię tych swoich przekonań przywiązywał wielką wagę do rozwoju ruchu spółdzielczego w Galicji wschodniej i do tego, aby na czele tego ruchu stali Polacy. Był też zwolennikiem założenia Związkowego Banku Towarzystw Spółdzielczych, który istotnie potem powstał, podnosząc znaczenie Związku. Związek w tym czasie, kiedy w nim pracowałem, był kuźnią projektów w kierunku gospodarczego uzdrowienia kraju.

I nie dziw, skoro na jego czele stał jeden z najznakomitszych na tem polu działaczy, poseł Stanisław Szczepanowski.

Obok niego do Zarządu Związku należeli: Tadeusz Romanowicz, również poseł i wybitny publicysta, niegdyś redaktor „Nowej Reformy” w Krakowie, postać bardzo ceniona i szanowana w ówczesnym Lwowie; Wojciech Biechoński, burmistrz miasta Gorlic, małego wzrostu, przystojny i zadzierzysty, pełen jeszcze temperamentu starszych, b. powstaniec 1863 roku, adjutant Langiewicza; poseł łańcucki Bolesław Żardecki, Hilary

Filasiewicz, dyrektor Towarzystwa Zaliczkowego w Cieszynie, zasłużony działacz na polu odrodzenia narodowego tej dzielnicy; Teofil Merunowicz, redaktor „Gazety Narodowej”, oraz kilku jeszcze innych pionierów kooperacji pieniężnej w Małopolsce.

Grono to było doskonale z sobą zgrane pod względem ideowym i szło zawsze po jednej linii. Batutę trzymał nad niem Stanisław Szczepanowski.

Był to wówczas człowiek 47—48-letni, w pełni sił i rozpędu inicjatywy twórczej. Położył już duże zasługi na polu uprzemysłowienia Galicji. Zbyt to jednak znana postać, abym potrzebował ją tu charakteryzować. Szczepanowski dał sam najlepszą swoją charakterystykę w tem, co zrobił i co napisał. Wspomnę więc tylko o tem, jak go poznałem i jakie to miało dla mnie następstwa.

Jako przybysz z zaboru rosyjskiego, zupełnie nieobeznany z życiem parlamentarnem, bywałem dość często na posiedzeniach sejmu galicyjskiego. Imponowała mi powaga jego obrad, prowadzonych wytrawnie, ze spokojem i dostojeństwem przez marszałka Stanisława Badeniego. Imponowała mi biała sukmana młodego wówczas pośła ludowego Jakóba Bojki z Gręboszowa. Imponowały mi przemówienia Tadeusza Romanowicza, doskonałego mówcy obozu demokratycznego.

Otóż pewnego razu, będąc na posiedzeniu sejmu, trafiłem na mowę Stanisława Szczepanow-

skiego. Uderzyła mnie jego smukła postać, jego słowiańska twarz o delikatnych rysach, jego inteligencja. Kiedy wszedł na trybunę i zaczął mówić, sala się uciszyła. Słuchano go z uwagą.

Nie pamiętam już dzisiaj, jaka była treść tej mowy i z jakimi poglądami polemizował mówca. Utkwiły mi jednak w pamięci — i to na całe życie — słowa:

„Jedyną pozytywną krytyką jest: idź, zrób le-
piej, pokaż, jak trzeba robić.“

Trafiło mi to do przekonania i pomyślałem sobie, że ten, kto to mówi, nie należy do gatunku demagogów, lecz do rzeczywistych budowniczych życia. Od tej pory zacząłem śledzić z uwagą działalność Szczepanowskiego i poznałem całą o nim prawdę i całą legendę, która się oprzędła w Galicji dokoła jego osoby. Prawda mówiła, iż był to człowiek śmiałej inicjatywy, szybkiego czynu i nieustannej, często beznadziejnej walki z indolencją otoczenia, którego ani przekonać ani poruszyć nie było można. Według tej prawdy, życie Szczepanowskiego było ciężkie, najeżone przeszkodami, z wieczną pętlą na szyi w postaci zobowiązań finansowych i tysiącznych do niego uroszczeń właścicieli akcyj naftowych za to, że nafta nie tryska na ich terenach natychmiast, albo tryska nie w takiej obfitości, aby z dnia na dzień tworzyć milionerów. Legenda tymczasem uważała Szczepanowskiego za wybrańca losu, za człowieka ogromnej fortuny, któremu wszystko łatwo przychodzi, któ-

ry żyje po magnacku i za ledwie okruchami tego, co ma, dzieli się ze społeczeństwem.

Jak było w istocie, o tem niebawem, i to w sposób jaskrawy, miał się przekonać Lwów, a za nim cały kraj, zelektryzowany runem na Galicyjską Kasę Oszczędności, uwięzieniem jej dyrektora Franciszka Zimy i Szczepanowskiego, a później procesem tych dwóch zacnych i znakomitych obywateli, którzy obaj proces ten życiem przypłacili.

W tym momencie Szczepanowski był dla mnie najtragicznieszczą postacią, i nie dziwiłem się wcale, że serce jego nie wytrzymało tej katastrofy moralnej i pieniężnej i spowodowało przedwczesny jego zgon, kiedy mógł być jeszcze żyć i działać ze dwa dziesiątki lat.

W chwili jednak, gdy wstępowałem do biura Związku, wypadki te nie zarysowywały się jeszcze na horyzoncie.

Szczepanowski był wówczas w pełni sił i powodzenia. Takim go poznałem.

Rozpoczął on był właśnie wówczas wydawanie we Lwowie „Słowa Polskiego“. Był to odrazu wielki i doskonale postawiony dziennik, z zupełnie nowoczesną drukarnią przy ul. Chorążczyzny i, co najważniejsze, z zupełnie nowoczesną obsługą, polegającą na dobrze zorganizowanej sieci korespondentów, telegrafujących lub telefonujących codziennie wiadomości z całego kraju i z Wiednia, jako z głównego ośrodka życia politycznego.

Powstanie tego dziennika było wydarzeniem dużej miary w życiu lwowskim, gdzie prasa żyła przeważnie przedrukami i przeróbkami. Celował w tem zwłaszcza doskonale zresztą prowadzony przez dwóch braci Masłowskich, Ludwika i Wacława, „Przegląd”. Nie ustępował mu słaby i anemiczny „Dziennik Polski” Ostaszewskiego-Barańskiego, z tą różnicą, że o ile „Przegląd” umiejętnie posiłkował się poważną prasą polityczną obcą, zwłaszcza angielską i francuską, o tyle „Dziennik” uprawiał na łamach swoich korsarstwo, czerpiąc materiał publicystyczny i literacki z prasy warszawskiej. Nieco lepiej trzymała się „Gazeta Narodowa”, dzięki Teofilowi Merunowiczowi i Drowi Aleksandrowi Vogłowi. Jedynym jednak dziennikiem, który miał swoje własne tętno życia, był „Kurjer Lwowski” Rewakowicza i Wysłoucha, nie lubiany dla swoich tendencji radykalno-ludowych, lecz chętnie czytowany, jako dbający o aktualność polityczną, społeczną a nawet literacką w dodatku niedzielnym, którym opiekowała się s. p. Marja Wysłouchowa.

Na tem tle „Słowo Polskie” zdobyło sobie odrazu dużą, jak na stosunki galicyjskie, poczytność. Dziennik imponował tem, że miał dwa wydania, ranne i wieczorne, co było dla Lwowa zupełną nowością, że dawał obfity i dobrze dobrany materiał, wreszcie, że był oparty o silną podstawę finansową, co pozwalało mu płacić honorarja wyższe nietylko za artykuły i korespondencje, lecz

i za poezję. Tymczasem w innych dziennikach honorarja te były minimalne, lub nawet nie było ich wcale, bo ledwie wiązano koniec z końcem wobec silnego współzawodnictwa zalewającej Lwów, a popieranej zwłaszcza przez inteligencję żydowską, wiedeńskiej „Neue Freie Presse”.

Ze „Słowem Polskiem” nawiązałem stosunki w roku 1898. Przygotowywałem właśnie do druku zamówiony przez Domagalskiego tom poezyj i chciałem przedtem dla próby wydrukować kilka wierszy w pismach. Podpisałem więc jeden z moich utworów kryptonimem St. M-ur, bo jakoś żenowałem się podpisać go nazwiskiem, i zaniósłem do redakcji, mieszczącej się jeszcze wówczas w pa-sażu Mikolasza. Przyjął mnie tam sekretarz, Stanisław Rossowski, poeta dużej kultury wiersza, ścierający jednak dla chleba swój talent w żarnach dziennikarskich.

Przeczytał wiersz, uśmiechnął się przyjaźnie i uściśnął mi rękę, dodając do tego jakiś kompliment.

Sprawa była załatwiona. W najbliższą niedzielę czytałem już swój wiersz wydrukowany, nikt jednak poza mną nie wiedział, że to mój wiersz.

Ośmielony tem, zaniósłem Rossowskiemu po jakimś czasie podpisany już literami Z. D. artykuł, który również zaraz został przyjęty i wydrukowany. W kilka dni potem zaczęli mnie w biu-

rze Związku Szczepanowski i Romanowicz i wspólnie proponowali, abym pisywał częściej do „Słowa Polskiego”.

Otrzymałem był właśnie wówczas z Warszawy książkę S. Dicksteina o Hoene-Wrońskim. Napisałem więc o niej feljeton. Kiedy go czytałem potem w druku, spostrzegłem, że w zdaniu „Wroński zajmował się także ballistyką”, korektor dodał z własnej inicjatywy i w niewątpliwym mniemaniu, że czyni dobrze, przed wyrazem „ballistyka” zgłoskę „ka”, wskutek czego wyszło, że „Wroński zajmował się kabalistyką”. Jak każdy początkujący autor, bardzo z tego powodu cierpiałem, a Romanowicz, któremu się z tem zwierzyłem, śmiał się z mojego zmartwienia do rozpuku, twierdząc, że to bardzo „łagodny” błąd i że bywają daleko gorsze i większe z korektą nieporozumienia, od których nietylko „włosy stają na głowie”, ale które wywołują nawet zatargi między autorem a czytelnikami, zwłaszcza w artykułach politycznych.

Doświadczony ten publicysta miał słuszość, nieraz bowiem w życiu byłem rozgoryczony na korektę w daleko większym stopniu, niż wówczas.

Jakoś o tej porze Towarzystwo Wydawnicze wydało nowy tom poezyj Kasprowicza. Domagałski prosił mnie, abym napisał o tej niepospolitej książce feljeton do „Słowa”. Uczyniłem to z radością. Feljeton się podobał, a Kasprowicz wy-

ściskał mnie za niego i wycałował, mówiąc z całą właściwą sobie skromnością, że „tylko przyjaciel mógł tak napisać”.

Po tym feljetonie miałem już łamy „Słowa Polskiego” otwarte.

Zjawiła się wówczas w księgarniach lwowskich po niemiecku wydana trylogja St. Przybyszewskiego p. t. „Homo sapiens”. Kupiłem sobie to dzieło i napisałem o niem dwa obszernie artykuły, oczywiście pełne młodzieńczego entuzjazmu dla autora, dla „dreszczów” nowej sztuki i dla wspa-
niałej — mojem wówczas zdaniem — analizy psychologicznej Falka, głównego bohatera.

Rossowski artykuły te wydrukował bez zastrzeżeń. Zwróciły one uwagę czytelników. Docent uniwersytetu dr. Barwiński, którego spotkałem tego dnia na ulicy, zaczął mnie umyślnie, aby mi powiedzieć, że „takich artykułów, takim językiem i stylem napisanych nie było jeszcze nigdy w prasie lwowskiej”. Była w tem oczywiście uprzejma przesada, ale nie mogę zaprzeczyć, że mi to sprawiło przyjemność.

Rychło jednak tę przyjemność zepsuł mi Romanowicz.

— Co pan narobił? — rzekł mi na powitanie w biurze Związku. — Szczepanowski jest wściekły na pana. Będzie osobiście polemizował z tą „nową sztuką”, którą pan tak chwali. Uważa, że to są rzeczy szkodliwe, grożące rozkładem i gangre-

na. Nie czytałem Przybyszewskiego, ale przypuszczam, że Szczepanowski ma słuszość. Niech pan się przygotowuje, że dostanie pan w skórę.

Tymczasem „w skórę” wcale nie dostałem. Szczepanowski rozpoczął rzeczywiście niebawem w „Słowie” druk szeregu artykułów, poświęconych t. zw. modernizmowi, ale postawił te artykuły na szerokiej, ogólnej platformie etyki i estetyki, widzianych pod kątem utylitaryzmu narodowego, i ani słowem nie dotknął mojego artykułu. „Guanano”, którego użył, jako określenia nowej literatury, padło raczej pod adresem „Życia” krakowskiego.

Wspominam o tem, ponieważ nikt, a przynajmniej mało kto wie, że byłem właściwym winowajcą tego ataku Szczepanowskiego, który wiele narobił hałasu.

Dzisiaj, z perspektywy czasu, wcale się nie dziwię, że tego najczystszeo i najszlachetniejszego człowieka, wychowanego na świętościach naszego romantyzmu, artykuł mój pobudził do indygnacji literackiej i obywatelskiej. Wówczas jednak byłem zdania, że przemysłowiec i nafciarz nie powinien być zabierać głosu w sprawach tak dalekich od jego specjalności jak sztuka. Dopiero po wyjściu z druku jego pism, zebranych już po jego śmierci, przekonałem się, że miał on do tego zupełne prawo, był bowiem, obok innych swoich zalet, także świetnym pisarzem, doskonale zor-

jentowanym w tem, co poezja polska miała wielkiego i godnego czci. Tej czci bronił z zapalem, goraco i namietnie.

Osobiście, Szczepanowski nigdy mi z tego tytułu nie zrobił wymówki i przy spotkaniach ze mną udawał poprostu, że nie wie, kto to jest Z. D.

Do „Słowa Polskiego” pisywałem w dalszym ciągu, ale już ostrożniej i rozważniej, licząc się ze stanowiskiem, poglądami i wymaganiami pisma.

Takie było moje pierwsze „doświadczenie” dziennikarskie. Wdzięczny jestem losowi za to, że je związał z osobą i piórem Stanisława Szczepanowskiego.

Widzę jeszcze dzisiaj przed sobą tego człowieka o nerwowej twarzy i słyszę jego głos, wypowiadający zawsze wyrazy ważne, pełne głębokiego znaczenia, mające na widoku dobro ogólne i podniesienie wszechstronne kraju, nad którego niskim stanem cywilizacyjnym i kulturalnym bardzo bolał, on, wychowany w Anglii i zapatrzony na przykłady anglosaskiego „życia wytężonego”. Sam takie życie prowadził, nie mając jednej godziny „dla siebie” w ciągu dnia roboczego, niewielu jednak miał naśladowców w Galicji ówczesnej.

Miał tylko ludzi, którzy go umieli należycie ocenić. Do takich należał przede wszystkim Tadeusz Romanowicz, patriota typu 63 roku, zawsze w czamarze, zawsze z błyskiem w oczach, ukrytych za okularami, zawsze pełen temperamentu

w polemice o zasady demokratyczne, których był wyznawcą.

Lwowianin z urodzenia, syn znanego niegdyś w tem mieście adwokata, długie lata spędził w Krakowie, gdzie zaprzyjaźnił się z Asnykiem i z nim razem redagował „Nową Reformę”. Do Lwowa przyprowadził go zpowrotem mandat poselski do sejmu, który piastował z rzadką sumiennością, wybiwszy się rychło, jako pierwszorzędnny mówca parlamentarny.

Był to działacz w życiu publicznem zaprawny, znający nawylot wszystkie złe i dobre strony charakteru polskiego, nie schlebający nigdy większości, nie szukający dla siebie kariery, którą mógł być łatwo zrobić przy swoich zdolnościach.

Znajomość z nim wywarła na mnie duży i dobry wpływ. Gawędził on ze mną często w biurze Związku i zachęcał do pracy publicystycznej, zwracając nie bez słuszności uwagę na to, że poezji było w Polsce zawsze za dużo, a poważnej, dobrej i mądrej publicystyki za mało. Zgadzał się pod tym względem z Prusem, który mi po latach, w Warszawie, gdy się z nim zbliżyłem, to samo wielokrotnie powtarzał.

Podobnie też jak Prus, Romanowicz był człowiekiem serca. Miał dużą i niekłamaną życzliwość dla młodzieży literackiej i popierał ją, jak mógł. Interesował się także jej twórczością, chociaż nie trafiała mu ona do przekonania. Nieraz przypisał łatkę „Życiu” krakowskiemu, a w przy-

stębach dobrego humoru potrafił wydrwić i ośmieszyć niejednego utwór, jak słynne „Kamelje, Ofelje” Brzozowskich. Dostało się i mnie od niego za „Zachwycenie”, wydrukowane w „Życiu”, uczynił to jednak tak dobrotliwie i wesoło, że nie mogłem mieć do niego żadnej z tego tytułu pretensji. Zresztą poczciwy Domagalski wziął mnie zaraz w obronę. Dzisiaj widzę, że Romanowicz miał słuszość, jako bowiem człowiek starszy, wychowany w innych zasadach i wykarmiony inną ideologią, nie mógł odczuwać tego „nastroju erotycznego”, jaki szedł wówczas przez literaturę młodą, rozwijającą się w atmosferze schyłku wieku. Atmosfera ta powoli przenikała także i do Lwowa. O tem jednak opowiem później.

W Ś R Ó D P R Z Y J A C I Ó Ł

Kolonja nasza we Lwowie zwiększała się li-
czebnie bardzo szybko. Sprzyjał temu z jednej
strony rosnący w Królestwie ucisk, z drugiej fakt
niezaprzeczony, że Lwów od czasu wystawy 1894
roku stawał się coraz ważniejszym i coraz samo-
dzielniejszym ogniskiem polskiego życia umysł-
owego. Siła jego przyciągania rosła. Uniwersytet
otrzymał był właśnie świeżo wydział lekarski, któ-
ry był w stadjum organizowania się, ściągano więc
stopniowo na nowoutworzone katedry profesorów
z całej Polski. Była to wielka zasługa senatu aka-
demickiego, że nie krępował się innem obywatel-
stwem upatrzonych kandydatów na katedry, ale
kandydatury te umiał według swej woli przepro-
wadzić przez Wiedeń. Przecież nawet taki „prze-
stępca polityczny“, jak prof. Benedykt Dybowski,
był już od szeregu lat zwyczajnym profesorem
uniwersytetu lwowskiego. Obok niego katedrę zo-
ologii objął warszawianin prof. Józef Nussbaum,
który później, jako syn Hilarego, przybrał nazwi-
sko Hilarowicza. Wydział lekarski chlubił się po-
zyskaniem prof. Stanisława Bądryńskiego, dr. Wa-
cława Moraczewskiego i in. Coraz to więc przy-
bywał ktoś nowy, jeśli nie profesor, to asystent.

Jednym z pierwszych zjawił się we Lwowie już na początku 1896 roku mój dobry i niezapomniany przyjaciel, Adam Jasiński, kilińczyk, który szczęśliwie zdał doktorat medycyny w Krakowie i otrzymał niezwłocznie stanowisko asystenta przy katedrze fizjologii we Lwowie. Profesorem tego przedmiotu był dr. Adolf Beck, wykłady jednak jeszcze się nie odbywały, urządzano bowiem dopiero świeżo wybudowany Zakład Fizjologiczny przy ul. Piekarskiej, daleko od miasta, już w pobliżu cmentarza Łyczakowskiego.

W tym to gmachu Adam otrzymał bardzo przyzwoite dwupokojowe mieszkanie. Odwiedzałem go tam często wieczorami. Nieraz zachodził tam także prof. Beck, bardzo miły i koleżeński, młody jeszcze wówczas człowiek, i tak we trzech gawędziiliśmy do późnej nocy. Zdarzało się, że ze względu na odległość zostawałem po takich gawędach u Adama, nocowałem tam i dopiero nazajutrz rano wracałem do domu. Kiedy indziej wybieraliśmy się na miasto, które już znałem i po którym oprowadzałem mego przyjaciela.

Podczas jednej z takich przechadzek zaproponował mi Adam, abym odwiedził z nim razem jego wuja.

Tym wujem był Bronisław Szwarce, przyjąłem więc propozycję z radością i poszliśmy. Zastaliśmy Szwarcego w domu. Ucieszył się. Poczęstował nas wódką, a wnet potem, syberyjskim zwyczajem zakupiał na stole samowar.

Bronisław Szwarce był już wówczas człowiekiem starym. Dźwigał siódmy krzyżyk na swoich pochylonych barkach. Trzymał się jednak dobrze. Mimo siwych włosów i dużej siwej brody miał połysk niemal młodzieńczy w oczach. Patrząc w te oczy, pełne jeszcze życia i świadczące o niewygasłym temperamencie, trudno było pogodzić się z myślą, że ten człowiek tyle przeszedł w życiu, że był już ze śmiercią zapanbrat i że tylko cudem z jej objąć się wyslizgnął.

Szwarce był synem emigranta po roku 1831. Przyszedł na świat we Francji i był obywatelem francuskim. We Francji się wychował i tam ukończył studia. Do kraju powrócił jako młody inżynier i otrzymał stanowisko przy budowanej wówczas kolei petersburskiej. Na tem stanowisku zastał go ruch, poprzedzający wybuch powstania styczniowego. Wziął w tym ruchu żywy udział. Należał do obozu czerwonych i był zwolennikiem ostrych metod działania. Na osobę jego rychło zwróciła uwagę policja. Aresztowany w Warszawie, przy ul. Widok, gdzie mieszkał, osadzony był w cytadeli i badany długo. Żandarmerja pociągnęła nawet do odpowiedzialności i szykanowała w nieludzki sposób jego krewne, panny Heurich. Niczego jednak od nich się nie dowiedziała. Materjały atoli, obciążające Szwarcego, były dostateczne do wydania wyroku. Wyrok ten opiewał karę śmierci.

Szwarcie przyjął go z odwagą, rozumiejąc, że za sprawę, której się poświęcił, trzeba oddać życie. Był gotów na to. Ale rodzina rozpoczęła starania o złagodzenie tego wyroku. Ponieważ skazaniec był obywatelem francuskim, przeto udano się z prośbą o pomoc do ówczesnej cesarzowej Francji, Eugenji, która spowodowała interwencję Napoleona III u rządu rosyjskiego. Na skutek tej interwencji zaniechano wykonania wyroku, skazano natomiast winowajcę na bezterminowe więzienie w Schlüsselburgu pod Petersburgiem. W tem więzieniu, które było katownią Walerjana Łukasiewskiego, przesiedział Szwarcie w samotnej celi siedem długich lat, poczem wysłano go na Sybir, do Tunki. Tam przebywał na osiedleniu do r. 1895. Amnestjonowany na zasadzie manifestu koronacyjnego Mikołaja II, został odstawiony do zachodniej granicy państwa z poleceniem natychmiastowego wyjazdu do Francji. Zamiast jednak do Francji, pojechał do Krakowa, a stamtąd do Lwowa, gdzie zaopiekował się nim weteran powstania, członek Rządu Narodowego, Janowski. Dzięki jego zabiegom u marszałka Badeniego, Szwarcie uzyskał skromną posadę biurową w Wydziale Krajowym i mógł jako tako egzystować. Wkrótce przywieziono mu z Syberji troje dzieci, urodzonych tam z matki obcej, dwie córeczki i syna. Dziewczynki umieszczono w jakimś klasztorze, chłopiec był przy ojcu i przygotowywał się do wstąpienia do gimnazjum.

Szwarcie był indywidualnością bogatą i bardzo ciekawą.

Już sama postać jego zwracała na bruku lwowskim uwagę wszystkich, zwłaszcza w zimie, kiedy w swoim długim futrze z kołnierzem z białego baranka i w takiejż czapce kroczył ulicami, jak patriarcha. Przy bliższym jednak dopiero poznaniu ujawniała się jego niepospolita żywotność i również niepospolite zdolności, złamane lub zgoła unicestwione przez życie, spędzone w więzieniu i na wygnaniu w napół barbarzyńskim otoczeniu. Nie miał on jednak zato do życia żalu. Pogodził się już był ze swoim losem, a jeżeli nad czym bolał, to tylko nad tem, że „Europa nie dojrzała jeszcze do przewrotu, przez jaki przejść musi”.

Był rewolucjonistą przekonanym. Kiedy już bliżej się z nim poznałem i pozyskałem jego sympatię, co wobec przyjaźni z Adamem nie było trudne, ofiarował mi swoją fotografię, którą przechowuję, jako cenną po nim pamiątkę. Na odwrocie tej fotografii, oddającej bardzo wiernie jego pełną wyrazu twarz, znajduje się napis: „Szanownemu Zdzisławowi od starego (jak mówią) anarchisty a podług mnie niezmiennego Powstańca. Lwów 4/4 1898”.

Przewrót społeczny był jego zdaniem warunkiem koniecznym do przewrotu politycznego, a więc i do uzyskania przez Polskę lepszego jutra. My, młodzi, baliśmy się już trochę takiego hasła, nie będąc pewni socjalistów. Baliśmy się przede-

wszystkiem zaprzepaszczenia sprawy polskiej w międzynarodowym ruchu robotniczym. Stąd pomiędzy nami a Szwarcem nie mogło przyjść do zupełnego zrozumienia i porozumienia. Zresztą, nie stanowiło to żadnej przeszkody do dobrego z nim współżycia, „czerwoność” bowiem jego była teoretyczna. Zdolność do czynu wystudziła w tym zacnym starcu Syberja, i cała jego rewolucyjność sprowadzała się tylko do tego, że pod wieczór, kiedy zabierał się już do spoczynku, zwykł był mawiać, westchnąwszy: „Chwała Bogu, jeden dzień bliżej do rewolucji!”

Szwarcę, zważywszy to, co przeszedł, był organizacją niepożytą fizycznie i duchowo. Nie potrafił go zniszczyć nawet alkohol, do którego przywykł na wygnaniu i którego także na starość nigdy za kołnierz nie wylewał. Sił żywotnych miał dużo i niewyczerpanych. W ochocie do zabawy prześcigał nieraz młodych. Kiedy wychodziliśmy późną nieraz nocą z jakiegoś wspólnego zebrania towarzyskiego, zapytywał nas zwykle wesoło: „Moi panowie! A co zrobimy z resztą wieczoru?” Ta „reszta wieczoru” to było dla niego *spatium* czasu pomiędzy północą a 4-tą — 5-tą rano. Oczywiście w spokojnym, cichym i wczesnie zasypiającym Lwowie nie było atmosfery do takich ekstrawagancji. Uspokajaliśmy więc staruszka i szliśmy spać.

Poza biurowymi zajęciami Szwarce próbował także pióra. Napisał dwie książki. „Warszawa w r. 1794” i „Siedem lat w Schlüsselburgu”. Mówił mi

także, że zamierza napisać pamiętniki, obejmujące całe jego życie. Czy jednak zamiar ten skuteczniał przed śmiercią, nie wiem. Najprawdopodobniej zabrakło mu już siły i woli do tego.

Odwiedzaliśmy Szwarcego co jakiś czas i tam poznaliśmy kilku uczestników powstania. Między innymi inżyniera Czaplickiego, z którego córką Marją Adam się później ożenił, i inż. Olewińskiego, którego córkę Wandę pojął był za żonę „radca” Bronikowski.

Adam, aby móc małżeństwo swoje do skutku doprowadzić, musiał rzucić skromnie płatną asystenturę, zdać egzamin na lekarza powiatowego, t. zw. w Galicji „fizyka” i osiąść na prowincji. Otrzymał posadę w Krośnie i tam zamieszkał. Życie mu biegło szczęśliwie. Dopiero wielka wojna sprowadziła na niego same klęski. W toku wojny stracił ukochaną żonę, a w obronie Lwowa podczas rebelji ukraińskiej padł jego najstarszy syn, który był już wówczas studentem politechniki. Podcięło go to moralnie i fizycznie. Po wojnie przyjechał na krótko do Warszawy ze swoim młodszym synem. Widywałem się z nim wówczas codziennie. W kilka lat potem umarł przedwcześnie, zmożony chorobą serca. Najlepszy i najzaczniejszy z ludzi, przyjaciel, jakich Bóg człowiekowi niewiele zsyła podczas jego wędrówki ziemskiej.

Pod tym względem towarzyszyła mi jednak wyjątkowa łaska Boska, podczas bowiem pobytu

mojego we Lwowie miałem jeszcze drugiego niezapomnianego i niezastąpionego przyjaciela.

Był nim prof. dr. Marcin Ernst.

Z Marcinem znaliśmy się od dzieci. Jako chłopcy mieszkaliśmy w jednym domu i grywaliśmy w „klipe” na jednym podwórzu. Zawarta wówczas przyjaźń uczniowska poszła z nami przez całe życie. Marcin był pochodzenia skandynawskiego. Zastrzegał się zawsze, że jego nazwisko nie jest niemieckie, lecz szwedzkie, nie wiedział jednak, kiedy i dlaczego jego przodkowie przenieśli się ze Szwecji do Polski.

Ojca już nie miał, wychowywała go matka w dość ciężkich warunkach. Po ukończeniu t. zw. szkoły ewangelickiej przy ul. Królewskiej wstąpił do III gimnazjum i dzięki wyjątkowym zdolnościom przeszedł je łatwo, nie zatrzymując się w żadnej klasie. Po otrzymaniu jednak promocji z klasy 7-mej do 8-mej, rzucił szkołę i żeby wzmocnić się materialnie, wyjechał na rok na kondycję, poczem zdał świetnie maturę, jako ekstern, w IV gimnazjum. Było to w roku 1890.

Studja uniwersyteckie rozpoczął w Warszawie na wydziale fizyko-matematycznym, po roku jednak przeniósł się do Berlina i tam poświęcił się studjom astronomicznym, które go pociągały ku sobie tajemnicą przestrzeni i krążących w niej ciał niebieskich.

Doktoryzował się w Berlinie w roku 1896, poczem w roku 1897 przyjechał do Lwowa, aby objąć

stanowisko „adjunkta” przy katedrze astronomji na politechnice, gdzie znajdowało się bardzo prymitywnie urządzone obserwatorjum.

Profesorem astronomji na politechnice lwowskiej był wówczas dr. Wacław Láska, Czech, mówiący słabo po polsku i dla „lepszego rzeczy zrozumienia” używający często języka niemieckiego w swoich wykładach.

Marcin otrzymał na politechnice skromne mieszkanie (pokój z niszą na drugim piętrze źle ogrzewanego gmachu) i jeszcze skromniejszą pensję. Aby móc istnieć, musiał starać się o stanowisko nauczyciela matematyki w szkole średniej. Udało się to stosunkowo łatwo, i w ten sposób ustalił się byt młodego astronoma.

Spotkanie nasze było wielce radosne. Marcin wiedział już od Konrada Glińskiego i Janka Mazurkiewicza, którzy byli jego gimnazjalnymi kolegami, a których odwiedził w Krakowie, że jestem we Lwowie. Zaraz więc po przyjeździe zjawił się u mnie. Przyjaźń nasza, sięgająca do lat chłopięcych, odnowiła się bardzo szybko i bardzo szybko przekonałiśmy się, że chociaż dzieli nas szereg lat niewidzenia się, to jednak nie jesteśmy dla siebie niespodzianką. Myśli nasze i dusze chodziły wiodocznie jednemi drogami.

Wprawdzie Marcin był już doktorem filozofji, a ja byłem jeszcze studentem, wzdychającym dopiero do absolutorjum, ale to żadną nie było przeszkodą w naszym wzajemnym stosunku, tem bar-

dziej, że ponad różną dziedziną naszych studjów rozpięła swój złoty most poezja, Ernst bowiem, chociaż adept najściślejszej z nauk, był... poetą.

Mało kto z pewnością wie o tem, iż z pod pióra tego astronoma, autora tylu poważnych dzieł naukowych i popularnych książek, wyszedł już w r. 1890 tomik poezyj p. t. „Pierwiosnki”, pod pseudonimem, jeżeli się nie mylę, Umbriela, i że potem, we Lwowie w r. 1899, wydany został bezimiennie dokonany przez niego a mnie zadedykowany przekład pieśni Anakreonta.

W rękopisie miał on także poemat p. t. „Burza”, napisany w roku 1897 na obserwatorium lwowskiem. Było to, jak sam często zaznaczał, „wyznanie jego wiary”. Poemat ten po napisaniu odczytywaliśmy po wielokroć wspólnie. Marcin tak był do niego przywiązany, że umiał niektóre jego ustępy napamięć i przytaczał je w rozmowach.

I mnie utkwił w pamięci ustęp tych jego zwierzeń filozoficzno-poetyckich.

W ustępie tym poeta-przyrodnik mówił:

„I nie pytam, dokąd zmierza
Natura w odwiecznym bycie.
Ona pójdzie swoją drogą,
W dal potoczy się zmianami,
Nie wiedząca, że z jej łona
W przemianach materji, siły,
Wychodzą świadome pyły,
Obdarzone życia chwilką,
Otoczone złudzeniami,
Myślące, że dla nich tylko
Natura wielka stworzona...”

Widać z tego, że poezja była pierwiastkiem zasadniczym jego duszy, a nauka astronomji nie tylko nie wypłoszyła jej stamtąd, ale dodała jej raczej skrzydeł przez obcowanie z nieogarniętą tajemnicą wszechświata.

Miałem sposobność przekonać się o tem, spędzając z nim długie i niezapomniane godziny w obserwatorjum, tak bowiem było już ułożone między nami, że ilekroć wydarzyła się jasna, gwiazdzista noc, zjawiałem się u niego, i razem robiliśmy „spostreżenia”. Niewielkie były spostrzeżeń tych wyniki, obserwatorjum bowiem Politechniki lwowskiej poza starym instrumentem „południkowym”, umieszczonym w obracającej się kopule, innych przyrządów prawie że nie posiadało. Uboga to była dostrzegalnica. Wystarczała jednak, aby wprowadzić takiego jak ja profana w świat tajemnic nieba i olśnić go ogromem i zimną obojętnością Wszechświata. Patrząc na gwiazdy, na te miliony światów, rzuconych władcą wolą Stwórcy w przestrzeń i krążących tam posłusznie po swoich orbitach, zaczynałem dopiero rozumieć Marcina i jego krytyczny stosunek do wszystkich ziemskich spraw i kłopotów. Jakież to było małe, jakież to było nikłe w porównaniu z tem, na co patrzyły nasze oczy przez szkło lunety! Trudno się było obrońić wówczas uczuciu jakiegoś dogłębnego smutku, który wciskał się do duszy i przenikał ją do ostatniego włókna.

Pierścienie Saturna, księżyce Jowisza, gwiazdy umarłe i gwiazdy żywe, mgławice powstające i rozpadające się — cóż nam powiedzieć mogły? Nic ponadto, że jesteśmy wśród nich znikomymi pyłami, które

„Obdarzone życia chwilą,
Otoczone złudzeniami,
Myśla, że dla nich tylko
Natura wielka stworzona.”

Marcin miał słuszość. Ale miał także słuszość, tłumacząc mi powagę i dostojność nauki astronomji, która stawiała umysł ludzki wobec zagadnień najwyższych i uzbrajała go w środki, umożliwiające jeśli nie poznanie prawdy, to zbliżenie się do jej źródeł i ognisk na odległość, możliwą dla człowieka.

Pod wpływem tych rozmów zapaliłem się też bardzo do wiedzy o gwiazdach i zacząłem czytać książki z tego zakresu. Ale cóż? Rychło bardzo przekonałem się, że nie jestem przygotowany do takiej lektury, gdyż wymaga ona dobrej znajomości wyższej matematyki. Skwitowałem więc z naukowej biblioteki Marcina, a zacząłem szukać pokarmu dla siebie w podręcznikach popularnych. Znalazłem go przedewszystkiem u Flammariona, który rozpałił i podniecił moją wyobraźnię. Marcin jednak uśmiechał się tylko na to pobłażliwie i radził mi zabrać się do matematyki.

Sam był świetnym matematykiem i dokonywał wszelkich obliczeń z niesłychaną szybkością. A by-

ły to obliczenia nie byle jakie. Pamiętam, jak raz z obserwatorium w Kilonji nadeszła wiadomość o ukazaniu się nowej komety. Taka wiadomość mobilizuje astronomów na całej kuli ziemskiej. Wszyscy obliczają drogę nowego ciała niebieskiego a wynik tych obliczeń podają telegraficznie do Kilonji. Jest to jakby wielki międzynarodowy konkurs, w którym zwycięża ten, kto jest najpierwszy i najlepszy. Ale bez względu na osiągnięty rezultat żadne obserwatorium uchylić się od tego nie może. Po otrzymaniu tej depeszy kilońskiej rachował więc Marcin przez 36 godzin, nie śpiąc i prawie nic nie jedząc. Zapisał kilkadziesiąt arkuszy papieru swoim drobnem pismem poto, aby dojść do wyniku, który, wyrażony w formule, zajął niespełna jeden wiersz. Zatelegrafował to. Niestety uprzedził go jego kolega berliński, wówczas pracujący już jako astronom w Ameryce, niejaki Wilczyński, żyd polski. Trapiliśmy się tem obaj, ale niedługo, bo przyszła wiosna i rozpoczęliśmy nasze częste przechadzki zamiejskie.

Lwów jest miastem o tej porze roku miłym i ładnym. Jeszcze miłsze i ładniejsze są jednak jego malownicze okolice. Wabiły też nas one ku sobie niepomął, a że obaj lubiliśmy przyrodę, przeto wkrótce nie było dla nas nic obcego w promieniu 8—10 kilometrów od miasta.

Chodziliśmy zwykle we dwójkę na cały dzień niedzielny lub świąteczny, posilając się gdzieś pod wieczór dopiero w jakiejś zamiejskiej restauracji.

najczęściej w „Kaiserwaldzie” u Grunda, pomiędzy Lwowem a Winnikami, gdzie lwowski ludek przychodził na tańce i na piwo, do którego podawano kromkę chleba z masłem i jakimś ostrym, zielonym utartym na tarce serem. Ser ten w gwarze miejscowej nazywał się „Grünkäse”. Posypywało się nim masło i było to wcale smaczne. A i ciemne piwo nie było najgorsze.

W stronę Winnik chodziliśmy najczęściej, bo było tam najładniej, najbardziej pagórkowato i leśnisto.

Zczasem, poza naszymi zwykłymi przechadzkami zaczęliśmy brać także udział w wycieczkach botanicznych, które organizował nasz dobry przyjaciel docent botaniki na uniwersytecie lwowskim, dr. Władysław Zalewski. Była to postać bardzo ciekawa. Zalewski pochodził z Dobrzynia w Płockiem. Po ukończeniu gimnazjum wstąpił do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, po jakimś czasie przerzucił się jednak na studia przyrodnicze i poświęcił się botanice. We Lwowie otrzymał docenturę bezpłatną. Wypłacano mu tylko raz na rok t. zw. remunerację, która wynosiła mniej więcej 600 koron, akurat tyle, aby pojechać gdzieś na wakacje. Przez cały rok Zalewski, który nie był zamożnym człowiekiem, musiał żyć bardzo skromnie, obchodząc się byle czem. Podpatrzyliśmy go nawet, że sam pitraśił sobie obiady i kolacje na gazie, w swojej pracowni, gdzie spędzał całe dnie, wychodząc tylko na noc do domu.

Miedzy innemi pracowal on z wielka pilnoscia nad atlasem flory polskiej. Mial juz mnostwo wykonanych do tego atlasu rysunkow, a ze rysowal i malowal dobrze, jako dawny uczen Akademii Sztuk Pięknych, przeto ten jego atlas duza posiadal wartosc. Czy go jednak skonczyl i co sie z nim stalo — tego nie wiem.

Otoz ten przezacny czlowiek zaproponowal nam, abyśmy chodzili z nim razem i z jego sluchaczami botanizowac w okolicach Lwowa.

Przystalismy na to chetnie i szereg takich wycieczek odbylismy ku wielkiemu pozytkowi, towarzystwo bowiem Zalewskiego bylo mile i niejednego mozna sie bylo od niego dowiedziec.

Byl to typ charakterystyczny. Niewielkiego wzrostu lysawy blondyn z duza broda i ogromnymi wlasami. Chodzil stale w czamarze. Na wycieczki przywdziewal nawet dlugie buty i wygladal wowczas, jak to mowiono na Mazowszu, „z waszecia“. Byl zarliwym patriota. Nienawidzil Niemcow i Moskali. Na Rosje — mimo, ze spedzil lat kilka w Petersburgu a moze wlasnie dlatego — patrzyl, jak na zakałą swiata, i wrózył jej rychły koniec, rychłe rozpadnięcie się potwornego swym ogromem imperjum. Gdy na tle tych jego poglądów wywiązywała się rozmowa o Polsce, zakreślal bardzo szeroko jej granice. „Do Dniepru — mowil — to za malo. Do Wolgi jest nasze, a za Wolga dopiero ich.“ Opieral tę swoja zabiorczosc na przeslankach botanicznych, twierdzac, ze Wolga sta-

nowi botaniczną granicę pomiędzy Europą a Azją, a więc powinna stanowić także i granicę polityczną, gdyż Moskale są Azjatami i tam jest ich miejsce.

Ten pocziwy i zacny człowiek był miłośnikiem nie tylko świata roślinnego, lecz i zwierzęcego. Między innymi hodował u siebie w pracowni nietoperza, który się bardzo oswoił. Profesor przywiązał się do niego tak mocno, że kiedy nietoperz ten zdechł, rozchorował się ze zmartwienia i umarł. Tak mi przynajmniej opowiadano o tem, bo już wówczas we Lwowie mnie nie było. Przypuszczam, jednak, że śmierć jego przedwczesna — nie miał wówczas jeszcze lat 50 — była raczej wynikiem młodości spędzonej w biedzie i nieustannem umartwianiu i tak wątłego organizmu, który w końcu tych przywacyj nie wytrzymał.

Dzięki Zalewskiemu poznałem wówczas, co to jest karjera naukowa w Polsce i jakiego samopańczenia się potrzeba, aby dobrowolnie wstąpić na tę drogę ciernistą, która po latach zaledwie do jakiego takiego kawałka chleba doprowadza.

Zalewski jednak wcale na swój los nie sarkał. Był szczęśliwy, kiedy nastawała wiosna, kiedy zaczynał się ruch w świecie roślinnym i kiedy mógł wyjść w pole, na łąkę lub do lasu, aby ten ruch odradzającego się życia obserwować. Sam się wówczas odradzał i nie tylko przez szkielecko nauki, ale przez pryzmat najszczerzej i najszczytniejszej poezji patrzył na otaczający go świat, odczuwając

żywo jego piękno. Była to dusza czysta i podniosła, człowiek, jakby nie z tego świata, nie żądający dla siebie niczego ponad dosłownie suchy kawałek chleba. Gdyby miał majątek, oddałby go z pewnością bądź na cele nauki polskiej, bądź na cele, związane z pracą na rzecz niepodległości, której pragnął dla Polski całym sercem. Ale tacy ludzie, niestety, majątków zwykle nie posiadają i służą ojczyźnie tylko ofiarą całopalną swojego życia.

Prof. Zalewski, jako docent, miał słuchaczy niewielu, była to jednak młodzież całkowicie mu oddana, szanująca jego wiedzę i jego w oczach ludzi zwykłych zapewne dziwaczną nieco oryginalność.

Drużyny wycieczkowe składały się zwykle z 10 do 12 osób łącznie z profesorem i z nami. Ta niewielka liczba sprawiła, że rychło stanowiliśmy dobrze z sobą zgrane grono, pełne humoru i dowcipu, zwłaszcza w chwilach, kiedy, zmęczeni botanizowaniem, rozkładaliśmy się obozowiskiem na jakimś pagórku, jak „Chomik” za Łyczakowem albo gdzieś dalej na polanie śródleśnej. Nikomu wówczas nic do szczęścia nie brakowało, z przyjemnością też wspominam dzisiaj tamte dalekie chwile.

Ciężej było dopiero wracać pod wieczór do miasta, bo i nogi bolały i głód dokuczał, ale mimo to szliśmy ze śpiewem, jak oddział rekrutów, umajeni nadto zielonością, z bukietami kwiatów polnych w rękach i nadewszystko wykapani w słoń-

cu i odświeżeni na duszach. Nazajutrz zaś z ochotą wracało się do zwykłej pracy.

Wycieczki te tak nas zachęciły, iż w lecie podczas długich wakacyj uniwersyteckich, kiedy byliśmy w mieście sami, nie zaniechaliśmy ich bynajmniej, ale przedsięwzięliśmy je we dwójkę w dalszym ciągu, nie mogąc wyjść z podziwu, że nasi znajomi i przyjaciele nie dadzą się na to namówić, przekładając świąteczną nudę miejską lub siedzenie w kawiarni i grę w domino nad przetrzeń i słońce.

Na takich wycieczkach nagadaliśmy się, oczywiście, zawsze dowoli i to jeszcze silniej zacieśniło węzły naszej przyjaźni. Stała się ona zupełnem braterstwem w duchu. Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, żadnych ukrytych myśli. Nie tylko niebo i gwiazdy znały prawdę naszych dusz. Znały się także te dusze nawzajem i to nawylot.

Kiedy dzisiaj, z perspektywy lat, patrzę na przyjaźń moją z Marcinem, wydaje mi się ona zjawiskiem, niespotykanem już obecnie na świecie. Przynajmniej w zakresie moich stosunków nie widzę jej w takiej postaci między młodzieżą i żal mi tej młodzieży, która żyje w coraz większym osamotnieniu duchowem, a więc w coraz większym ubóstwie. Tymczasem moje życie wewnętrzne wzbogacało się wówczas nieustannie dzięki tej przyjaźni z mądrym, głęboko myślącym, głęboko wykształconym i wrażliwym na wszystko towarzyszem młodości.

Ileż to ech naszych najpoufniejszych rozmów przywarło do kopuły obserwatorium politechniki lwowskiej i poszło stamtąd między gwiazdy, aby tulać się w przestrzeni, dopóki ich kiedyś nie pochwyci jakiś cudowny, nowoskonstruowany radioaparat, który da poznać ludzkości wszystkie głosy wszechświata, wszystkie jego szepty i szmery, które dla nas są jeszcze milczeniem.

Wśród tych szmerów i szeptów znajdują się także i pierwsze moje poezje, które bądź w mieszkaniu Marcina pisałem, bądź, jeśli je u siebie w domu napisałem, odczytywałem tam, pod gwiazdami, memu przyjacielowi. Z natury byłem samotnikiem, nieskłonny do zwierzeń. Nigdy też nikomu nie zwierzałem się z tego, co pisałem. Nigdy przedtem i nigdy potem. Marcin był jedynym moim w tym względzie powiernikiem. Cierpliwy w słuchaniu, bystry w sądzie, łagodny w czynionych uwagach, wyczuwający poezję w najmniejszym nawet jej okrucieństwie całą duszą i pełen szlachetnego pragnienia, aby było dla niej więcej miejsca wśród ludzi, aby jeden i drugi jej promień mógł się wesnuć codziennie w każde życie ludzkie i umilić je, przekonany, że nauka i poezja, jak dwie równoległe linje, spotykają się z sobą w nieskończoności, nie patrzył ani na poezję z wyżyn nauki, ani na naukę z wyżyn poezji, ale sprzęgał je w swojej duszy i w swoim umyśle słoneczną klamrą wspólnego im obu dążenia do odkry-

wania otaczających ludzkość tajemnic, z których jednej na imię prawda, drugiej piękno.

A że był wówczas moment, kiedy w Polsce wzbierała fala poezji, kiedy rodziły się nowe prądy estetyczne i wszczynał się spór o to, jakimi drogami i dokąd Sztuka iść powinna, przeto nie dziw, że rozmawialiśmy dużo na te nęcące tematy i dochodzili nieraz, przy blednących już gwiazdach, do własnych ciekawych poglądów.

To „estetyzowanie” wcale jednak nie przeszkadzało Marcinowi pracować poważnie naukowo.

Był on już wówczas autorem doskonałej książki p. t. „Astronomja gwiazd stałych”, wydanej w Warszawie z datą roku 1897 nakładem redakcji „Prac Matematyczno-Fizycznych”. W przedmowie do tej książki wypowiedział swoje ulubione zdanie: „W wszechświecie wszystko jest prawdą poza granicami naszej istoty. Tę prawdę kładą przed nami zjawiska, które przy pomocy właściwych nam zmysłów zauważyć możemy. Zmysły nasze jednak nie są doskonałe i niedoskonałość tę możemy tylko zwalczać ciąglem rozważaniem i porównywaniem zjawisk, co stopniowo doprowadza nas do praw coraz ogólniejszych. Potrzeba na to jednakże pracy wielu pokoleń, jedna chwila natchnienia nie wystarczy do zbadania prawdy, fantazja nie zastąpi wiedzy. A jeżeli pomimo zdobytych wiadomości, albo też może wskutek nich, wiele nowych pytań w myśli naszej powstawać bę-

dzie, wtedy nam zawsze jeszcze pozostanie fantazja, ale loty jej będą tem śmielsze i dalsze, im dalej w jej krainy wtargnęła rzeczywistość".

Marcin kochał astronomję. Uważał ją za naukę nauk i głęboko bolał nad tem, że ogół jest dla wiedzy astronomicznej tak obojętny. Pragnąc przełamać tę obojętność, opracował popularne książki: „O przyrodzie planet” dla Biblioteki „Wiedza i Życie” i „O końcu świata i kometach” dla Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie.

Były to początki jego pracy, która potem w polskim piśmiennictwie naukowem zdobyła sobie świetną i niezapomnianą kartę.

Pragnąc nadto oswajać ludzi praktycznie z astronomją, prosił mnie, abym mu przyprowadzał, o ile to będzie możliwe, gości na obserwatorium w pogodne wieczory.

Przyprowadziłem mu też zaraz moją stryjenkę, Helenę z Teodorowiczów Dębicką, jej córkę Marję, późniejszą Tadeuszową Horochową, i siostrzenicę, Kazimierę Teodorowiczównę, później Cieńską. Pannie były zachwycone, po raz pierwszy bowiem oglądały niebo przez teleskop. Przez dłuższy czas wspominano tam bytność w obserwatorium, aż wreszcie uchwalono odwiedziny te powtórzyć.

Kiedy indziej znów przyjechał z Rusowa pod Śniatynem brat stryjenki, Józef Teodorowicz, i musiałem go zaprowadzić na obserwatorium.

Był to człowiek bardzo ciekawy. Już po sześćdziesiątce, ale rześki jeszcze i pełen temperamen-

tu. Brał udział w powstaniu 63 roku, a potem zakopał się na wsi i rzadko stamtąd wyjeżdżał. Jak na szlachcica wschodnio-galicyskiego był niezwykle wykształcony. Miał szczególną namiętność do geografji. Nie było dla niego jednego obcego kąta na kuli ziemskiej. Posiadał w tym zakresie sporą bibliotekę w Rusowie i przez zimę, obłożony książkami, studjował, ciągle rozszerzając zakres swoich wiadomości.

Nadto miał niesłychany dar opowiadania. Był niezrównanym naratorem swoich własnych i cudzych przygód. Miał świetny humor i duże poczucie komizmu. Mówił tylko trochę za głośno, co zresztą jest cechą wielu wieśniaków, nawykłych do podnoszenia głosu przy swoich zajęciach gospodarskich.

Otóż poszedłem z panem Józefem do Marcina. Chciał on zobaczyć, jak wygląda obserwatorium, mało kto bowiem wiedział nawet o tem, że jest taka instytucja z „teleskopem” we Lwowie.

Było to jakoś w grudniu, w okolicach Bożego Narodzenia. Zmierzch zapadł wcześniej, niebo było jasne i gwiazdziste. Przybyliśmy na miejsce około 6-tej po południu. No i wyszliśmy na drugi dzień rano o 8-mej. Pan Józef tak się z Marcinem rozgawędził, tyle nadzwyczajnych rzeczy sam naopowiadał i tyle ich od astronoma wyciągnął, że noc zbiegła nam niepostrzeżenie. Wypiliśmy przy tej sposobności i zjedli wszystko, co Marcin w swojej skromnej spiżarni posiadał, ale była to naprawdę

arcynoc, spędzona nie na balu, nie przy kieliszku, nie na kartach, ale na poważnej rozmowie o rzeczach, o których ludzie prawie nie mówią, bo o gwiazdach — i to... z ziemianinem.

Mimo naszych zabiegów miłośnictwo astronomji jakoś jednak we Lwowie nie rosło. Polityka pochłaniała tam wszystkie umysły. Był to okres rządów Kazimierza Badeniego, jako ministra spraw wewnętrznych i premjera w Wiedniu, zbliżający się moment reformy wyborczej z „piątą kurją”, i t. p. wydarzeń, które odwracały uwagę ludzką od nieba, a kierowały ją ku ziemi i temu drobnemu punkcikowi na niej, który nazywał się państwem austriacko-węgierskiem.

Jedynym „przyjacielem astronomji”, na którego trafiliśmy we Lwowie, był dr. Tadeusz Dwernicki, młody wówczas adwokat. Z tym jedynym „przyjacielem” trudno jednak było założyć „Towarzystwo Przyjaciół Astronomji”, o czym marzyliśmy obaj. Stało się to dopiero później, już w kilka lat po moim wyjeździe ze Lwowa.

Marcin został tam do końca swego życia (umarł 4. VI. 1930 roku). Zrobił normalnie swoją „karjerę naukową”, był naprzód profesorem nadzwyczajnym, potem zwyczajnym na uniwersytecie lwowskim, stworzył „Instytut Astronomiczny”, napisał szereg dzieł naukowych, zjednał sobie powszechny szacunek i powszechną miłość ludzką, a dom jego od czasu, kiedy ożenił się z panną Heleną Siemiątkowską, stał się jednym z najmiłszych

domów w świecie intelektualnym Lwowa. Młodzież z Królestwa i z Warszawy zawsze znajdowała tam przystań i atmosferę, pełną ciepła i przyjaźni, a nieraz i pomoc, chociaż w rodzinie Ernstów nigdy nadmiaru nie było. Było tylko serce, które dzieliło się wszystkim w razie potrzeby z innymi. Zrujnowani przez wojnę, która zastała ich gdzieś aż nad brzegami morza Czarnego, na wakacjach, wrócili do Lwowa okólnymi drogami i rozpoczęli życie na nowo, wśród nieustannych zabiegów o dobro ogólne i o dobro uniwersytetu Jana Kazimierza, który na nowych kształtował się zasadach.

Na wiosnę roku 1930 ciężka niemoc powaliła Marcina, który był jeszcze w pełni sił i zdawało się, że lata będzie mógł pracować. Stwierdzono u niego raka i miano dokonać operacji. Zaniechano jej jednak po pierwszym cięciu. Uświadomiło to chorego co do jego istotnego stanu. Od tej pory wiedział, że dni jego są policzone, wiedział też lepiej, że przed kilkoma laty na jego rękach umierał także na raka wspólny nasz przyjaciel dr. Leon Feuerstein-Krzemicki. Po bohatersku jednak znosił swoje cierpienia, siłą niezwykłą woli dźwigając się z łóżka, aby kończyć rozpoczętą pracę naukową „O teorii zaćmień i zjawisk pokrewnych”, o której wiedział, że to ostatnia jego praca. Z wysiłkiem zdołał ją rzeczywiście ukończyć i w formie ostatecznej przygotować do druku.

Odszedł z tego świata po naprawdę anielskim życiu pomiędzy swoje ukochane gwiazdy.

W A C Ł A W Ż M U D Z K I

Było to jakoś w połowie czerwca 1896 roku. Siedziałem w domu, pilnie ucząc się do egzaminu prawno-historycznego. Nagle usłyszałem pukanie do drzwi.

— Proszę wejść.

Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Wacław Żmudzki, kolega mój warszawski, kilińczyk, o którym wiedziałem, że dostał się do uniwersytetu w Dorpacie i tam studjuje. Zdziwiłem się niepomału, bo jakże to? Czas egzaminów, a on podróżuje sobie po świecie?...

Uściskaliśmy się.

— Ale, na miłość Boską, co ty tu robisz?

— Przyjechałem przed godziną — odparł spokojnie Żmudzin. — Przypuszczam, że mi nie odmówisz gościny. Jestem zdrożony, nieogolony, jak widzisz, i głodny. Jeśli masz co do zjedzenia, to dawaj!

Zakrzętnąłem się koło herbaty, słuchając jednocześnie opowiadania Żmudzkiego. Żałośnie przedstawiały się te „dzieje Wacława”.

Rok akademicki 1895/6 zbiegł mu w Dorpacie dobrze. Była tam dość liczna kolonja kilińczyków. Środki były skąpe, ale pomagano sobie wzajemnie i jakoś życie szło. Aliści nadszedł czas

egzaminów. Żmudzki zdawał dobrze, bo był zdolny. Na egzaminie z rosyjskiego prawa państwowego zahaczył się jednak. Profesor, młody Rosjanin, wychowaniec uniwersytetu petersburskiego, któremu nie obce prawdopodobnie były *anteriora* polityczne egzaminowanego, zaczął go szykanować. Żmudzki zwrócił mu na to uwagę. Profesor odpowiedział w formie ostrej i niewłaściwej. Od słowa do słowa przyszło do zwady. Audytorjum stało po stronie skrzywdzonego kolegi. Profesor jednak obstawał przy swoim, a wkońcu, zirytowany, przerwał dyskusję i postawił Żmudzkiemu dwójkę (stopień niedostateczny). Żmudzki, że był krewkiej natury, zareagował na to gwałtownie i z miejsca spoliczkował swego prześladowcę.

Koledzy, widząc, iż to zajście może grozić Żmudzkiemu bardzo poważnymi następstwami, skłonili go do natychmiastowego opuszczenia audytorjum, poczem niezwłocznie odbyło naradę, zebrano między sobą potrzebną sumę pieniędzy i wyprawiono delikwenta najbliższym pociągiem z Dorpatu, zanim policja zaczęła go szukać.

Żmudzki pochodził z Lubelskiego, z okolic Krasnegostawu. Tam miał rodzinę. Pojechał więc do domu i stamtąd po naradzie z bratem przez zieloną granicę przedostał się do Galicji, tak jak stał, w jednym podniszczonem już ubraniu cywilnem, bez żadnych rzeczy i z bardzo małemi zasobami.

Był to jednak człowiek silny i dzielny, przygotowany do walki o byt i do tego, aby iść przebojem przez życie. Rychło też dał sobie radę.

Narazie przygarnęliśmy go z Adamem Zapolskim u siebie, że jednak nie mogło to trwać dłużej, bo było ciasno, więc Żmudzin po paru dniach zaczął szukać mieszkania i znalazł je łatwo gdzieś wpobliżu politechniki, na jednej z nowych wówczas ulic. Rozejrzawszy się po okolicy, spostrzegł, iż jest tam jakiś staw z urządzoną pływalnią. Zajrzał tam, wykąpał się, bo był gorący dzień, i przy sposobności zaproponował właścicielce tego kąpieliska, aby urządziła u siebie lekcje pływania, których on będzie udzielał za opłatą korony od osoby. Właścicielce, na której Żmudzin, rosły i przystojny chłopiec, dobre musiał zrobić wrażenie, trafiło to do przekonania. Umowa została zawarta. Wacek natychmiast kupił sobie jakiś tani niemiecki (bo polskiego nie było) podręcznik do nauki pływania, przestudjował go i rozpoczął lekcje, które mu przynosiły od 3 do 5 koron dziennie. Był to pierwszy, wcale nie najgorszy jego zarobek. Zdając jednak sobie sprawę z tego, że jest to tylko dochód sezonowy, przez lipiec i sierpień, rozglądał się zawczasu za inną pracą i znalazł ją bardzo szczęśliwie w Banku Zaliczkowym przy Wałach Hetmańskich, gdzie poparł go z naszej rekomendacji pocziwy Bronisław Szwarce.

Mając już byt zapewniony, mógł Żmudzki w jesieni wstąpić na uniwersytet. Ale że nie miał żad-

nych papierów, prócz karty wstępu na wykłady w uniwersytecie dorpackim, przeto dość trudno było to przeprowadzić. Udało mu się przecież wydostać kopję matury, a reszta poszła jakoś na dobrą wiarę, tak, iż mu zaliczono nawet dwa lata studjów. Kolegowaliśmy więc na nowo, z tą tylko różnicą, że Żmudzki, będąc zajęty w Banku, rzadko tylko mógł się zjawiać na wykładach.

Szybko jednak, daleko szybciej ode mnie, zorientował się on w stosunkach koleżeńskich i zawarł szereg znajomości. Między innymi wyszukał dwie „warszawianki”, p. Irenę Jawicównę (późniejszą Irenę Pannenkową, znaną publicystkę) i Helenę Witkowską, które rozpoczynały właśnie studia we Lwowie, i zaznajomił mnie z nimi. Dopuszczenie kobiet do studjów na uniwersytetach austriackich było wówczas nowością. W Krakowie było ich już kilkanaście, we Lwowie tylko trzy: oprócz wymienionych wyżej jeszcze p. Ogórkówna na medycynie. Były to pierwsze „jaskółki” ruchu, który niebawem miał się rozwinąć bardzo szeroko, przepełniając audytorja damskimi kapeluszami. Zaraz w następnym roku przybyła do Lwowa na studia p. Parniewska, aż z gub. kurskiej, z Białogrodu, gdzie Żmudzki był na wygnaniu. Była to późniejsza żona Wacława. Poza tem głównie Warszawa i Królestwo, szerzej biorąc zabór rosyjski (t. z. kraj zabrany) dostarczały słuchaczek uniwersytetowi lwowskiemu, który zaczął w tym względzie poważnie współzawodniczyć

z Genewą i Sorboną paryską. Miało to tę dobrą stronę, że młodzież żeńska studjowała w kraju, nie zagranicą.

Żmudzki wszedł także rychło za mojem pośrednictwem w nasze towarzystwo. „Kolonja” przyjęła go z otwartemi rękami.

Na innem miejscu pisałem już o naszych wspólnych konspiracyjnych wyprawach, organizowanych przez Dmowskiego. Tu więc pozostaje mi tylko opowiedzieć o działalności Żmudzkiego na niepolitycznym terenie.

Terenem tym była literatura.

Nikt z nas nie podejrzewał narazie, że mamy wśród siebie utalentowanego pisarza. Może nawet sam Żmudzki tego nie przypuszczał. Widocznie jednak unoszący się wówczas w powietrzu lwowskiem bakcyl literacki dostał się także i do jego organizacji psychicznej, gdyż pewnego dnia, przyszedłszy do mnie, powiedział:

— Wiesz, napisałem nowelę. Chcesz, to ci ją przeczytam...

Oczywiście wyraziłem na to zgodę.

Wacław zaczął czytać. Z początku nieśmiało, głosem jakby zażenowanym. Stopniowo jednak głos ten nabierał barwy i dźwięku, męźniał lub drgał wzruszeniem.

Słuchałem i zainteresowanie moje rosło. Było to opowiadanie z dziejów prześladowań unickich, ujęte w formę zupełnie dojrzałą. Znać było, że to nie dyletancka robota, ale owoc szczerego ta-

lentu, który miał przed sobą wyraźne zadanie do spełnienia.

Żmudzki znał Chełmszczyznę i stosunki tamtejsze nawylot. Naprzód pochodził z Krasnostawskiego, potem gimnazjum kończył w Białej Siedleckiej, która była jednym z głównych ośrodków rusyfikacyjno-prawosławnej roboty na Podlasiu. W opowiadaniu jego byli żywi ludzie.

Gdy skończył, uściskałem go. Powiedziałem mu, że napisał bardzo dobrą rzecz. Nie chciał wierzyć. Zacząłem mu więc tłumaczyć, dlaczego ta rzecz jest dobra i jakie są jej walory artystyczne. Radziłem mu, aby opowiadanie swoje wydrukował.

— Ale gdzie? Kto to weźmie?

— Idź do „Kurjera Lwowskiego“, tam wychodzi tygodniowy dodatek literacki. Wysłouchowa ci to wydrukuje, bo temat jest ludowy. Zresztą, poproszę Kasprowicza, żeby cię poparł.

Tak się też stało. Na drugi tydzień nowela Żmudzkiego była już wydrukowana i zrobiła bardzo dobre wrażenie. Podobała się powszechnie. Chwalono ją wobec autora i poza nim.

Tak Żmudzki zdobył ostrogi pisarskie, a że otrzymał przytem honorarium, więc było to dla niego bodźcem do dalszej pracy. Obliczył się z siłami i postanowił napisać powieść.

Wycofał się wówczas niemal zupełnie z życia koleżeńskiego i towarzyskiego. Było lato. Zamykał się w domu i pisał po całych dniach. Doszedł

nawet do takiego dziwactwa, że kazał sobie na godzinę 11-tą rano przynosić obiad, aby po obiedzie rozporządzać już bez żadnych przeszkód czasem na pisanie aż do wieczora. I wyzyskiwał ten czas sumiennie.

Wpadaliśmy do niego co kilka dni z Marcinem, aby go wyciągnąć na spacer. Odczytywał nam wówczas fragmenty „Boru”. Pisał w grubym zeszyście oprawnym w ceratę i widzieliśmy za każdym razem, jak liczba zapisanych w tym zeszycie kartek wzrasta, jak powieść pęcznieje i nabiera rozmachu.

Pod jesień rękopis był gotów. Zameldowałem o tem Domagalskiemu i zdałem mu relację z tego, co „Bór” zawiera. Była to powieść na tle unickiem, podobnie, jak tamto pierwsze opowiadanie. Ale tło podmalowane było już szeroko, a występujące na niem postacie miały dobry rysunek i dobrą plastykę. Lubelszczyzna ówczesna żyła tam swoim rzeczywistem, prawdziwem, realnie odtworzonym życiem. Przedewszystkiem jednak był to temat nowy, nietykany i niecenzuralny. „Bór” w wydaniu książkowem mógł liczyć na powodzenie za kordonem.

Trafiło to Domagalskiemu do przekonania i Towarzystwo Wydawnicze kupiło książkę od Żmudzkiego, wypłacając mu 250 koron honorarjum, z czego 50 koron zapisano mu „na udział”.

W kilka miesięcy potem książka wyszła z druku. Popławski, który sam pochodził z Lubel-

skiego, uznał ją za dobrą i polecił mi napisać o niej obszerniejszą recenzję do „Przeglądu Wszechpolskiego”.

Napisałem, jak mi się zdawało, z całą przyjazną życzliwością dla Żmudzkiego. Niebawem jednak miałem z powodu tej recenzji zaznać pierwszej goryczy, tak nieodłącznej od zawodu krytyka. Autor nie był zadowolony. Czems go uraziłem. Wprawdzie mi nigdy tego nie powiedział i stosunek nasz żadnej z tego powodu nie uległ zmianie, ale wiedziałem od Marcina, że Wacek chowa jakiś żal do mnie w duszy.

Było mi przykro, bo nie chciałem ani go dotknąć, ani zadrasnąć jego ambicji twórczych, ale nie mogłem już nic zmienić w wydrukowanym artykule. Nie wiedziałem, zresztą, o co chodzi.

Powodzenie książki rychło jednak załagodziło niezadowolenie Żmudzkiego. Widywaliśmy się więc po dawnemu często i snuli razem plany na przyszłość, bo autor „Boru” czuł się już osadzonym w siodle pisarzem.

I kto wie, czy nie osiągnąłby na tem polu poważnych nawet wyników, gdyby nie praca bankowa, która go pożerała i która ostatecznie pożarła mu całe życie, doprowadzając go wzamian za to tylko do ustalenia bytu materialnego.

Po moim wyjeździe ze Lwowa Żmudzki napisał jeszcze jedną tylko większą rzecz na temat psychologiczno-patologiczny, ale utwór ten, prze-sycony erotyzmem, nie doznał większego powo-

dzenia. Musiało to wpłynąć ujemnie na psychikę autora, bo powoli zaczął się wycofywać z literatury, aż wreszcie wycofał się zupełnie. Tak mnie przynajmniej zapewniał, kiedy widziałem się z nim we Lwowie w roku 1909 na zjeździe ku czci Słowackiego (w 50-tą rocznicę śmierci). Był już wówczas jednym z dyrektorów Banku Zaliczkowego, a niebawem miał zająć jedno z wybitniejszych stanowisk w bankowości lwowskiej.

Na tem stanowisku zastała go wojna i związane z nią późniejsze wydarzenia, które zgottały mu tragiczny epilog życia.

Naprzód podczas rebelji ukraińskiej zginął od kuli na ulicach Lwowa jego dorastający już syn, walczący w szeregach orląt. Był to dla obojga rodziców cios druzgocący. Zły los jednak nie poprzestał na tem. Bank, na którego czele stał Żmudzki, dokonał już w Polsce niepodległej jakiejś operacji z ryżem, która ówczesnym czynnikom rządowym wydała się karygodną. Czy była istotnie karygodną — nie wiem. Wiem tylko jedno, że winy Żmudzkiego nie mogło w tem być żadnej. Jeżeli był kto winien, to inni, nie on. Pociągnięto jednak i jego do śledztwa, przywieziono do Warszawy i osadzono w więzieniu śledczem poto, aby po kilku tygodniach wypuścić... bez następstw.

Sam fakt rozpoczęcia życia w odrodzonej ojczyźnie od więzienia wystarczył, aby wywołać w duszy więzionego przygnębienie i rozgoryczenie.

Kiedy był już wolny, żona jego zawiadomiła mnie o tem, i natychmiast poszedłem go odwiedzić. Zastałem cię człowieka. Uściskał mnie wzruszony. Zaczęliśmy rozmawiać.

— Nie usprawiedliwiam się przed tobą — mówił — bo mnie znasz. Powiem ci tylko jedno, że posądzać mnie o to, że działałem na szkodę państwa w chęci zysku, mnie, który oddałem ojczyźnie wszystko, co miałem najdroższego, bo ukochanego syna — to zbrodnia. Tylko zbrodniarze mogli przypuścić, że ja po takiej stracie mógłbym myśleć o materialnych korzyściach.

Jeżeli to piszę na tem miejscu, to dlatego, że uważam to za obowiązek swojego sumienia wobec pamięci Żmudzkiego. Znałem go przez szereg lat i żyłem z nim blisko. Był on według mojego przekonania czystym i bezwzględnie prawym człowiekiem, który dążył zawsze do tego, by wszelkie swoje stosunki regulować według głębokiego, wrodzonego mu poczucia sprawiedliwości.

To, że czuł się niesprawiedliwie skrzywdzonym, zmiażdżyło go doreszty. Już po stracie syna wpadł w pewien mistycyzm i szukał w nim ratunku dla swojej złamanej nieszczęściem duszy. Nie mógł oczywiście w takim nastroju psychicznym myśleć o powiększeniu swoich dochodów, których miał dość, zapewnionych po koniec życia, a cóż dopiero myśleć o powiększaniu ich drogą niewłaściwych operacyj bankowych. Uważam to za wyłączone, a jednak posądzono go o to

i sponiewierano po gazetach publicznie jego uczciwe nazwisko, jego nieskalany stosunek do ojczyzny, oparty na ideałach, wyniesionych z naszych studenckich, warszawskich czasów, stwierdzonych więzieniem i wygnaniem.

Po tej strasznej przygodzie, jak śmiertelnie raniony zwierz, wycofał się Żmudzki z życia, unikał ludzi i odwiedzał tylko grób syna, któremu powierzał swoje smutne myśli i gdzie składał cierpień swojego cierpienia.

Niedługo to jednak trwało. Umarł w niespełna rok po powrocie z Warszawy, strawiony doszczętnie przez ból, który go gryzł i nurtował, czyniąc z człowieka, pełnego temperamentu i sił życiowych, ofiarę złego, sprzysiężonego przeciw niemu losu.

Zupełnie tragiczny miał koniec.

N A S Z A K O L O N J A

„Kolonja warszawska” we Lwowie żyła początkowo swoim własnym życiem towarzyskiem. Powoli dopiero to życie zlewało się w jeden strumień z życiem miasta, w miarę jak stosunki nasze się rozszerzały. Rozszerzały się zaś z konieczności, bo każdy nowoprzybywający emigrant był przedstawicielem innego zawodu, innych szukał stosunków i inne zawierał znajomości, poszukując pracy i chleba.

A było to dla wielu niezbędne, niejeden bowiem, uchodząc zagranicę, zostawiał po tamtej stronie wszystko, dom własny i byt ustalony, aby rozpocząć życie na nowo, w odmiennych, nieznanym sobie warunkach. Trzeba było nieraz dużej energii i dużej dzielności charakteru, aby pokonać wszystkie przeszkody i dojść do czegoś, wnosząc jednocześnie do nieco zastałego społeczeństwa galicyjskiego pierwiastek inicjatywy i śmiałości poczynić.

Przykładem takiej energii i dzielności był w naszej kolonji Bronisław Koskowski.

Pisałem już, że zajmował się on przyjmowaniem transportów literatury nielegalnej po tamtej stronie kordonu i że w pewnym momencie musiał uciekać za kordon.

Koskowski był z zawodu aptekarzem. Posiadał w Tyszowcach, w Lubelskiem, odziedziczoną po ojcu aptekę i mógł być tam mieć spokój i dostatek do końca życia. Ale — porwała go z sobą fala i wyrzuciła na brzeg galicyjski, gdzie znalazł się z żoną, Stefanją z Topolskich, i dwojgiem małoletnich dzieci, Heniem i Włodziem, prawie, że bez żadnych środków.

Trzeba było na życie zarabiać. Pierwszym środkiem utrzymania Koskowskich było zorganizowanie zbiorowych obiadów dla kolonji w swoim domu. Stołowaliśmy się tam całą gromadą: Dmowski, Popławski, Bronikowski, Beckowie i inni. Razem kilkanaście osób. Było to bardzo przyjemne, ale z pewnością nie przynosiło p. Koskowskiej nic, oprócz kłopotów, które umiała, zresztą, znosić z wielką pogodą ducha, zawsze wesoła, roześmiana, uprzejma.

Zasoby, przywiezione z Tyszowiec, nie mogły starczyć na długo, musiał więc pan Bronisław zacząć zarabiać. Ale jak i gdzie?

Rozejrzał się przedewszystkiem w swoich stosunkach zawodowych i spostrzegł, że w życiu farmaceutów galicyjskich są pewne luki, wynikające z braku wzajemnego porozumienia. Chcac to porozumienie ułatwić, rzucił myśl wydawania „kalendarza farmaceutycznego” na wzór kalendarza lekarskiego. Myśl ta znalazła poparcie u prezesa Towarzystwa Farmaceutycznego Włodzimierskiego, i Koskowski zabrał się do przygo-

towania wydawnictwa. Materiałów gotowych nie było żadnych. Trzeba było je zbierać, segregować, opracowywać. Na prośbę Koskowskiego pomagałem mu w tem, napisałem nawet kilka artykułów na dane mi przez niego tematy, resztę zaś on sam zrobił, pracując po nocach, no i jakoś całość się zlepiła. Kalendarz wyszedł na czas i został dobrze przyjęty. Koskowski zarobił na nim i nawet wypłacił mi skrupulatnie honorarium za to, co napisałem. Odtąd redagował on już i wydawał na własne ryzyko przez szereg lat ów kalendarz aptekarski.

Nie mogło to jednak zapewnić bytu rodzinie. Nadto nie wyczerpywało całej energii, jaka tkwiła w Koskowskim, który był urodzonym działaczem i organizatorem.

Widząc zupełny brak w Galicji przemysłu farmaceutycznego i całkowitą zależność handlu aptekarskiego od przemysłu austriackiego i czeskiego, nawet w zakresie przedmiotów, które z łatwością możnaby było produkować w kraju, powziął on wspólnie z profesorem anatomji na uniwersytecie lwowskim Kadyim myśl założenia udziałowej fabryki mydeł leczniczych i toaletowych, wody kołoińskiej, proszków i past do zębów i t. d. Fabryka taka powstała pod nazwą „Tlen“ i dość szybko rozwinęła się tak, iż Koskowski, jako dyrektor, znalazł tam byt dla siebie i rodziny zapewniony.

Wspominam o tem dla zaznaczenia, że inicjatywa Królewaków pobudzała do szybszego tętna

nietylko życie polityczne, lecz i życie gospodar-
cze Lwowa.

*Przy
wieloc
obimie
ministra*

W podobnem położeniu co Koskowski był
także we Lwowie Józef Beck, który jako mło-
dy adwokat musiał uciekać z Rygi przed ścigają-
cymi go żandarmami. Znalazł się on na bruku
lwowskim wraz z żoną i małym synkiem Józkiem
również bez żadnych niemal środków.

Bez myśli zapewne o tem, że będzie kiedyś
wiceministrem spraw wewnętrznych w Polsce nie-
podległej, zabrał się on gorliwie do studjowania
samorządu galicyjskiego, do czego miał zamiło-
wanie, i dość rychło otrzymał stanowisko sekreta-
rza rady powiatowej w Limanowej, gdzie przebył
szereg lat ku wielkiemu pożytkowi powiatu. Je-
stem przekonany, że niewiele rad powiatowych
mogło się pochłubić takim sekretarzem. Józef
Beck był bowiem nietylko człowiekiem światłym,
lecz posiadał także głęboko rozwinięty instynkt
obywatelski, instynkt służby społecznej, który
w najtrudniejszych sytuacjach wskazywał mu
zawsze drogę najprostszą do dobra społecznego.
Był to bardzo dodatni typ działacza spokojnego,
zrównoważonego i zdającego sobie dobrze sprawę
z tego, dokąd należy dążyć.

Nieraz jednak zdarzało się, że ten i ów z przy-
bywających do Lwowa ciężkie przeżyć musiał
chwile, zanim zdołał się ustalić, w Galicji bowiem
nie przelewało się i o pracę zarobkową wcale nie

było łatwo, zwłaszcza w dziedzinie techniki i handlu.

Tak np. przyjechał do Lwowa w r. 1897 wprost z Zagłębia Dąbrowskiego, gdzie był geometrą na kopalni, Konstanty Aleksa, Litwin i to prawdziwy Litwin, rodem z Kowieńszczyzny, mówiący po litewsku równie dobrze, jak po polsku. Skompromitowany, jako że trudnił się przemycałnictwem literatury nielegalnej, jak wszyscy, pracujący wówczas na pograniczach, musiał uciekać. Przygarnęliśmy go, oczywiście, całym sercem, ale samo serce nie wystarczało. Trzeba było jeść, a nie było na to środków. Najadł się więc Aleksa porządnej biedy, zanim otrzymał skromne stanowisko mierniczego przy budowanej przez inż. Olewińskiego kolei podjazdowej Chabówka-Zakopane. Pojechał więc tam pocziwy Litwin i wymierzał cierpliwie góralskie grunty, podlegające wywłaszczeniu pod budowę kolei. Raz zaczepiwszy się o pracę, już jej nie puścił i wkońcu nawet ustalił się zupełnie. Przywiązał się do Lwowa i do Galicji i przeżył tam zgorą dwadzieścia lat, widziałem go bowiem w Warszawie dopiero w r. 1919, kiedy na wieść o powstającej Litwie kowieńskiej spieszył do swoich stron rodzinnych. Nie przeczuwał zapewne, jaka to będzie Litwa. Nie wiem też, czy dobrze wyszedł na tym powrocie.

Wśród „emigrantów politycznych” trafiały się też i postacie zgoła niebanalne. Do takich postaci należał Czesław Sobolewski, sztygar z Zagłębia,

urodzony konspirator i „przemytnik”, typ jakby wachmistrza z 1830 roku, z którego tylko co mundur zdjęto i przebrano go po cywilnemu. Dobrego wzrostu, z bujnemi mazurskimi wąsami, odznaczał się on nieokiełznanym temperamentem i ryzykanctwem. Był na stałej pensji w organizacji Ligi Narodowej i trudnił się wyłącznie przevożeniem na sobie „ornatów” z „Przeglądem Wszechpolskim” i „Polakiem”. Podróżował nieustannie tam i zpowrotem coraz to przez inną granicę i coraz to za innym paszportem. Miał jednak szczęście. Kilkakrotnie był w poważnych opałach, ale zawsze, jak kot, spadał na cztery łapy. Musiał imponować żandarmom swoją postawą i tupetem. Mówił, zresztą, doskonale po rosyjsku, bo służył w wojsku i był rezerwowym oficerem dragonów.

Sobolewski, zwany w skróceniu „Sobolem”, miał doskonały i nieprzebrany humor, za co lubiliśmy go wszyscy.

W głębi duszy żywił on głęboki kult dla Anglików. Umiał po angielsku i do największych jego przyjemności należało zasiąść w kawiarni i czytać dzienniki angielskie.

Był to człowiek bardzo dobry. Po latach spotkałem się z nim w Wenecji, gdzie bawił z żoną i synem. Przywiązanie jego do rodziny było rozrzewniające. Niestety, podczas wojny, która zaskoczyła go gdzieś na Besarabji, u żoninej rodziny, stracił na tyfus żonę i syna, a nieba-

wem potem i sam umarł, nie mogąc przeżyć nie-
szczęścia, które go spotkało.

Ciekawym również członkiem naszej kolonji był Wacław Naake-Nakęski, warszawianin, szwagier Stanisława Rutkowskiego, ogrodnika, znanego i zasłużonego działacza oświatowego, z którym wszystkich nas łączyły stosunki przyjaźni.

Nakęski brał udział w pierwszej manifestacji trzeciomajowej w r. 1891, za co odsiedział 6 tygodni w więzieniu. Od tej pory coś było nie w porządku pomiędzy nim a żandarmami, tak iż wkońcu musiał wyjechać nielegalnie zagranicę. Przez dłuższy czas bawił na Śląsku Cieszyńskim i doskonale poznał tamtejsze stosunki. Był wśród nas specjalistą od spraw śląskich.

Człowiek zawziętego patriotyzmu, w którym paliła się nieugaszonym płomieniem nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie, małego wzrostu, bardzo czupurny, był on fanatycznym wielbicielem Dmowskiego.

We Lwowie miał życie dość ciężkie, ale wkońcu dał sobie radę i osiedlił się tam na zawsze. Próbował także publicystyki, ale bez większego powodzenia. Napisał zato obszerne niewydane do-
tychczas pamiętniki, które zawierają niewątpliwie dużo ciekawego materiału, dotyczącego dziejów kształtowania się i dojrzewania myśli narodowej na przełomie dwóch stuleci.

Jednocześnie z naszą kolonją powstawała wówczas we Lwowie druga, socjalistyczna kolo-

nja, grupująca się dokoła Witolda Jodki-Narkiewicza, który w roku 1898 przyjechał do Lwowa i nabył tam kamienicę. Świeżo ożeniony z panną Rościszewską, którą poznał był w Paryżu, prowadził on we Lwowie dość towarzyskie życie, które w sposób niespodziewany przerwał pojedynek. Z pojedynku tego wyszedł Jodko z raną, która mu przez dłuższy czas potem utrudniała chód.

Był to człowiek wykształcony, w stosunkach gładki i miły, o typie raczej rosyjskim niż polskim (matka jego była ks. Golicynówna z domu). Nośił długą, ryżawą brodę, przystrzyżoną „na łopate”, czem przypominał trochę Aleksandra III. Mimo tego podobieństwa car Aleksander nie miał z pewnością większego wroga niż ten szlachcic-półarystokrata, przedzierzgnięty w zachodnio-europejskich środowiskach w zapamiętałego socjaldemokratę.

Jodkę poznałem bliżej przez Feliksa Perla, który w tym czasie bawił także we Lwowie i często u nas bywał, gdyż go do Zapolskiego zaadresował Strożecki.

Perl nie prowadził wówczas życia czynnego. Ilekroć go odwiedziłem, zawsze zastawałem go w łóżku, obłożonego stosami książek i dzienników. Tak leżąc, czytał po całych dniach, wychodząc z domu dopiero pod wieczór, do kawiarni, na posiedzenia znajomych.

Żyliśmy z nim w dobrych i przyjaznych stosunkach, był inteligentny, wykształcony, umysł

miął żywy, zajmujący w dyskusji i łatwo, nie bez wykwintu nawet konwersacyjnego przerzucający się w kwestji na kwestję. To też przyjemnie było z nim rozmawiać.

Spotkałem go potem kilka jeszcze razy w okresie rewolucji 1905/6 roku w Warszawie w domu mego kolegi i przyjaciela dra Zygmunta Radlińskiego. Tam wkońcu „wpadł”. Aresztowano go wraz z transportem, który przywiózł na siebie. Zmusiło to także Radlińskiego do emigracji do Krakowa.

Typem ciekawym, który mnie zainteresował, był w socjalistycznej kolonii lwowskiej Władysław Goździkowski, radomianin, tułający się już od lat kilku po świecie. Studja rozpoczął on w Zurychu szwajcarskim, potem przeniósł się do Monachjum, wreszcie zapisał się na politechnikę we Lwowie. Nic jednak chyba nie było mu dalsze od studjów technicznych, do których żadnego nie miał powołania. Zato posiadał niewątpliwe i duże uzdolnienia humanistyczne. Znał współczesną wielką literaturę europejską nawylot, ze szczególnem jednak zamiłowaniem traktował Dostojewskiego i Tołstoja. „Braci Karamazowych” umiał prawie napamięć, a słynną rozmowę Torquemady z Chrystusem rzeczywiście recytował jak z nut, wpadając przytem w szczególny zapał, który go porywał i unosił. Wygłaszając ten fragment niepospolicie wielkiego dzieła, upajał się

zarówno jego treścią, jak i swoim własnym głosem, który nabierał deklamacyjnego patosu i chwilami podnosił się do tak wysokich rejestrów, że aż nieprzygotowane na to szyby w oknach drżały ze wzruszenia.

To zamiłowanie do literatury zbliżyło mnie z Goździkowskim, mimo odmiennych przekonań politycznych. Polubiłem go aczkolwiek jego wagabundyzm intelektualny wcale nie był moim ideałem.

Była to natura niespokojna, poszukująca dla siebie takich warunków istnienia, jakich w ówczesnej Polsce znaleźć nie było można. Niezdolny do systematycznej pracy, do wysiłku w kierunku ukończenia studjów, Goździkowski rychło też studja porzucił i gnany ciekawością poznania szerszego świata, wyjechał do Brazylii, żeby przyjrzeć się życiu tamtejszego wychodźstwa polskiego. Skłoniła go do tego także bieda, która towarzyszyła jego pobytowi we Lwowie, pochodził bowiem z rodziny niezamożnej, która nie mogła mu zapewnić funduszków na kształcenie się. Pomimo że przeżywał nieraz chwile ciężkie, nie widziałem go jednak nigdy we Lwowie w złym humorze. Szedł przez życie raczej roześmianym krokiem naprzeciw wielkich wydarzeń, których oczekiwał i które przewidywał dość trafnie, bo obdarzony był niepowszednią inteligencją. W tych czasach, zapewne, że w głowie miał jeszcze młodzieńczy

chaos, ale i z tego chaosu wydobywała się nieraz myśl jasna i zastanawiająca umiejętnością przenikania tajemnic przyszłości. Acz socjalista z przekonań i z działalności, nie miał jednak umysłu, zagwożdżonego doktryną. Przeciwnie, ogarniał szerokie kręgi życia narodowego i daleki był od stanowiska wyłącznie klasowego, a że wyobraźnię miał żywą, której puszczał cugle zupełnie wolno aż do poetyckich niemal uniesień, przeto jego horoskopy zajmowały mnie, i wyciągałem go nieraz umyślnie na rozmowy.

W Brazylii przebył Goździkowski lat kilka, poczem powrócił do kraju i wypłynął w okresie rewolucji 1905/6, jako wybitny agitator wśród ludu. Przewędrował wówczas pół kraju, wygłaszając płomienne mowy. Przypuszczam, iż chłopci, do których przemawiał, nietylko go rozumieli, ile ulegali sugestji jego wymowy. Ale rewolucja minęła, rozpoczęła się krwawa reakcja, i agitator na rzecz przewrotu społecznego musiał ponownie schronić się zagranicę, gdzie w dalszym ciągu tułał się w niedostatku, marząc o lepszej przyszłości. Aż wreszcie przyniosła ją wielka wojna. Na jej fali dopłynął Goździkowski ponownie do kraju i podczas okupacji niemieckiej wylądował w Warszawie, aby z chwilą powstania Polski niepodległej zakończyć swoją niepowszednią karierę polityczną, jako urzędnik ministerjum spraw wewnętrznych.

Nie on jeden tylko. Podobnie do przystani urzędniczej los doprowadził drugiego „Brazylijczyka”, Józefa Okołowicza.

Okołowicz przyjechał do Lwowa, jako wydany z uniwersytetu warszawskiego młody, początkujący prawnik. Zamiast jednak kończyć studia, wyjechał do Brazylii w charakterze konwojenta transportu emigrantów. Zainteresował go problem wychodztwa polskiego i został w Brazylii na jakiś czas. Tam zadzierzgnął stosunki z włoskim Towarzystwem ubezpieczeń „Triestino” i po powrocie zajął we Lwowie dość wybitne stanowisko w filii tego Towarzystwa. Wychodztwem jednak nie przestał się już interesować, ale zbierał materiały do jego dziejów. Materiały te posłużyły mu do napisania książki o wychodźstwie. Książka ta wyszła już w Polsce niepodległej, której rząd powołał Okołowicza jako specjalistę, na-przód na konsula generalnego Rzeczypospolitej w Montreal w Kanadzie, potem na szefa departamentu emigracji w min. pracy i opieki społecznej. Przedwczesna śmierć przecięła jednak pasmo tego pożytecznego życia.

Okołowicz był człowiekiem pełnym inicjatywy i śmiałych przedsięwzięć. On to pociągnął za sobą do Brazylii Goździkowskiego i Aleksego Kurcjusza.

Kurcusz w galerii lwowskich emigrantów był typem marzyciela - wykolejeńca. Najszlachetniejsza natura przy zupełnym braku jakichkolwiek

życiowych uzdolnień. Po studjach w Zurychu i zamachu samobójczym z nieznanych mi powodów, odratowany i wyleczony, znalazł się aż we Lwowie bez środków. Wysoki, chudy, kościsty, chodził od Annasza do Kaifasza, aby się o coś zaczepić, bezskutecznie jednak, mimo że wszędzie budził współczucie. W tym czasie jakoś przyszedł list od Okołowicza, uskarżający się na brak nauczycieli ludowych w kolonjach polskich. Kurcusz zdecydował się i przy poparciu Wiktora Ungara wyjechał do Brazylii, gdzie przebył szereg lat, ucząc dzieci polskie czytać i pisać, w czym zapewne kulą u nogi było mu jego wyższe wykształcenie. Obowiązki swoje musiał jednak pełnić wzorowo, bo był niesłuchanie sumienny.

Wrażenia i spostrzeżenia swoje z pobytu wśród kolonistów polskich zebrał w książce, która, wydana przez „Bibliotekę Dzieł Wyborowych”, przeszła jednak bez wrażenia, napisana bowiem była bez wybitniejszego talentu literackiego. Mimo to stanowi ona w polskiej literaturze podróżniczej pozycję godną uwagi.

Ogniwiem pośredniem pomiędzy nami a socjalistami był jednakowo dobrze widziany w obu obozach i szanowany przez wszystkich młodych, stary pozytywista, filozof, Władysław R. Kozłowski, współpracownik „Prawdy” Świętochowskiego, autor licznych, drukowanych tam artykułów i prac obszerniejszych, informujących o ruchu filozoficznym na Zachodzie.

Z pochodzenia Ukrainiec — w znaczeniu takim, w jakim „Ukraińcami” byli Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński i Michał Grabowski — kształcił się on w Szwajcarji, w Zurychu, i był doktorem tamtejszego uniwersytetu. Nie wiem, z jakich powodów miał powrót do kraju odcięty i na starość znalazł się we Lwowie. Liczył sobie wówczas lat już ponad 60, a że był wątły i steryny życiem, pełnem widocznie abnegacji, przeto wyglądał na zupełnego starca.

Mieszkał w zakładzie Domsa, przy ul. św. Teresy, w domu, który miał na frontonie charakterystyczny niemiecki napis „Lebensausgang”.

Fundator tego zakładu Doms był kupcem lwowskim i legował dość znaczną sumę na wybudowanie i utrzymanie tego przytułku dla ludzi starych, pozbawionych opieki rodzinnej. Za skromną opłatą można tam było otrzymać pokój z utrzymaniem. Pensjonarze posiadali wspólną jadalnię i wspólne „parlatorjum”, przeznaczone do przyjmowania gości. Poza tem prowadzili życie zupełnie indywidualne w swoich pokoikach o wymiarach cel więziennych.

W jaki sposób dostał się tam Kozłowski, chociaż kupcem nie był, tego nie wiem. Może zabrakło już wówczas kupców, potrzebujących opieki, rozszerzono więc prawo pobytu w zakładzie na borykającą się z niedostatkiem inteligencję. W każdym razie to, że stary filozof znalazł schronienie w tym zakładzie, było dla niego dobrodziej-

stwem, był bowiem słabego zdrowia i często zapadał na przewlekłe bronchity, potrzebował więc naprawdę opieki.

Kilkakrotnie, gdy był chory, odwiedzałem go w tym zakładzie, co mu zawsze widoczną sprawiało przyjemność w jego osamotnieniu. Przygasłe jego oczy nabierały wówczas blasku i nieraz rozgawędził się na dobre.

Lubiłem go słuchać. Mimo długiego pobytu poza krajem rodzinnym, mówił śpiewnie, z ukraińska, używając wyrazów, po których można było poznać urodzonego kresowca.

Z pośród rzeczy, o których mi opowiadał, utkwiło mi w pamięci to, co mówił o Towiańskim. Zgadano się kiedyś o tym „łowcy dusz na emigracji”. Okazało się, że Kozłowski znał Towiańskiego osobiście i odwiedzał go w Zurychu podczas jego w tem mieście pobytu.

Według najgłębszego przekonania filozofa-pozytywisty, „mistrz” był pospolitym szarlatanem, który uwodził wykolejone przez nieszczęścia narodowe dusze i prowadził je za sobą, sam nie wiedział dokąd, byle mieć satysfakcję, że idą za nim, że wywiera na nie swój wpływ.

— Byłem wówczas młodym studentem — opowiadał Kozłowski. — Dowiedziawszy się, że Towiański nie jest od tego, aby go odwiedzać, wybrałem się pewnego razu do niego. Zameldowałem się. Kazano mi dość długo czekać. Potem na-

gle rozchyliły się w poczekalni czarne kotary, i ujrzałem przed sobą „mistrza” w stojącej postaci, z jedną ręką na piersi, w jaskrawem świetle słonecznego dnia, co po wejściu z mrocznej poczekalni nie mogło nie robić pewnego wrażenia. Na to było to zapewne obliczone. Towiański stał na podjum, obitem czarnem suknem. Miał na sobie długi surdut czarny, kroju, używanego przez duchownych protestanckich. Twarz miał starannie ogoloną, rysy jak wyrzeźbione; oczy ukryte za okularami. W tym majestacie swoim przyjął mnie i zaczął ze mną rozmawiać, wypytując, com zaczynam i skąd przybywam.

Tu Kozłowski przytoczył rozmaite *ipsissima verba* mistrza. Nie powtarzam ich jednak z obawy o możliwą nieścisłość. Wszakże słyszałem to 35 lat temu.

Zaznaczam tylko, że padły tam wyrazy: „szarlatan” i „oszust”, najzupełniej zresztą usprawiedliwione w ustach żarliwego do końca życia pozytywisty i radykalisty, jakim był Kozłowski. Cała jego umysłowość była tak sprzeczna z tem, co głosił Towiański, że właściwie byłoby dziwne, gdyby ustosunkował się on był do niego inaczej. Mówił z głębokiego przekonania, według swojej wewnętrznej, wyrozumowanej prawdy. Dla niego wszystko to, co było w Polsce emigracyjnej związane z „nauką” Towiańskiego, było omamem i obłudem. Bolał on nad Mickiewiczem, że „stracił rozum”, że swój jasny przedtem umysł pozwolił uwikłać do-

ktrynie, żałował Słowackiego, nie rozumiał zupełnie Goszczyńskiego i jego aberacji.

— Jakto — mówił — poeta, który w młodości szedł z karabinem w rękę na Belweder, mógł nagle przedzierzgnąć się w dewota i pójść na pasku „mistrza“, który mu nawet do pięt nie dorósł swoją „antoszwińską“ umysłowością! Przecież to najwidoczniejsza demencja.

Nie było w tych poglądach Kozłowskiego nic nowego. Tak rozumowała i to samo głosiła cała inteligencja pozytywistyczna, odwracająca się od romantyzmu po klęsce 1863 roku, jak od przyczyny tej klęski. Stary filozof pozostał tylko wierny swojej epoce, mimo że był już w epoce nowej, która z kolei rzeczy była reakcją przeciw pozytywizmowi. Tej rozpoczynającej się reakcji nie rozumiał on tak samo, jak nie rozumiał przemiany duchowej, jaka pod wpływem nauki Towiańskiego zaszła w Mickiewiczu, Słowackim i Goszczyńskim.

Z tem wszystkiem Kozłowski był bardzo dobrym i miłym człowiekiem, a przytem naprawdę mądrym. Zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że już „dożywa“ swojego życia, przeczuwał też bliski swój kres. Nigdy jednak nie uskarżał się na ten wyrok losu. Niedomagania i cierpienia swoje znosił z rzadką cierpliwością. Śmierć uważał za moment, w którym „człowiek przestaje być“. W nieśmiertelność duszy i życie pozagrobowe nie wierzył. „Niebyt“ uznawał za logiczne (?) następstwo „bytu“ i za najlepsze, jakie może być, zakoń-

czenie tragikomedji ludzkiej. Lubił o tem rozmawiać i lubił o tem przekonywać, czerpiąc argumenty z bogatego arsenału swojej wiedzy filozoficznej.

Umarł niedługo po moim wyjeździe ze Lwowa, pozostała mi jednak na zawsze w pamięci postać tego wychudłego staruszka, broniącego zapamiętałe swoich zasad pozytywistycznych. Widząc tę jego zapamiętałość, zastanawiałam się nieraz nad tem, dlaczego ludzie tego pokroju powstają tak namiętnie przeciw wszelkiej „wierze“, kiedy właściwie sami najgłębiej „wierzą“ w to, co uznali za prawdę, bo przecież nie przekonali się, że to jest prawda istotna, ale tylko poprostu „uwierzyli“ w nią.

Tak wyglądała nasza „kolonja“.

W miarę jak zadomowialiśmy się we Lwowie, ciążyli ku nam coraz liczniej przedstawiciele miejscowego społeczeństwa ze świata naukowego, literackiego i dziennikarskiego. Nie brak było wśród nich także młodzieży, sympatyzującej z naszą ideologją.

Jednym z pierwszych, który przylgnął do nas całem sercem, był dobry później mój przyjaciel, Kazimierz Wróblewski, wówczas student trzeciego roku filozofji i prezes popularnej „Czytelni Akademickiej“. Wróblewski miał dobre tradycje rodzinne, był spowinowacony z rodziną T. T. Jeża-Miłkowskiego i może wskutek tego nie tkwił w marazmie galicyjskim, ale rwał się całą duszą do pracy na rzecz jutra narodowego. Studjował polo-

nistykę, był gorliwym członkiem seminarjum prof. Romana Pilata i napisał był wówczas rozprawę o Bronisławie Trentowskim. Rozprawa ta miała wyjść w „Towarzystwie Wydawniczym”, i to zbliżyło Wróblewskiego z Ignacym Domagalskim. Bywając u Domagalskich, poznał powoli całą kolonję i był przez nią ceniony, jako łącznik pomiędzy reprezentowaniem w niej starszem pokoleniem „spiskowców” a lwowską młodzieżą akademicką, u której miał wielki posłuch i na którą duży wpływ wywierał, jako prezes Czytelni. Był on doskonałym mówcą publicznym, t. j. posiadał to właśnie, czego nam, wychowanym w konspiracji i nazwykłym do mówienia półszepem, brakowało. Wśród młodzieży akademickiej we Lwowie był bardzo piękny zwyczaj, że raz do roku, w dniu 26 listopada, jako w rocznicę śmierci Adama Mickiewicza, urządziła ona w sali rady miejskiej, ozdobionej „Polonią” Styki, uroczyste zgromadzenie, na którem w szeregu przemówień spowiadała się przed społeczeństwem starszem ze swoich ideałów, z tego, w co wierzy, co kocha i do czego dąży. Po kilku przemówieniach następowała część deklamacyjno-muzyczna, poczem w podniosłym nastroju publiczność rozchodziła się do domów.

Otóż dwa razy słyszałem na takich wieczorach mickiewiczowskich przemawiającego Wróblewskiego i byłem porwany zarówno formą zewnętrzną jego żywego słowa, jak i treścią tych przemówień, głęboko patriotycznych, ale dalekich od rzucania

nierealnych haseł, w czym tak celowali socjaliści, rzucający zawsze lekkomyślnie wyrazy: „rewolucja“, „przewrót społeczny“, „dzień sądu i zapłaty“ i t. d.

Z przemówień Wróblewskiego można było wnioskować, że młodzież, którą reprezentował, była bardzo nam bliska, że jej nastawienie uczuciowe szło po naszej linii, i że z łatwością możemy w niej pozyskać sojusznika w naszej akcji „wszechpolskiej“, która obalała słupy graniczne i wytwarzała, wbrew przeszkodom, jedność narodową polską. Budził się, zresztą wówczas już w Galicji samodzielny acz nieśmiały jeszcze i napół dziecięcy w swoich poczynaniach ruch „irredentystyczny“, ale nie miał on ani zrozumienia ani poparcia u szerszej opinii społeczeństwa. Wprawdzie proces tarnopolski w r. 1895, zakończony uniewinnieniem wszystkich podsądnych, stwierdził, że wśród młodzieży coś się burzy i na coś się zbiera, ale ta garstka młodych spiskowców, którzy ślubowali walkę przeciw Austrii, Rosji i Prusom, nie znalazła żywszego oddźwięku w kołach młodzieży akademickiej, i kiedy przyjechałem do Lwowa, już było zupełnie głucho o „organizacji“ tarnopolskiej.

Z tem większą więc radością witaliśmy zapowiedzi Wróblewskiego, wygłaszane w imieniu wchodzącego w życie pokolenia.

Rychło też z polecenia J. L. Popławskiego wszedłem w bliższe z Wróblewskim stosunki, aby go wybadać i zjednać ostatecznie dla nas. Po kil-

ku tygodniach częstszego obcowania byliśmy już przyjaciółmi.

Wróblewski, będąc kiedyś u mnie, zobaczył na mojem biurku rękopis wiersza. Porwał go, przeczytał i skonfiskował natychmiast, zawiadamiając mnie, iż go zabiera do „Czasopisma Akademickiego“, które wówczas redagował. Ledwie wymodliłem zwrot tego manuskryptu z tem, że wiersz wykończę, wygładzę, przepiszę na czysto i doręczę mu za następnem widzeniem.

Tak się też stało, i po kilku tygodniach pierwsza serja moich „Skarg“, które weszły potem do „Ekstazy“, figurowała już w „Czasopiśmie Akademickiem“.

Wróblewski tak się przejął tą moją liryką, że nauczył się tych wierszy napamięć i ku wielkiemu memu zażenowaniu deklamował je potem przy każdej sposobności, na każdym zebraniu u Domańskich.

Od tej pory oblegał mnie stale o współpracownictwo w „Czasopiśmie“ a później w „Tece“ która je zastąpiła.

Był on szczerym miłośnikiem poezji, i to nas jeszcze bardziej zbliżyło.

Zawarta wówczas przyjaźń nie zerwała się po moim wyjeździe ze Lwowa.

Wróblewski po ukończeniu studjów ożenił się z p. Sichulską, siostrą Kazimierza, wówczas jeszcze ucznia gimnazjalnego, w lat dziesięć potem już

znakomitego artysty-malarza i niezrównanego karykaturzysty. Była to bardzo dobrana i bardzo kochająca się para. Niestety, los zgłotował jej koniec tragiczny. Naprzód Wróblewscy stracili pierwsze swoje dziecko, co bardzo głęboko odczuli. Potem osiedli w Cieszynie, gdzie Kazio został profesorem w tamtejszem gimnazjum polskiem, o co zabiegał, uważając tę placówkę za teren pracy narodowej. Istotnie pracował tam z całym zapałem, a że gimnazjum cieszyńskie walczyło nieustannie z brakiem środków, a dostarczycielem tych środków był mec. Antoni Osuchowski w Warszawie, przeto Wróblewski wpadał kilka razy do roku do Warszawy dla porozumienia się z mecenasem i wydobyć od niego odpowiedniej kwoty.

Przy tych okazjach zawsze mnie odwiedzał i zawsze spędzał ze mną kilka godzin swojego skąpo odmierzonego czasu.

Tak było i podczas ostatniego jego pobytu w Warszawie. Przyjechał przed samymi świętami Bożego Narodzenia na bardzo krótko, to też wpadł do mnie tylko, jak po ogień. Ledwo zdążyliśmy się uścisnąć i umówić, że przyjdę na kolej odprowadzić go i pożegnać.

Poszedłem na dworzec i pożegnałem go, nie przypuszczając, że to ostatnie pożegnanie.

Kazio jechał do Radymna, gdzie miał się spotkać z żoną i tam w domu jej rodziców czy krewnych spędzić mieli wigilję i święta Bożego Narodzenia.

Nieszczęście chciało, że ulokowano ich na noc w pokoju gościnnym, gdzie przedtem mocno napalono w piecu i zasunięto szybry. Nazajutrz, w pierwszy dzień Świąt, znaleziono oboje Wróblewskich bez życia. Ratunku żadnego już nie było. Tak odeszło przedwcześnie z tego świata tych dwoje młodych i dzielnych ludzi, których życie byłoby z pewnością zbiegło w pracy wydatnej dla Polski, bo Kazimierz Wróblewski był stworzony na działacza. Miał umysł niepospolity, dużą wiedzę i gorące serce.

Drugim działaczem miejscowym, który trzymał się nas blisko i siedł równolegle z nami, był Kasper Wojnar, student filozofji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i wydawca taniej „Biblioteki Kościuszkowskiej” i słynnych kalendarzy ludowych. Odslugiwał on wojsko we Lwowie, w charakterze jednorocznego ochotnika w konsystującym tam pułku artylerji konnej. Poznałem go przez Dmowskiego i dowiedziałem się, że to on przywiózł w r. 1894 proklamację kwietniową do Warszawy, a że był to syn włościański, więc zainteresował mnie, jako typ nowej, zaczynającej dopiero pojawiać się na horyzoncie polskim konspirującej inteligencji z pnia ludowego.

Zbliżyliśmy się, i Wojnar wpadał do mnie często w wolnych chwilach, brzęcząc ostrogami i swoją ciężką szablą.

Był on głęboko przywiązany do rozpoczętej przez siebie pracy oświatowej i, mimo uciążliwej

służby wojskowej, myślał nieustannie o swoich wydawnictwach, gromadził do nich materiały, robił korekty, troszczył się o to, aby książki na czas wyszły i t. p.

Wiedząc już o tem, że się piórem param, nasta-
wał mocno, żebym mu coś napisał do drukującego
się właśnie kalendarza. Napisałem, a raczej wy-
smażyłem opowiadanie starego wiarusa o tem, co
w Polsce działo się od rozbiorów do prześladowania
unitów. Był to nieudolny, wierszowany utwór, do
którego żadnej wagi nie przywiązywałem i którego
za nic nie byłbym podpisał nazwiskiem. Wojnarowi
jednak się podobał i poszedł do druku, podznaczo-
ny pseudonimem St. Mazur. Wydawca był zado-
wolony i opowiadanie to poza kalendarzem odbił
jeszcze oddzielnie w „Bibliotece Kościuszkow-
skiej” z ilustracjami. Niedosć na tem. Natychmiast
zamówił u mnie „podobną rzecz” do następnego
kalendarza. Dałem mu kilka wierszy i opowiadanie
agitacyjne o „Trębaczach z wieży marjackiej”, któ-
ry z myślą o niepodległości Polski trąbi na cztery
strony świata. Utworów tych jednak już w druku
nie oglądałem, bo wyjechałem ze Lwowa. Ze zdumie-
nieniem dopiero w lat kilka potem jeden z tych
wierszy bezimiennych znalazłem przedrukowany
w jakimś polsko-amerykańskim piśmie z podpi-
sem ni mniej ni więcej, tylko „Jan Kasprowicz”.

Takie to figle płatają poetom wydawcy za oce-
anem!

Wojnar po odświeżeniu wojska wrócił do swojej pracy oświatowej i politycznej na gruncie krakowskim ze zdwojoną energją. Pragnąc wzmoczyć kolportaż swoich wydawnictw w Królestwie, sam je przewoził przez kordon. Podczas jednej z takich wybieżek wpadł w ręce żandarmerji i przesiedział czas dłuższy w cytadeli, skąd go jednak wypuszczono bez następstw, odstawiając tylko do granicy, jako „obcypoddanego”.

Ta przygoda miała za skutek to, że dowództwo armji austriackiej pozbawiło niefortunnego przemysłownika nielegalnej literatury ludowej zdobytej przez niego szarży oficerskiej.

Wojnar jednak nie bolał nad tem, ale dalej uprawiał rozpoczętą pracę. Założył sobie księgarnię ludową przy ul. Szewskiej w Krakowie i tam przyjmował interesantów z jednej i z drugiej strony kordonu aż do wybuchu wojny. Odebrana zaś sobie przez Austriaków szarżę odzyskał w legjonach, gdzie dosłużył się stopnia podpułkownika artylerji.

Po wojnie osiadł w Warszawie, gdzie przy ul. Marszałkowskiej posiada dużą księgarnię i rozwija w dalszym ciągu swoją pożyteczną działalność wydawniczą, mając w dodatku stwierdzone faktami przeświadczenie, że poświęcił swoje życie dobrej sprawie, bo wszak dla niepodległości Polski pracował od zarania swoich lat.

Niezależnie od Wojnara odwiedzał mnie także dość często przebywający wówczas we Lwowie

spolszczony Czech, Jarosław Rozwoda, korespondent „Radikalnych Listów” w Pradze czeskiej. Kochał się on w jakiejs Polce, i to uczyniło go fanatycznym przyjacielem Polski i Polaków. Chcąc się przysłużyć naszej sprawie, pojechał kiedyś z transportem do Królestwa, nie umiał jednak widocznie zachować się odpowiednio na granicy, gdyż aresztowali go tam żandarmi i odstawili do cytadeli w Warszawie. Przesiedział w X pawilonie, jeżeli się nie mylę, dziewięć miesięcy, poczem odstawiono go, podobnie jak Wojnara, do granicy austriackiej. Wrócił do Lwowa wymizierowany i rozstrojony nerwowo. Gdy przychodził do mnie, udawał żandarma rosyjskiego i skrupulatnie przeglądał wszystkie moje książki. Był zresztą miłośnikiem książek i wcale dobrym znawcą literatur słowiańskich. Mówił po polsku z czeska, ale dobrze. Żartowano nawet z niego, że zapomniał czeszczyzny i że korespondencje jego, po czesku pisane, muszą w Pradze poprawiać, gdyż najeżone są polonizmami.

Rozwoda studjował wówczas na uniwersytecie lwowskim filozofję, ale studjów tych nie ukończył ani we Lwowie, ani później po powrocie, w Pradze. Wykoleiło go to, i nietylko w życiu późniejszym do niczego nie doszedł, ale podczas wojny miał nawet podobno jakieś nieporozumienie z własnem społeczeństwem na dość nieprzyjemnem tle.

Niebawem po wojnie umarł w samotności i zapomnieniu. Nie miał w życiu szczęścia. Wchodził w nie pełen aspiracji literackich, ale nadziei, które sam w sobie pokładał, nie spełnił. Z literatury przeszedł do dziennikarstwa, lecz i w tym zawodzie się nie wybił. We własnym kraju nie zostawił po sobie znaczniejszego wspomnienia. Więcej raczej, niż Czechom, przysłużył się Polsce swoim rzeczywistym do niej przywiązaniem i sympatją. Dlatego wspominam tutaj o nim, należy mu się bowiem z naszej strony wdzięczność, choćby za te dziewięć miesięcy, które spędził w cytadeli warszawskiej, wpisując się z własnej woli i ochoty do księgi martyrologji polskiej. To też jeżeli kiedykolwiek kto drukiem ogłosi spis więźniów X pawilonu, to w spisie tym nie powinno zbraknąć nazwiska Jarosława Rozwody.

K R Ó L M Ł O D Z I E Ż Y

Podczas, kiedy ja pograżałem się coraz bardziej w życie towarzyskie naszej kolonji, przyjaciel mój Adam Zapolski, z którym ciągle razem mieszkąłem, odsuwał się od tego życia coraz dalej, dając się ponosić fali koleżeńskich stosunków na politechnice. Od czasu kiedy rzucił Wydział Krajowy i rozpoczął studia, poczuł się znów młodym, mimo przekroczonej już trzydziestki i poważnej łysiny. Wiek i powaga wyglądu budziły widocznie szacunek w jego młodszych kolegach, którzy garnęli się do niego skwapliwie. Zwłaszcza młodzież, przybywająca na studia z Warszawy i Królestwa, uznawała Zapolskiego jakby za swego patrona. Była to młodzież, żywo sympatyzująca z ruchem socjalistycznym, a że Zapolski był w kołach socjalistycznych znany, bo sprawa jego nie wyszła jeszcze z pamięci ludzkiej, przeto u młodych sympatyków socjalizmu miał markę „starego wygi”, a to zawsze imponuje początkującym.

Tak czy inaczej, kupiła się koło niego cała gromada młodziutkich studentów, której on przewodził nie bez przyjemności, spotykając się z posłuchem i pełnią zaufania. Był dla tej gromadki więcej, niż starszym kolegą. Miał dla niej rzeczy-

wiste braterskie uczucia. To też lubiano go naprawdę, i niejednen z poważnych dzisiaj inżynierów z pewnością dobrze wspomina nieżyjącego już Adasia Zapolskiego.

Oczywiście, iż z biegiem czasu poznałem większość tych młodych techników, którzy stanowili switę mojego szlafkamrata, gdyż odwiedzali go oni nieraz w domu. Gwarno było wówczas i wesoło w naszym mieszkaniu, a ciasne jego ściany polskim zwyczajem rozszerzały się na przyjęcie gości. Dla każdego znalazła się szklanka herbaty i kawałek „morawskiego” chleba.

Politechnika lwowska stanowiła pod ten czas *refugium* dla młodzieży z Królestwa, która z tych czy innych powodów nie mogła studjować w obrębie państwa rosyjskiego. Rosja posiadała wówczas tylko dwa ośrodki wykształcenia technicznego: Petersburg i Charków. W Petersburgu miał siedzibę słynny Instytut Technologiczny, a obok niego Instytut Inżynierów Dróg Komunikacji, Instytut Inżynierów Cywilnych i Instytut Górniczy. W Charkowie niewiele dopiero lat istnienia liczył Instytut Technologiczny. Politechnik w Kijowie i w Warszawie jeszcze nie było. Politechnika zaś w Rydze była za szczupłą, aby mogła pomieścić wszystkich, garnących się do niej.

Ażeby dostać się do Petersburga lub Charkowa, trzeba było przejść przez egzamin konkursowy, co nie każdemu się udawało. Komu się więc noga na tym egzaminie powinęła lub kto zgóry

z niego zrezygnował, ten musiał na studia techniczne wyjeżdżać zagranicę. Początkowo obierano zwykle bądź niemieckie politechniki w Charlottenburgu, Karlsruhe, Darmstademie, bądź politechnikę w Zurychu szwajcarskim, potem zwrócono uwagę także na Lwów, gdzie można było studjować wśród swoich, w języku ojczystym, nadto z widokami otrzymania posady w Galicji, co dla emigrantów politycznych nie było bez znaczenia.

Lata, o których mówię, zaznaczyły się licznym już napływem młodzieży z innych dzielnic do politechniki lwowskiej.

Dobry początek zrobili moi koledzy „kilińscy”. Wspominałem już o nich, o Andrzeju Brzostowskim, o Włodzimierzu Kiedrzyńskim, o Józefie Wasilkowskim, wybitnie zdolnym chemiku, który potem przedwcześnie umarł na stanowisku dyrektora fabryki w Pruszkowie pod Warszawą, na skutek nieszczęśliwie dokonanej operacji, o Stefanie Ślubowskim, zwanym „lordem”, i kilku innych.

Do tej starszej generacji przybył niebawem zastęp młodych.

Przyjechał między innymi na studia do Lwowa aż z Samary, gdzie ojciec jego był inżynierem kolejowym, Aleksander Litwinowicz, później, czasu wojny, oficer intendenty legjonów Piłsudskiego, wreszcie, po wojnie, generał, szef D. O. K. Grodno.

Ten młodziutki chłopaczek szczególnie przylgnął do Zapolskiego i chodził krok w krok za nim. Podobnie bliskim mu towarzyszem był Wiesław Januszewski z Nieklania, wychowaniec szkoły rzemieślniczo-przemysłowej w Łodzi, później, jako inżynier, dyrektor zakładów fabrycznych p. f. „Ursus”. Dla swojej różowej cery, okrytej delikatnym puszkciem wysypującego się dopiero młodzieńczego zarostu, Januszewski nazwany był przez kolegów „Poziomką”. Był to dzielny, dobrze zapowiadający się, pracowity chłopiec.

Z dalekich kresów wschodnich, skądś aż z Dyneburga, przywędrował skromny, cichy, nie mącający nikomu wody, ale wybitnie zdolny Kotowicz, przezwany, oczywiście, natychmiast „Kotem”.

Ci trzej stanowili sztab Adasia. Za pośrednictwem tego sztabu stosunki jego na politechnice rozszerzały się, a wpływy rosły.

Skończyło się to wszystko pierwszym we Lwowie procesem socjalistycznym. Nie pamiętam już, z jakiego powodu młodzież politechnicka demonstrowała na ulicach. Może to był pierwszy maj, może wybory z 5-ej kurji. Dość, że demonstracja przekroczyła miarę dozwoloną i doszło do starcia studentów z policją. Zaaresztowano coś około 20 młodzieńców, poczem niezwłocznie wypuszczono ich na wolność. W kilka tygodni potem odbył się proces, zakończony wyrokiem, skazującym „winnych” na dwutygodniowy areszt. Adam Zapolski wyszedł jakoś z tej demonstracji cało. Nie był na-

wet aresztowany. Ale „sztab” jego odsiedział ko-
zę. Na szczęście, nie pociągnęło to za sobą innych
następstw. Nikogo nie wydano, nikogo nie odsta-
wiono „do granic państwa”, co było jednak nieraz
stosowane do podejrzanych o socjalizm „obcopod-
danych”. Od tej pory jednak ci „obcopoddani” na
politechnice lwowskiej zachowywali się już spo-
kojniej, wiedząc, że stopień ich narażania się jest
daleko większy, niż „krajowców”, których z kraju
wydalić nie było można. Przycichł także Adaś,
dla którego nadzieja na skończenie politechniki
była przecież wtedy najważniejszą sprawą życia.
A jeżeli w agitacji socjalistycznej kto popuszczał
sobie na bruku lwowskim cugli, to czyniła to już
młodzież miejscowa, na której czoło wysunął się
świeżo ukończony inżynier Jędrzej Moraczewski.
Należał on już wówczas do partji, przyjaźnił się
z szwecem Kozakiewiczem, późniejszym posłem
z piątej kurji, który chodził po Lwowie w czerw-
nym krawacie, uwidoczniającym jego czerwone
przekonania, przemawiał na zgromadzeniach i wie-
cach i zasługiwał się, jak mógł i umiał, socjalnej
demokracji, prowadzonej przez Ignacego Daszyń-
skiego ku zdobywaniu coraz większego znaczenia
i coraz większych wpływów w Galicji, a w szcze-
gólności w Krakowie, który na swoich peryferjach
posłusznie siedł na jego pasku.

Lwów jednak — trzeba to przyznać — był
wówczas mniej od Krakowa podatny do agitacji
socjalistycznej. Miał dobrze zorganizowane patrjo-

tyczne mieszczaństwo, zgrupowane w „Strzelnicy”, miał również patryjotyczną młodzież rzemieślniczą, skupiającą się w „Gwiazdach”, a klasowo usposobionego żywiołu robotniczego brak mu było, jak całej Galicji, która cierpiała na nadmiar proletariatu rolnego i bezrolnego, po miastach jednak, wskutek niedorozwoju przemysłu, nie hodowała elementu, skłonnego do przyjęcia haseł socjalistycznych. Najłatwiej przyjmowały się one wśród służby domowej i wśród tak zw. dozorców, czyli po warszawsku „stróżów” kamienicznych. Pamiętam, że zaimponowała mi bardzo kucharka, Kasia, w domu moich stryjostwa, która w dniu 1 maja gotowała obiad, przepasana czerwoną szarfą na znak święta robotniczego... To święto doroczne miało jednak we Lwowie zazwyczaj spokojnie. Co najwyżej widziało się na ulicach trochę czerwonych krawatów i czerwonych goździków w butonierkach, co policja, oczywiście, zgodnie z konstytucją, tolerowała, nie pociągając nikogo do odpowiedzialności za takie manifestowanie swoich przekonań politycznych.

Ten słaby stosunkowo stan posiadania socjalizmu we Lwowie skłonił widocznie w przededniu wprowadzenia piątej kurji Daszyńskiego do przyjazdu i wygłoszenia kilku przemówień agitacyjnych.

Na jednym z takich przemówień byłem i po raz pierwszy słyszałem wodza socjalistów galicyjskich. Odbywało się to, *sub Jove*, na placu Gołuchowskie-

go, gdzie zbudowano jakąś katedrę i amfiteatralnie ustawiono ławki. W tych ławkach, o dziwo! pierwsze rzędy zajęły damy, należące do miejscowej arystokracji. Widać, że Daszyński stanowił dla nich przynętę, jako Pankracy, przeciwstawiający się niedołęźniącemu coraz bardziej hrabiemu Henrykowi. Istotnie, było czego posłuchać. Przemówienie o charakterze wiecowo-agitacyjnym było świetne. Wygłaszał je urodzony mówca z gestami Antonjusza, przemawiającego nad zwłokami Cezara. Nie brak tu było niczego — ani grozy sytuacji społecznej, nabrzmiałej zagadnieniami jutra, ani miękkiego liryzmu, współczującego niedoli ludu pracującego, ani ostrych pomruków groźby w stronę warstw posiadających, a w szczególności szlachty, która rządzi krajem, poniewierając interesami włościan i robotników, ani wzywania pomsty Bożej, ani syków rzeczywistej czy dobrze udanej nienawiści, bo przecież mówca sam należał z rodu do szlachty i to podolskiej. Jeżeli dodać do tego świetną mimikę, to wrażenie mogło być i było rzeczywiście zgoła niecodzienne. To też kiedy Daszyński skończył, owe damy z arystokracji pierwsze zaczęły bić brawo, jak w teatrze.

Muszę przyznać, że i ja byłem tą mową olśniony. Nie słyszałem jeszcze do owej pory, a i długo potem mówcy, tak doskonale umiejącego głosem, gestem i treścią tego, co mówi, panować nad słuchaczami, podniecać ich namiętności i prowadzić ich za sobą. Inna rzecz, że było to przemó-

wienie typowo wiecowe. Ale podobno Daszyński był równie świetnym mówcą parlamentarnym i parlament wiedeński słuchał go zawsze chętnie.

Czy ta jego mowa lwowska wywarła jakiś wpływ na lwowski proletarijat, tego nie przesądzam. Prawdopodobnie jednak zainteresowała ona w daleko większym stopniu, jako popis oratorski, inteligencję miasta i koła poselskie, które jeszcze nie miały wtedy wśród siebie socjaliści w sejmie galicyjskim.

Przedewszystkiem atoli młodzież politechnicka, wśród której gracko uwijał się wówczas Jan Stapiński ze swoim słynnym „panie dobrodziejaszku”, powtarzaniem co kilka wyrazów, agitując na rzecz tworzonego przez siebie stronnictwa, odwróciła się po tej mowie od kierunku ludowego i zacieśniła swoje węzły z socjalizmem. Być socjalistą lub przynajmniej sympatyzować z doktryną socjalistyczną znaczyło wśród tej młodzieży to samo, co być „postępowym”. „Postępową” też naogół była w tem znaczeniu młodzież, studjująca na politechnice. Grupowała się ona w świeżo założonym Związku Młodzieży Postępowej, który przeciwstawiał się dość bojowo starej, konserwatywnej i narodowo usposobionej Czytelni Akademickiej. W tym Związku bywałem czasem jako gość i wygłosiłem tam nawet na zaproszenie Zarządu dwa odczyty. Organem Związku było czasopismo „Promień”, mające być przeciwwagą „Teki”, wydawanej przez młodzież uniwersytecką. Do tego

„Promienia”, który przeżywał właśnie swoje „miodowe miesiące”, dałem opowiadanie o zesłańcach unitach, zaczerpnięte z moich wspomnień orenburskich. Na tem jednak opowiadaniu współpracownictwo moje skończyło się.

Ze strony społeczeństwa starszego opiekę nad Związkiem roztaczał nauczyciel gimnazjalny, historyk, Gorecki i, oczywiście, Witold Jodko. W stowarzyszeniu tem nie było jednak atmosfery rewolucyjnej. Przeważały hasła oświatowe. Członkowie Związku gorąco np. popierali Uniwersytet Ludowy im. Adama Mickiewicza, który stawiał wówczas we Lwowie pierwsze swoje kroki. „Ludowość” jednak tego uniwersytetu była bardzo problematyczna. Kiedy bowiem przyjechał z Krakowa Wilhelm Feldman i rozpoczął serję wykładów o literaturze ostatniego dwudziestopięciolecia, słuchała tych wykładów przedewszystkiem młoda inteligencja polsko-żydowska. Z tych samych elementów złożone było i moje audytorjum, kiedy w szeregu wykładów mówiłem o poezji romantycznej, o Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim. Nie zauważyłem nigdy wśród słuchaczy moich przedstawicieli ludu. Tak było we Lwowie. A w Stanisławowie, dokąd mnie zaproszono dla wygłoszenia odczytu o Słowackim, na odczyt ten, który odbywał się w sali teatralnej, przybyła już niemal wyłącznie elita tego miasta.

Niemniej „Uniwersytet ludowy” odegrał w życiu Lwowa niewątpliwie pożyteczną rolę, udo-

stępując za pośrednictwem swoich wykładów pewne gałęzie wiedzy sferom, które nie miały dostępu do uniwersytetu prawdziwego. Korzystali jednak z tego przede wszystkim Żydzi, ujawniający większe niż u ludności polskiej, chrześcijańskiej, zainteresowanie się nauką. Ze zwykłą swojej rasie żarliwością garnęli się oni do wszystkiego, co z tą nauką miało związek, zwłaszcza, jeśli otrzymywali to za darmo lub za minimalną pięcio czy dziesięciohalerzową opłatą.

Jak rozwijał się dalej, po moim wyjeździe ze Lwowa, Uniwersytet Ludowy im. Mickiewicza — tego nie wiem. Pierwsze jednak jego momenty miały wyraźną cechę „powszechnych wykładów” dla Żydów. I nie dziw, instytucja bowiem stała pod znakiem „postępu”, a więc socjalizmu, którego doktryna zawsze wśród Żydów miała najwięcej zwolenników i wyznawców. Żydzi przede wszystkim dawali socjalizmowi galicyjskiemu inteligentnych przewodników i agitatorów. Za nimi dopiero, w szarym ich ogonie, powstawał niezorganizowany, idący w rozsypkę obóz sympatyków na politechnice lwowskiej, zasilany głównie przez przybyszów z Królestwa. U wielu jednak kończyło się to na tej platonicznej sympatji. Po ukończeniu studjów, po objęciu odpowiedzialnych stanowisk, czyto w przemyśle, czy w komunikacji, mało który z tych sympatyków wstępował do partji i pracował dla niej. Były, oczywiście, wyjątki, ale tylko wyjątki.

Do wyjątków takich należał niewątpliwie Adam Downar-Zapolski, który acz nie był już na gruncie lwowskim czynnym działaczem, sympatię dla socjalizmu i jego rewolucyjnych haseł zachował do końca życia, może dlatego, że życie to nie szło po różach.

Studja odbywał w bardzo ciężkich warunkach materialnych, które znacznie pogorszyły się jeszcze po moim wyjeździe ze Lwowa. Z tego zapewne powodu studja te przeciągnęły się nad miarę, i kiedy inni, młodzi, już je pokonczyli, biedny Adaś jeszcze tkwił na politechnice i jeszcze kreślił pracę dyplomową na wydziale mechanicznym. Tymczasem siły się wyczerpywały, zdrowie słabło, odezwała się w nim gruźlica i zabrała go z tego świata niemal w przededniu otrzymania dyplomu inżynierskiego.

Zatelegraował mi o tem Marcin Ernst. Niestety, na pogrzeb pojechać nie mogłem. Pochowali go na cmentarzu Łyczakowskim przyjaciele, których miał bardzo wielu. Brakło jednak wśród nich najlepszych i najbliższych, bo ci już się rozjechali i byli na stanowiskach w Królestwie, a nawet w Rosji.

Tak skończył swoją czterdziestoletnią wędrówkę najstarszy wiekiem i latami studjów „król młodości” na politechnice lwowskiej, typ „wiecznego studenta”, człowiek zupełnie i najcałkowiciej oddany koleżeńskiemu życiu, nieprzebrane źródło

serca i przyjaźni dla wszystkich, którzy się ku niemu garnęli.

W życiu jego tkwił niewątpliwie od młodości tragizm. Nie szło ono ani po jego woli ani po jego myśli, zależne od przypadkowych powikłań. Tragiczny też był koniec jego życia w momencie, kiedy nareszcie bliski był osiągnięcia tak upragnionego celu, kiedy ambicja jego, aby zostać inżynierem, miała być już zaspokojona, i kiedy po latach niedostatku i biedy uśmiechał się do niego, jeśli nie dobrobyt, to w każdym razie był spokojny i zadowolony.

Czy pamięć o nim żyje wśród licznych jego kolegów — nie wiem. Ale żyć powinna.

Były to pierwsze tygodnie mojego pobytu we Lwowie. Przechodząc często ul. Akademicką, zwróciłem uwagę na średniego wzrostu mężczyznę w długim szarym płaszczu z peleryną i w czarnym o szerokich rondach kapeluszu. Biegł on zwykle szybko, wymieniając ukłony ze znajomymi. Miał tych znajomych dużo. Z tym lub innym przystanął, przywitał go mocnem potrząśnięciem ręki, rzucił do niego z uśmiechem kilka słów, pożegnał i biegł dalej, najwidoczniej śpiesząc się bardzo.

Przez dłuższy czas nie wiedziałem, kto to był. Aż tu pewnego razu, idąc z Dmowskim, natknęliśmy się na tego nieznanego. Zatrzymał nas. Z Dmowskim przywitał się bardzo serdecznie, poczem wyciągnął do mnie rękę i wymienił swoje nazwisko:

— Kasprowicz.

Oniemiałem i nieśmiało wybąknąłem:

— Dębicki.

Nie wątpiłem ani przez chwilę, że mam przed sobą Jana Kasprowicza, znakomitego już wówczas poetę, którego pierwszy zbiór poezyj, wydany przez „Bibliotekę Mrówki” z przedmową T. T. Jeża, nabyłem przed laty, jeszcze w Warszawie, w audytorjum, od kolportującego te poezje kolegi. Książ-

żeczka ta wywarła na mnie duże wrażenie. O jej autorze nie wiedziałem jednak nic więcej ponad to, co Jeż w swojej przedmowie napisał, to znaczy, że pochodził z Wielkopolski. Od owej pory śledziłem jednak uważnie drukowane na łamach „Głosu” i „Przeglądu Tygodniowego” utwory, podpisane tem nazwiskiem, i nabierałem coraz większego uznania dla nowego poety.

Naraz, po kilku latach cichego i skupionego wewnętrznego dla niego kultu, najniespodziewaniej w świecie, nie wiedząc nawet o tem, iż mieszka on obecnie we Lwowie, poznałem go osobiście.

Byłem tem szczerze i głęboko wzruszony. Bo proszę pomyśleć, z jakim uczuciem młodzieniec, który w skrytości pisuje wiersze, spotyka prawdziwego, znanego już i mającego rozgłos poetę!

Dmowski, który lubił żartować, oczywiście w rozmowie z Kasprowiczem napomknął zaraz o tem, że i ja jestem „poetą”.

Byłem tem ogromnie zażenowany i miałem uczucie, że spalam się ze wstydu. Kasprowicz jednak zareagował na to miłym uśmiechem i rzekł przyjaźnie:

— W takim razie niech mnie pan odwiedzi kiedy w godzinach południowych w redakcji „Kurjera Lwowskiego”, to pogadamy.

Wnet potem pożegnaliśmy się.

Taka była moja pierwsza znajomość z Kasprowiczem.

W kilka dni potem wchodziłem już punkt o 12-ej do redakcji „Kurjera Lwowskiego” i nieśmiało zapytywałem woźnego „o pana Kasprowicza”, czy jest i czy może mnie przyjąć?

Woźny poszedł mnie zameldować. Za chwilę Kasprowicz zjawił się we własnej osobie i serdecznie zaprosił mnie do sali, w której pracował. Była to sala ogólna. Poznałem tam starego Rewakowicza i Zygmunta Frylinga.

— A to nasz najgłówniejszy współpracownik — mówił Kasprowicz, podnosząc do góry leżące na swoim biurku wielkie nożyce i pokazując mi je w całej okazałości.

Uśmiechnąłem się, bo nie znałem jeszcze wówczas tajemnic życia redakcyjnego. Nie wiedziałem, z jakimi trudnościami materialnymi boryka się prasa galicyjska, i że są dzienniki, które dlatego, aby mogły istnieć i od czasu do czasu wydrukować swój własny artykuł polityczny, muszą wypełniać swoje łamy wycinkami, uprawiając na szeroką skalę korsarstwo. Tak było wówczas w „Kurjerze Lwowskim” i Kasprowicz mówił prawdę.

Stanowisko jego w redakcji zaimponowało mi. Był tam osobą bardzo szanowaną i wydało mi się, że go na rękach noszą. I jakże mogłoby być inaczej — myślałem — skoro obcuja z takim poetą.

Tymczasem, jak przekonałem się później, Kasprowicz był tak samo wyzyskiwany, jak inni, może nawet w daleko większym stopniu, bo nikt nie

oceniał tego, ile traci poeta, ścierający swój olbrzymi talent w tych codziennych żarnach. Jeszcze ten, kto ma w sobie żyłkę publicystyczną, da sobie w dzienniku radę, ale dla duszy, której jedynym żywiołem jest poezja, dziennikarstwo jest tragedją.

Było ono też niewątpliwie tragedją dla Kasprowicza. Za pracę swoją pobierał on pensję miesięczną w wysokości 100 guldenów austriackich. Za to skromne wynagrodzenie obowiązany był spędzić w redakcji trzy godziny rano i trzy godziny wieczorem, robiąc korekty cudzych artykułów i owych „wycinków”, przedrukowywanych skwapliwie. Ponadto w zakres tej pensji wchodziły sprawozdania z teatru, pisywane mniej więcej raz na tydzień, a czasem nawet dwa razy, Lwów bowiem był miastem małym a rzadko kiedy nowo wystawiona sztuka zdołała utrzymać się na afiszu dłużej, niż przez tydzień.

Dorobić do tej pensji niewiele było można, bo nie było nawet gdzie drukować, chyba od czasu do czasu w pismach warszawskich. Owe 100 guldenów stanowiło więc podstawę dochodów Kasprowicza, a że był on wówczas już żonaty i miał dwoje małych dzieci w domu, przeto o spokojnym dostatku nie mogło tam być mowy. Było borykanie się z dnia na dzień, były nieodzowne od takiej sytuacji długie i strapienia, wynikające z konieczności regulowania zaciągniętych zobowiązań.

Silna jednak i żywotna nad wyraz natura Kasprowicza pokonywała te wszystkie trudności z niezwykłą wprost pogodą.

Jego jasna i skłonna do uśmiechu twarz, zawsze czysto ogolona (brody jeszcze wówczas nie nosił), jego zadzierzyscie podkreśnony do góry wąs, jego wspaniała głowa tura z dużemi, wydatnemi „guzami inteligencji” na czole, jego bujna, ciemna czupryna, od której oddzielał się tylko, niby „osetec kozacki”, gęsty kosmyk włosów, spadający charakterystycznie na czoło — nie dawały nigdy poznać, że ten człowiek ciężko walczy już nie o dobrobyt, ale o skromny kawałek chleba dla rodziny i dla siebie, że po całodzienniej pracy nocę spędza na tłumaczeniu dla Połonieckiego dramatów Szekspira, że zabiega na wszystkie strony, aby związać koniec z końcem.

O tem wszystkim dowiedziałem się dopiero wówczas, gdy już z Kasprowiczem łączył mnie stosunek bliskiej przyjaźni. A poszło to łatwo, bo nikt inny nie miał w sobie tyle dobroci dla młodszych od siebie i nie umiał tak przez swoją niesłychaną skromność zmniejszać dzielącego ich od siebie dystansu, jak to potrafił Kasprowicz.

Gdy go poznałem, miał lat 36 a ja miałem 24. Dwanaście lat różnicy w tym wieku to bardzo dużo, a jednak, dzięki Kasprowiczowi, zatarło się to jakoś tak, że rychło przestałem odczuwać wobec niego to zażenowanie, jakie towarzyszyło pierwszym chwilom mojej z nim znajomości.

Kiedy mu raz o tem zażenowaniu wspomniałem, roześmiał się głośno.

— Na miłość Boską — rzekł — to wierutne głupstwo. Niema poetów wielkich i małych, starych i młodych, są tylko poeci, albo ich niema wcale.

Na szczęście nie przewróciło mi to w głowie, i czułem zawsze wielkość Kasprowicza, mimo późniejszej zażyłej z nim przyjaźni. Nie przestaję też dziękować losom za to, że pozwoliły mi zbliżyć się z największym człowiekiem, jakiego moja epoka wydała, obcować z nim i uważać go za swojego przyjaciela. Zaszczyt tej przyjaźni dla siebie rozumiałem od początku i od początku miałem dla Kasprowicza wyjątkowy kult. To też, kiedy mu w roku 1898 przyniosłem do domu pierwszy zbiór swoich wierszy, mimowiednie ukląknłem przed nim i klęcząc doręczyłem mu tę książkę. Wydać się to może niejednemu śmieszne albo nawet pozerskie. Kasprowicz jednak zrozumiał intencję i potrzebę mojej duszy w owej chwili, bo nie wyśmiał mnie za to, ale podniósł z kolan, uściskał i ucałował serdecznie, jak młodszego brata.

Wspominam o tem dlatego, aby zaznaczyć, na jakim podłożu czci i szacunku rozwijała się moja przyjaźń dla Kasprowicza, jak przy pozornej, nazewnątrz, kamaraderji, w wewnętrznym mojem życiu nie było w stosunku do niego nigdy nic z poufałego „klepania po ramieniu“, na które tyłu

młodszych ode mnie pozwalało sobie później bez żadnego zażenowania.

A przecież żyłem z Kasprowiczem naprawdę blisko i nieraz w życiu byłem dopuszczany przez niego do najpoufalszych spraw jego.

Po owej pierwszej mojej bytności w „Kurjerze Lwowskim” złożyłem niebawem Kasprowiczowi wizytę w domu.

Mieszkał on wówczas przy ul. Długosza, we wgłębieniu, w skromnem trzypokojowem mieszkaniu na parterze. Nic nie znamionowało, że jest to mieszkanie wielkiego poety. Zwyczajne biurko, za biurkiem półka przy ścianie, na tej ścianie nie więcej jak 150—200 książek, wśród których na plan pierwszy wybijała się niemiecka encyklopedia Brockhousa i oprawne w półskórek słowniki obcych języków: angielsko-niemiecki i francusko-niemiecki. Studja wrocławskie przyzwyczały znać poetę do szukania odpowiedzi na wszystkie wątpliwości u Niemców. Nie można się, zresztą, temu dziwić, bo ten sam nałóg miało całe ówczesne pokolenie Wielkopolan, którzy znali język niemiecki często lepiej od własnego. Brockhaus i Meyer pokutują i dzisiaj jeszcze w wielu domowych bibliotekach polskich nawet u nas, gdzie dopiero powoli zaczyna ich wypierać duży Larousse lub „Encyclopaedia Britannica”. A cóż mogło być innego w owych latach we Lwowie, gdzie w każdej większej kawiarni znajdował się obowiązkowo

wo na użytek gości niemiecki „Lexicon“. Nasz stary, nieoceniony dwudziestoośmiotomowy Orgelbrand nie dotarł tam widocznie. Zresztą, trzeba przyznać, że był już przestarzały.

W tej skromnie urządzonej pracowni, która była zarazem pokojem do przyjęć, rozjaśniło się jednak, skoro weszła do niego p. Jadwiga Kasproviczowa, żona poety, z domu Gąssowska. Była to kobieta młoda, drobnych kształtów, szczupła i małego wzrostu, o fascynującej jednak urodzie, której uroku dodawały bujne złote włosy, spiętrzone nad czołem w modnej wówczas fryzurze.

Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wydało mi się, że widzę przed sobą żywą ilustrację do poematu Kasprovicza p. t. „O Poranku“, rozpoczynającego się od słów:

„Rozwiał się twoje włosy,
Złote włosy twoje,
Jak jutrzniane
Błaski ranne
Tak ci się rozwiały“...

Była to kobieta jak stworzona na żonę poety, i uczułem dla niej głęboką wdzięczność za to, że, jak mi się wydawało, dała mu całkowite szczęście. Wykładnikiem tego szczęścia były dwie rozszczebiotane choć małeńkie jeszcze dziewczynki, Janka i Hanka, z których młodsza Hanka ledwie zaczęła chodzić. Rwały się one obie do kolan

ojcowskich, co ojcu widocznie sprawiało zadowolenie, gdyż cierpliwie i bez znużenia w głosie przyspiewywał im: „Jedzie pan, jedzie pan! jedzie chłop, jedzie chłop! Jedzie żyd, jedzie żyd!”

Nie przeczuwałem wówczas, że w tym szczęśliwym domu zacznie się rychło dramat o wysokiem napięciu i że zburzy on gniazdo rodzinne, w którym wszystko zdawało się być na swoim miejscu, przeznaczone do trwania w czasie i do przeciwstawiania się nawet burzom życia.

Narazie jednak Kasprowicz był naprawdę szczęśliwy i, mimo pesymizmu, któremu dawał ujście w swoich poezjach, patrzył na życie słonecznie, pracował, może buntując się w samotnych godzinach przeciw temu jarzmu, które dźwigał, ale pracował z oddaniem się tym trojgu istotom, wiedząc, że niema poświęcenia, na któreby się dla nich nie zdobył.

Największem z jego strony poświęceniem było z pewnością to, że mając w sobie ukrytą żylkę do podróży, do tego poetyckiego włóczęgostwa po świecie, które, zresztą, jest niezbędnem dopełnieniem wykształcenia, nie zdobywał się nigdy na to, żeby sobie zrobić wakacje, choćby najkrótsze, i odetchnąć pełną piersią. Był *glebae adscriptus* w całym tego określenia znaczeniu. A jeżeli kiedy podczas miesięcy letnich wyrwał się ze Lwowa, to na letnisko z żoną i z dziećmi lub do nich, do Truskawca, Jaremca czy Worochty, na lesiste Podkarpacie, gdzie szumi Czeremosz i Prut się prze-

wala. Poza tem siedział kamieniem przy swojej robocie. Dopiero w r. 1895 namówił go Dr. J. Czermak na wspólną podróż do Szwajcarii. Jak Kasprowicz tę podróż sfinansował, tego nie wiem, dość, że pojechał.

Było to w jego życiu poetyckiem wydarzeniem. Przywiózł z sobą jeśli nie cały tom poezyj, to materiały na cały tom. W duchowem jego istnieniu nastąpił jakiś głęboki przełom. Otworzyły się przed nim nowe światy, wstały w nim nowe tęsknoty.

Utwory z tego okresu, zamieszczane w czasopiśmie, uderzały świeżością i śmiałością, nowym napięciem ideowem. Poeta rósł i potężniał nie tylko w sobie, lecz i w mniemaniu powszechnem.

Urodzony nad Gopłem, w Szymborzu, wśród smutnej i monotonnej równiny kujawskiej, był olśniony światem gór niebotycznych. Ogarnęło go tam jakby pragnienie zdobywania szczytów, nie tylko skalnych, lecz i artystycznych. Poczł się świadomym swoich sił i zasobów artystą, zdolnym do najwyższych i najdalszych wzlotów. Wówczas to miał odwagę napisania wiersza, który na całe pokolenie współczesne wywarł potężne wrażenie.

Był to wiersz, rozpoczynający się od słów: „Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie”...

On, działacz społeczny, agitator na Śląsku w latach studenckich, przeżytych wśród niedostatku w uniwersytecie wrocławskim, więzień polityczny pruski, a potem dobrowolny wychodźca do

Galicji, gdzie przymknął do obozu ludowego — teraz odwrócił się od całej swojej przeszłości, od całej ideologii młodzieńczych swoich lat, i stał się wyznawcą haseł niezależnej sztuki.

Świadczy to chyba dość wymownie o procesie wewnętrznym, jaki przeżył podczas i bezpośrednio po tej pierwszej podróży szwajcarskiej, która wyrwała go z drętwy beznadziejnie szarego życia przy biurku w redakcji „Kurjera Lwowskiego”.

W tym to właśnie momencie poznałem Kasprowicza i przylgnąłem do niego duszą i sercem. Jakież ogromny wpływ wywarło to na mnie, pod jak wielkim urokiem jego poezji i jego osoby znajdowałem się od tej chwili! Oczywiście, czułem swoją małość i nikłość wobec jego wielkości, ale tem skwapliwiej garnałem się pod cień tego wspaniałego i rozłożystego dębu poezji polskiej.

Nie był to pierwszy poeta, którego poznałem. Łączył mnie już wówczas stosunek zażyłej przyjaźni z Kazimierzem Przerwą - Tetmajerem i bliskiej znajomości z Lucjanem Rydlem, ale mimo, iż Tetmajer był już sławny, a Rydel za świetnego uchodził artystę, żaden z nich nie wywarł na mnie takiego wpływu jak Kasprowicz.

Nie na mnie, zresztą, tylko jednego. Pod takim samym czarem jego osoby i poezji byli Kazimierz Wróblewski i Adam Szelągowski.

Pamiętam, jak po ukazaniu się w którymś z czasopism wiersza p. t. „Na jeziorach włoskich”

Wróblewski powiedział do mnie, że „po przeczytaniu takiego wiersza pozostaje już tylko jedno: strzelić sobie w łeb, aby już nigdy tego wrażenia nie zepsuć innym wierszem”.

Była w tem powiedzeniu młodzieńcza emfaza — to prawda, ale cóż było źródłem tej emfazy, jeśli nie rzeczywisty kult dla poety.

Wiersze, o których wspomniałem, weszły razem z innemi w skład tomu p. t. „Krzak dziękię róży”. Ten nowy zbiór poezji Kasprowicz ukazał się w roku 1898. Wszyscy wyczuli w nim wzburającą falę wielkiej poezji, której nie było w Polsce od czasu trójcy romantycznej. Nie czuł tego tylko jeden Kasprowicz, miał wątpliwości, miał swoje zawstydzenia wewnętrzne, gdy spotykał się z wyrazami hołdu i uwielbienia. Nie wierzył słowom zachwyty i uznania. Był tak skromny, że wszystko uważał za przesadę. W gruncie rzeczy jednak musiał zdawać sobie sprawę z tego, że stać go na więcej, na daleko więcej. Nosił już w sobie ziarna przyszłych wielkich tworców, ale aby te ziarna w nim zakiełkowały i wydały plon, musiał przejść jeszcze przez ból osobisty i zahartować się w cierpieniu, z którego przepastnych głębin miały wybuchnąć niebawem, jak z wulkanu, potężne hymny „Ginącemu światu” i — nieoceniony przewodnik po duszy poety — rzecz „O bohaterskim koniu i walącym się domu”.

Nie dotykam jednak spraw osobistych poety. Przyjdzie może czas na to kiedyś, ale nie dzisiaj

jeszcze, mimo, że znaleźli się już niedyskretni ludzie, zbyt skwapliwi do zabierania w tych sprawach głosu, chociaż daleko dalej, niż ja, stali od wydarzeń, które wywołały wewnętrzną tragedję Kasprowicza. Obecnie mówię o Kasprowiczu takim, jakim poznałem go we Lwowie w latach 1895—1899. Był on bliski całej naszej kolonji. Żył w naszym kółku, przyjaźnił się z Dmowskim, Popławskim, Domagalskim, Koskowskim, Ernstem i in. Bywał wśród nas często, grywał z nami w *domino* w kawiarni Schmidta na Akademickiej i wypowiadał się wobec nas głośniejsz i szczerzej niż wobec innych.

Normalnie nie był wielomówny, ale przychodziły takie momenty, kiedy duch jego emanował się za pośrednictwem słów w sposób oryginalny i zastanawiający. Były to jakby erupcje wymowy. Zdarzały się one czasem przy kieliszku, ale zdarzały się także i bez kieliszka. Słuchaliśmy wówczas tego, co mówił, z zapartym oddechem. A mówił tak dobrze o poezji i o zadaniach sztuki, jak o zasadniczych zagadnieniach polityki polskiej. Szczególnie bliską jego sercu dziedziną była zawsze sprawa wielkopolska i wogóle sprawa naporu germańskiego na ziemię polskie. Zrywał się w nim wówczas bunt i łatwo było poznać, że w takich chwilach cała jego istota stała w płomieniach. Nienawidził Niemców — nietylko za swoje własne dzieciństwo, nietylko za tę udrękę, której mu nie szczędzili w szkole, zmuszając do wędrowania

z gimnazjum do gimnazjum, ale przede wszystkim za to, że w sposób nieludzki świadomie dążyli do wydarcia ludowi polskiemu jego ziemi, języka i wiary, że go traktowali, jak nawóz pod przyszłe triumfy rasy niemieckiej, że zabijali w tym ludzie jego rodzimą tradycję, a działając konsekwentnie przez szkołę elementarną, narzucili mu szacunek dla wszystkiego, co niemieckie, a więc przez to samo niby wyższe, bardziej europejskie.

Dając temu ludowi istotnie wysoką kulturę materialną w mieście, w miasteczku i na wsi, odbierali mu jednocześnie wszystko, co było jego moralnem dobrem, co wiązało go z Ojczyzną, co o tej ojczyźnie kazało myśleć.

— Giniemy — wołał Kasprowicz. — Giniemy już nie z roku na rok, nie z miesiąca na miesiąc, ale z dnia na dzień, z godziny na godzinę. I jeżeli taki stan rzeczy potrwa jeszcze lat dziesięć, piętnaście, to zginiemy nieodwołalnie. Będziemy pożarci w „miodzie kultury niemieckiej” i strawieni doszczętnie.

Zapamiętałem te słowa i jeżeli cytuję je dzisiaj, to z pewnością z niewielką tylko zmianą. Nikt inny nie miał może takiego prawa, jak Kasprowicz, do rzucania tych Hiobowych prorocत्व, bo nikt inny nie znał tak jak on, nawyło, niemieckich metod postępowania, niemieckich chwytów w walce z Polską i Polakami, niemieckiej siły

i niemieckiej przemocy, wobec której miękka „łozą słowiańska“ gięła się i ustępowała.

Kto, jak on, wyszedł z ubogiej chaty włościańskiej i oczami dziecka patrzył już na nędzę i upośledzenie ludu polskiego, ten wiedział dobrze, jaka jest i jaka może być w tym ludzie siła oporu, a jeżeli o tej sile zwątpił, to musiał mieć aż nadto słuszne do tego podstawy. A że wogóle „nawiatr“ nie mówił, że nawet to, co improwizował w chwilach podniecenia, wiązało się zawsze z głębokimi przemyśleniami jego mózgu, który pracował samodzielnie i wytrwale, dobierając się zawsze do istoty każdej rzeczy, przeto trudno było wątpić, że tak właśnie wyglądała w Wielkopolsce i na Śląsku „istota rzeczy“ w owej dobie.

O swoim pochodzeniu „z ludu“ Kasprowicz mówił zawsze z dumą. Z wielką czcią wspominał swoją matkę, z tęsknotą wymieniał swój rodzinny Szymborz i marzył o tem, żeby tam jeszcze pojechać, i nasycić się przypomnieniem lat dziecięcych. Uskutecznił to, ale już znacznie później.

Dla szlachty wielkopolskiej nie miał uznania. Zarzucał jej fomy wielkopańskie i nieumiejętność postępowania z włościaninem-sąsiadem, który był dla dworu „bratem“ tylko w dniu wyborów, o ile, naturalnie, oddawał swój głos na kandydującego do sejmu pruskiego lub do sejmu Rzeszy pana. Oczywiście, były wyjątki. Do tych wyjątków należał Józef Kościelski z Miłosławia, którego poeta

darzył szacunkiem i przyjaźnią, wdzięcznie wspominając chwilę, kiedy Kościelski dopomógł mu materialnie do ukończenia studjów i zaopiekował się nim po wyjściu z więzienia.

Stosunek ten był obustronnie bliski, o czym przekonałem się po latach (1907) w Poroninie, dokąd przyjechałem na wakacje wraz z żoną i dziećmi na zaproszenie Kasprowicza. Mieszkaliśmy prawie naprzeciwko siebie i widywaliśmy się codziennie. W tym czasie bawił także w Zakopanem Kościelski. Otóż przyjeżdżał on bardzo często do Poronina w odwiedziny do Kasprowicza, którego wysoko cenił. Tam go poznałem.

Kościelski, sam także poeta, lubił towarzystwo literackie. Zapraszał więc nas, to znaczy Kasprowicza, Leopolda Staffa i mnie, którzy trzymaliśmy się razem, do Zakopanego. Mieszkał w hotelu Dzikiewicza „Morskie Oko”, i tam urządzał dla nas „sympozjony”, gdzie przy dobrych trunkach gawędziliśmy do późnej nocy.

Na jeden z takich „sympozjonów” przyjechał na rowerze z Monachjum młodzieńcy wówczas student, Władysław Kościelski, syn Józefa. Ojciec nie był zadowolony z tego, że chłopiec tak sobie zdrowie nadszarpuje, ale, skoro już przyjechał, dopuścił go do naszego towarzystwa. Władzio okazał się na wysokości zadania, jako towarzysz. Prześlicznie deklamował „Pogrzeb kapitana M.” Słowackiego i wogóle wykazał doskonałą na swój wiek znajomość poezji. Nie wiedzieliśmy jeszcze

wówczas, że już w nim dojrzewa poeta. Zadzierzgnęło to jednak między nami węzły sympatii.

Józef Kościelski był człowiekiem dużej kultury i szerokich zainteresowań umysłowych. Rozmowy z nim były przyjemne i pożyteczne, znał bowiem doskonale stosunki zaboru pruskiego i orjentował się po doznanych zawodzie lepiej od innych w polityce Berlina. A że i Kasprowicza zawsze interesowało w wysokim stopniu wszystko, co dotyczyło Wielkopolski, więc rozmawialiśmy najczęściej o tej dzielnicy. Kościelski także już nie miał wówczas żadnych złudzeń, polityk więc i poeta zgadzali się najzupełniej w poglądach na zbliżającą się godzinę. Różnica między nimi była tylko ta, że Kościelski podobnie jak Popławski, przywiązywał dużą wagę do rozwijającego się pomyślnie i rosnącego w siły drobnomieszczaństwa wielkopolskiego, Kasprowicz zaś miał ciśniejszy punkt widzenia. Znał wieś, znał chłopa, ale uszło już jego uwagi to, co zaszło i zachodziło w dalszym ciągu w miastach i miasteczkach pod wydłużającą się w lata jego nieobecność w Poznaniu. A pojechać tam nie mógł, groziło mu bowiem więzienie, przed którym schronił się do Galicji.

Z Galicją zżył się już zupełnie. Lwów bardzo lubił. Był w jego murach znany i szanowany, a chociaż materialnie było mu ciężko, to jakoś przecież egzystował „z pióra”, marząc już wówczas pocichu o tem, aby zdać doktorat i ubiegać

się o katedrę literatury porównawczej. Miał do tego wszystkie dane. Był poetą, znał dobrze obce języki: niemiecki, francuski, angielski i włoski i — nade wszystko — umiał pracować. Bo nie jest prawdą, że nie miał zamiłowania do pracy, o co go nieraz pomawiano. Przeciwnie, potrafił zamykać się na całe tygodnie i po kilkanaście godzin dziennie spędzać przy biurku, zwłaszcza wówczas, gdy zamieszkał na stałe w Poroninie i przygotowywał się do doktoratu.

O tym „doktoracie” opowiadał mi kiedyś — potem — rzecz charakterystyczną.

— Byłem przygotowany dobrze — mówił — i nie żałuję tego, bo chociaż Twardowski (profesor) zapewniał mnie, że to będzie tylko „formalność”, to jednak „te profesory” potraktowały mnie jak żaka i piłowały jak żaka, chcąc widocznie za imponować mi swoją wiedzą. Ale nie dałem im się...

Nie wiem, którzy to profesorowie egzaminowali Kasprowicza, przyszłego swojego kolegę, ale że go nie „po koleżeńsku” potraktowali — to fakt.

Oczywiście, nie dotyczy to w najmniejszej mierze prof. Twardowskiego, który był mu przyjacielem i przez lat kilka namawiał go gorliwie do poddania się tym rygorozom, co też szczęśliwie dokonało się ku chlubie Uniwersytetu Jana Kazimierza, zaliczającego dzisiaj Kasprowicza do największych swoich „doktorów” i profesorów.

Ale wtedy nie był on jeszcze tak wielki, jakim stał się później. Był „literatem“, a więc w pojęciu ciała profesorskiego lekkoduchem, cyganem i „próżniakiem“, wobec którego należało zamarować powagę dyscyplin naukowych. A przecież ten „próżniak“, poza wielką poezją oryginalną, miał już za sobą przekłady tragików greckich, Szekspira i poetów angielskich, to znaczy dorobek, którego opracowanie da jeszcze w przyszłości jednemu młodemu adeptowi nauki stopień doktorski i ułatwi mu habilitację. Ale trudno — tak już w życiu bywa, że profesorowie zaczynają rozumieć i oceniać poetów dopiero po ich śmierci.

Kasprowicz, który był człowiekiem głębokiego serca, umiejącym wszystko i wszystkim zawsze wybacząć, a nawet przebaczać, nie miał zresztą żadnego żalu do swoich egzaminatorów. Opowiadał to raczej „na wesoło“, bez cienia goryczy.

Nadto jego niezwykła skromność nie pozwoliłaby mu nigdy mniemać o sobie, że jest on więcej wart od kogoś innego. Dlatego nigdy nie słyszałem z jego ust ujemnego zdania, o czyichkolwiek utworach, co w świecie literackim jest, podobnie jak w świecie plastyków, zjawiskiem bardzo rzadkiem.

Skromność jego szła nawet tak daleko, że unikał starannie czytowania recenzji o swoich własnych poezjach, jeżeli bowiem były te recenzje pochlebne, to uważał je za przesadne w pochwałach. To, co o nim pisano lub mówiono, obchodziło go

bardzo mało. Szedł swoją drogą, nie potrzebując ani zachęty krytyki, ani wskazywania sobie przez nią dróg. Wiedział, że musi się wypowiedzieć, i wypowiadał się po swojemu, zrzucając z siebie każdy nowy utwór — jak ciężar, który mu dolegał, bo go musiał przez dłuższy lub krótszy czas dźwigać w sobie.

Sam jednak często nie zdawał sobie sprawy z wartości tego, co napisał.

Kiedy np. w Zakopanem, w małym pokoiku na Kościeliskiej, gdzie mieszkał u żyda, utrzymującego tam winiarnię, ukończył swoją „Pieśń wieczorną” i przeczytał ją Staffowi, ten, wysłuchawszy poematu, wykrzyknął:

— Ależ, Janku, napisałeś arcydzieło.

Kasprowicz stropił się. Nie chciał temu wierzyć. A jednak to było arcydzieło naprawdę.

Takich arcydzieł miał w swoim dorobku więcej, ale nigdy nie był przekonany, że to są arcydzieła. Zawsze opadały i trapiły go wątpliwości.

Takim był wówczas, kiedy go poznałem i takim pozostał do końca życia. Dalsze jednak na ten temat uwagi rozsadziłyby ramy moich lwowskich wspomnień, poza które i tak już wykroczyłem. Odkładam je więc na kiedy indziej.

LEKCJE JĘZYKA ROSYJSKIEGO

Pewnego dnia, kiedy rozchodziliśmy się po seminarjum prof. Balzera, profesor zatrzymał mnie i zapytał:

— Czy nie chciałby pan udzielać lekcji języka rosyjskiego?

— Owszem.

— Jest tu młody docent historii prawa polskiego, dr. Alojzy Winiarz, któremu brak znajomości języka rosyjskiego przeszkadza w wyzyskaniu źródeł rosyjskich, chciałby więc ten brak usunąć. Jeśli mu pan może pomóc do tego, to bardzo dobrze. Proszę pójść do niego (tu wskazał mi adres) i powołać się na mnie.

Przystąpiłem. Nazajutrz poszedłem do Dra Winiarza, który mieszkał przy ul. Ossolińskich, prawie naprzeciw Zakładu Narodowego, umówiłem się z nim o cenę i rozpoczęliśmy niebawem prawidłowe lekcje.

Dr. Winiarz był młodym, przystojnym i miłym człowiekiem, a nadto bardzo pilnym uczniem. Szybko robił postępy. Ponieważ znał już alfabet rosyjski, i nie był mu zupełnie obcy język małoruski, przeto mogliśmy odrazu rozpocząć od czytania „Ruskiej prawdy“, a potem przejść do prac

mojego warszawskiego profesora, Leontowicza, które szczególnie interesowały Winiarza.

Lekcje te były nie tylko przyjemne. Były także pożyteczne dla mnie. Byłem wówczas na czwartym roku prawa, miałem więc już tyle podstawowej wiedzy prawniczej, że mogłem z moim uczniem, świeżo habilitowanym docentem, prowadzić bez skompromitowania rozmowy naukowej, z czego, oczywiście, korzystałem, bo Winiarz umiał i wiedział w porównaniu ze mną bardzo dużo. Ale ta „naukowość” naszych rozmów nie długo trwała.

Zdarzyło się, iż kiedyś, pod koniec naszej lekcji — wiosna była wtedy na dworze — odwiedził Winiarza wracający z Ossolineum po godzinach swojej pracy bibliotecznej — prof. dr. Wilhelm Bruchnalski. Był to człowiek jeszcze dość młody, ale już siwy. Ta siwizna dodawała mu powagi, lecz pozornie tylko, o czym niebawem miałem się przekonać.

Przerwaliśmy lekcję, poczem niezwłocznie zacząłem żegnać gospodarza i jego gościa. Ale dr. Winiarz nie chciał mnie puścić.

— Niech pan zostanie — zapraszał — pogawędzimy trochę wspólnie. I tak już wieczór zapada. Zrobimy sobie „szarą godzinę”.

I zrobiliśmy sobie „szarą godzinę”, podczas której prof. Bruchnalski opowiedział nam kilka anegdot, zaczerpniętych z życia unickich popów i popadjanek w Galicji Wschodniej. Co to były

za anegdoty! Boże! Nie pamiętam już dzisiaj ich treści, a gdybym nawet pamiętał, lękałbym się ją przytaczać w obawie przed zniekształceniem — wiem tylko, że nigdy w życiu tak się nie śmiałem, jak wówczas, aż do rzeczywistego bólu w bokach.

Prof. Bruchnalski umiał opowiadać. Był wprost niezwykłym interpretatorem sposobu myślenia i przygód tej zupełnie mi nieznanej sfery. Przekonałem się jednak, że „zawód popi” wytwarza widocznie wszędzie, gdzie są popi, typy pokrewne, miałem bowiem, słuchając tych opowiadań, niejednokrotnie przed oczami naszego „prawosławnego” popa z Pawłowicz na Wołyniu, jego żonę i córkę...

Rzecz znamienna i cechująca urodzonego humorystę „najwyższego gatunku”, że kiedy my obaj z Winiarzem dosłownie „pękaliśmy ze śmiechu”, opowiadający zachowywał zupełny spokój, ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy, w oczach tylko grały mu iskierki hamowanej wesołości. Po skończeniu dopiero przezabawnej historii prof. Bruchnalski śmiał się także sam.

Podczas lekcji z Winiarzem miałem jeszcze kilkakrotnie zaszczyt i przyjemność spotkania tam znakomitego później historyka literatury, niezrównanego znawcy poezji panegirycznej XVII wieku, i za każdym razem śmiałem się do rozpuku, profesor bowiem był niewyczerpaną skarbnicą opowiadań o Rusinach. Znał ich nawylot i ujmował karykaturalnie, bez woli jednak znęcania się nad

nimi, lecz jedynie przez wrodzoną, jeżeli można tak powiedzieć, karykaturalność ich myśli, słowa i gestu. Ani cienia złej woli nie było w tem, co mówił. Był tylko prawdziwy, uczciwy, samorodny humor „regionalny“, którego już w tej wyjątkowej postaci nigdy potem nie spotkałem. Dlatego zostało mi to w pamięci.

To „bawienie się“ kosztem Rusinów miało jednak złe następstwa dla dra Winiarza. Już po moim wyjeździe został on notariuszem uniwersytetu. Było to w latach, kiedy Rusini-studenci zaczęli występować coraz natarczywiej i kiedy ich agresywność nie mogła już liczyć na tolerancję ani studentów-Polaków, ani rektora i senatu akademickiego. Zaczęło też dochodzić coraz częściej do starć na uniwersytecie pomiędzy młodzieżą rusińską a polską. Podczas jednego z takich najść Rusinów, uzbrojonych w pałki, dr. Winiarz z obowiązku zaczął ich mitygować. W odpowiedzi na swoje zupełnie uzasadnione wystąpienie otrzymał szereg ciosów pałkami w głowę, tak, że nastąpiło uszkodzenie kości ciemieniowej. Drzazga tej kości utkwiała w mózgu, co spowodowało długotrwałą chorobę, zakończoną przedwczesną śmiercią ofiary barbarzyństwa rozpętanego nacjonalizmu „ukraińskiego“.

Winni tej zbrodni podobno odpokutowali za to. Żadna kara jednak nie mogła już wypełnić tej przepaści, jaka od tej chwili wytworzyła się na uniwersytecie lwowskim pomiędzy Polakami a Ru-

sinami, których rozdzielił cień Winiarza z okrwawioną głową i rozbitą czaszką. Błąka się on widocznie jeszcze do dzisiaj po korytarzach uniwersytetu lwowskiego, nie zanosi się bowiem na to, żeby polsko-ruska sprawa znalazła tam rychłe i zadowalające obie strony rozwiązanie. Bywają wprawdzie chwilowe zawieszenia broni, ale właściwie, rozpoczęta wówczas wojna trwa, przeniesiona z terenu austriackich na teren polskich stosunków państwowych.

M Ł O D A L I T E R A T U R A

Rok 1898 był w mojem życiu rokiem przełomowym, nie tylko dlatego, że zacząłem wówczas drukować swoje poezje w krakowskim „Życiu”, wychodzącym pod redakcją Sewera - Maciejowskiego i Antoniego Potockiego, lecz przede wszystkim dlatego, że zacząłem wchodzić w stosunki literackie.

Pierwszem takim „wejściem w stosunki” była moja korespondencja z Sewerem. Poślałem mu wiersz, który niezwłocznie był wydrukowany. Poślałem drugi. Także niedługo czekałem na druk. Po wydrukowaniu tego drugiego wiersza otrzymałem od Sewera list z prośbą o stałe współpracownictwo. Jednocześnie redaktor „Życia” pisał mi mniej więcej tak: „Jeżeli pan znajdzie w kole swoich znajomych jakiego bogatego a niegłupiego człowieka, co zdarza się, niestety, rzadko, to niech go pan przekona o potrzebie podtrzymania „Życia”. Inaczej, mimo wszelkich z mojej strony wysiłków, grozi nam upadek.”

Zaimponowało mi, że redaktor i wydawca pisma w trosce o jego byt zwraca się do mnie. Cóż jednak mogłem zrobić? Nie miałem w kole swoich znajomych ludzi bogatych. Napisałem to Sewerowi, poczem otrzymałem od niego nowy list,

w którym zobrazował mi istotnie rozpaczliwy stan materialny wydawnictwa. Nie zdawałem sobie wówczas jeszcze sprawy z tego, jak łatwo jest pismo założyć, jak trudno zaś zdobyć dla niego odpowiedni zastęp prenumeratorów, którzyby je chcieli podtrzymać. Tak było właśnie z „Życiem”. Założone przez Ludwika Szczepańskiego, przejęte już z deficytem przez Sewera, istniało ono i miało dość licznych czytelników, czytywała je bowiem chętnie młodzież akademicka w Krakowie i we Lwowie. Czytywała jednak po czytelniach, nikomu zaś przez głowę nie przeszło, żeby „Życie” zaprenumerować.

Jeżeli my, w Warszawie, prenumerowaliśmy jako studenci, grupami po kilku „Głos”, „Prawdę” i „Przegląd Tygodniowy”, to dlatego, że nie mieliśmy lokalu publicznego, w którym te pisma możnaby było czytywać. Życia korporacyjnego w Warszawie między akademikami nie było. Tymczasem w Krakowie i we Lwowie każdy miał do dyspozycji „Czytelnię akademicką”, gdzie jeden numer dziennika lub tygodnika (i to najczęściej *gratisowy*) przechodził przez kilkaset rąk. A w domach rodzinnych? I tam obchodzono się bez tygodników, bo czytelnię zastępowała kawiarnia, gdzie można było mieć wszystkie pisma za cenę filiżanki czarnej kawy.

W takich warunkach „Życie”, chociaż czytane dość pilnie, musiało chromać pod względem materialnym. Liczyć na poparcie t. zw. szerokie-

go ogółu nie mogło. Musiało tedy oglądać się za jakimś „bogatym a niegłupim” — jak to Sewer określił — mecenasem, a takich nie spotyka się codzień.

Naturalnie, i ja nikogo takiego nie spotkałem, i najzupełniej zawiodłem nadzieje przezacnego Sewera, który za wszelką cenę pragnął utrzymać pismo nie dla żadnych swoich ambicji, bo ich nie miał, lecz tylko dlatego, aby „młodzi” mieli się gdzie wypowiadać.

W kilku listach, które od niego jeszcze otrzymałem, wykladał mi wyraźnie: „Życie” jest dla was, tylko dla was, i w waszym interesie leży, aby ono istniało. Jednajcie mu więc abonentów, zabiegając o zasiłki dla niego, i tu w Galicji i w Królestwie. Wspominał nawet o Polakach w Rosji, którzy są żywiołem zamożnym, i do których możnaby apelować. Było to słuszne, ale kto miał to wykonać? Nie poczuwałem się do możliwości podjęcia takiej akcji i zakomunikowałem mu to. Na tem urwała się nasza korespondencja. Pozostała mi jednak po niej świadomość, że jednak i ja należę już do tych „młodych”, skoro pisarz tej miary, co Sewer, zaliczył mnie do ich grona.

Wielkich do tego tytułów nie miałem, bo cóż znaczyło kilka wydrukowanych wierszy, ale widocznie odegrały one rolę złożonego literaturze pięknej „biletu wizytowego”, który przyjęto.

Od tej chwili zacząłem więc szukać stosunków z „młodymi” na gruncie lwowskim.

Zdarzyło się, że już przedtem otrzymałem był nagrodę na konkursie „Czasopisma Akademickiego”, a właściwie dwie nagrody, po 25 złr. każda, za wiersz i za nowelę. Otóż nagrody te wręczył mi osobiście młodzieńki wówczas student filozofji Leopold Staff. Była to pierwsza moja z nim znajomość, która później w bliską i zażyłą przetrwała się przyjaźń.

W tym samym mniej więcej czasie poznałem dwóch młodych Brzozowskich, Wincentego i Stanisława, synów Karola, urodzonych w Syrii, z matki Lewantynki.

Ze Stanisławem Brzozowskim zbliżyłem się dość szybko i niebawem zaczęliśmy się wzajemnie odwiedzać.

Kiedy pierwszy raz byłem u niego i poznałem jego ojca, starego poetę Karola, z długą, siwą brodą patriarchy, ujął on mnie odrazu swoim łatwem obejściem. Po dziesięciu minutach rozmowy już się było z nim w zupełnem porozumieniu.

Mieszkanie Brzozowskich, skromne i małe, urządzone było na sposób wschodni. W pokoju do przyjęć, czyli t. zw. salonie, jedynym meblem była wielka, przykryta ładnym dywanem otomana, na której można było siedzieć, jeśli kto chciał, po turecku albo i rozciągnąć się wygodnie. Nad tą otomaną na ścianie, znów jako jedyna ozdoba, wisiał dużych rozmiarów poźółkły już zupełnie wieniec laurowy. Poeta wyjaśnił mi pochodzenie tego wieńca.

— Otrzymałem to — mówił — na pożegnanie od rodaków w Syrii i przywiozłem, jako pamiątkę, do Lwowa. Ale cóż? Służąca moja, gdy stwierdziła, że to są „liście bobkowe“, codzień jeden lub dwa listki obrywa — to do zupy, to do pieczenia. Powoli więc cały ten symbol uznania będzie najutyliźtarniej w świecie zużyty w kuchni. *Sic transit gloria poetarum.*

Karol Brzozowski był już wówczas starcem, dobrze w lata posuniętym. Trzymał się jednak jeszcze, pomimo pewnego zdziecinnienia, dobrze, a gdy się rozgawędził, słuchało się go z zajęciem. Miał o czym opowiadać. Od rodzinnego Mazowsza do Turcji biegł jego szlak tułaczy.

Obaj synowie patrzyli na niego z nabożeństwem, jak na skarbnicę wiedzy nie tylko o poezji, lecz i o świecie całym.

„Gdzie nie był? Czego nie widział?“ Mówił o nim zawsze Wincenty, który sam miał naturę włóczęgowską i ledwie mógł na miejscu usiedzieć, tak go w świat nieznany niosło, aż wreszcie potem poniosło już bezpowrotnie.

Istotnie Karol Brzozowski widział wiele, pozostając przez dziesiątki lat w służbie tureckiej, jako inżynier telegrafu. Wszystkie powstałe w tym czasie w Syrii i w Anatolji linje telegraficzne były jego dziełem. Było to życie swobodne na łonie przyrody, urozmaicone myślistwem. Rzadko bywało się w mieście i w domu, daleko częściej niż w łóżku, sypiało się w namiocie lub

zgoła pod gwiazdami. Brzozowski lubił o tem opowiadać. O Wschodzie i o ludziach tamtejszych, o ich życzliwości dla siebie jak najlepsze zachował wspomnienie.

— Byłbym został tam do końca życia, gdyby nie dzieci — mawiał. — Francuziało mi to niepostrzeżenie i byłoby sfrancuziało zupełnie pod opieką matki, należało więc przywieźć je do kraju. Żona, jako tamtejsza, została przy najstarszej zamężnej córce. My zaś w sześcioro przyjechalśmy do Lwowa.

„W sześcioro” to znaczyło: on, trzech synów, bo oprócz Wincentego i Stanisława był jeszcze Hubert, uczęszczający podówczas do gimnazjum, i dwie córki, dorosła już p. Jadwiga i dorastająca Zosia.

Otóż ta szóstka żyła we Lwowie ubogo, ale jakoś żyła, dokarmiając się prawdopodobnie poezją, której w domu Brzozowskich było pełno.

Stary pan Karol nie pisywał już wierszy oryginalnych, ale jeszcze zabierał się żwawo do przekładów. Miał dużą kulturę literacką. Znał zwłaszcza dobrze lirykę francuską.

Na poezji francuskiej kształcili się też jego synowie, szli jednak w prądem czasu i lgnęli raczej do tego, co było „nowe”. Obaj pisywali wiersze z równą łatwością po polsku, jak i po francusku. Francuski bowiem język był dla nich w najściślejszem tego słowa znaczeniu językiem „macierzystym”. Znali nadto język włoski i hisz-

pański. Zwrócił na to uwagę Przybyszewski i, gdy objął redakcję „Życia” krakowskiego, zbliżył ich obu do pisma, z którym imiona ich wiązały się na zawsze. Wystarczy przypomnieć słynny wiersz „Kamelje-Ofelje”, który tyle w swoim czasie narobił hałasu, że zawędrował aż do humorystyki.

Obaj byli utalentowani, gdy jednak Wincenty miał nawet w poezji więcej upodobania do wszelkich ekstrawagancji, Stanisław był raczej naturą zrównoważoną i odrywającą się od rzeczywistości tylko na falach marzenia.

To odpowiadało mojemu usposobieniu i dlatego ze Stasiem zbliżyłem się łatwo i prędko.

Pewnego razu rzekł on do mnie:

— Trzymasz się strasznie na uboczu. A my zbieramy się co niedzielę w kółku tutejszych poetów i chcielibyśmy mieć ciebie w naszym gronie.

— Ależ i owszem. Wstąp po mnie w najbliższą niedzielę i wprowadź mnie na to zebranie.

Tak się też stało. Staś wstąpił po mnie (mieszkaliśmy niedaleko od siebie: Brzozowscy na św. Zofji, ja na rogu Mochnackiego i Supińskiego) i zaprowadził mnie do Stanisława Barącz.

Barącz należał do znanej patrycjuszowskiej rodziny ormiańskiej, zdawna osiadłej we Lwowie. Był tam *possessionatus*. Miał dom przy ul. Czarneckiego i w domu tym na pierwszym piętrze dość obszerne mieszkanie.

Był niewidomy. Stracił wzrok wskutek jakiejś choroby w dzieciństwie, oswoił się jednak ze swo-

jem kalectwem o tyle, że mógł uczyć się i pracować dość swobodnie. Chodził na uniwersytet, dokąd i skąd odprowadzał go służący, słuchał uważnie, interesował się wszystkim a w szczególności poezją. Sam był poetą. Pisywał ciekawe i pełne kolorystyki wiersze, które w historii naszej poezji będą stanowiły interesujący przedmiot badań, jako poezje niewidomego. Rzecz charakterystyczna, że Barącz, który z domu rzadko wychodził i który ludzi rozróżniał tylko po odmiennym brzmieniu ich głosu, miał jednak dość rozległe znajomości w młodym świecie literackim i umiał zgromadzić u siebie cały zastęp poetów i krytyków ówczesnego Lwowa.

Niedzielne przyjęcia jego były po studencku skromne. W pokoju duży stół okrągły, na tym stole litrowa butelka wódki, kilka bochenków świeżego, pachnącego jeszcze piekarnią chleba i na talerzu osełka masła. Nic więcej. Do tej południowej przekąski łatwo jednak ludzie się przyzwyczaili, i kto raz zajrzał do Baracza, tego nie trzeba było już prosić o powtórzenie tej wizyty.

Kiedyśmy owej pamiętnej dla mnie niedzieli weszli tam ze Stasiem Brzozowskim, w pokoju było już gwarno i wesoło.

Zastałem tam Leopolda Staffa, Józefa Ruffera, Wincentego Brzozowskiego, Stanisława Womełę, Karola Irzykowskiego, Tadeusza Sobolewskiego,

Stanisława Zdziarskiego i może jeszcze kilku innych, których nazwisk już nie pamiętam.

Barącz gościnnie częstował nas wódką. Taki był zwyczaj, że od tego zaczynały się zebrania niedzielne. Poza tem miały one jednak podkład poważniejszy. Każdy przynosił z sobą jakiś drobny rękopis, każdy odczytywał go głośno, poczem wywiązywała się dyskusja. Chwalono lub ganiono, szukano dziur na całym lub przyjmowano z entuzjazmem. Pragnienie piękna i tęsknota do sztuki wypełniały ten pokój.

Poeci siedzieli najczęściej cicho. Za to „krytycy” prześcigali się w elokwencji. A było ich kilku. Przedewszystkiem kończący wówczas prawo Tadeusz Sobolewski, smukły blondyn o włosach barwy popiołu, „odkrywca” powinowactw, zachodzących pomiędzy niektórymi sonetami Kazimierza Przerwy-Tetmajera a „Trofeami” José Maria Heredii, młodszy nieco od niego Karol Irzykowski, intelektualista niezwyklej miary i niezmordowany poszukiwacz „wewnętrznej prawdy”, która wkońcu zawsze okazywała się „nieprawdą”, jego serdeczny przyjaciel, Stanisław Womela, o bardzo bystrym umyśle i dużych zdolnościach pisarskich, które zmełło w swoich żarnach dziennikarstwo, i zakochany ponad miarę w Maurycym Gosławskim, podolanin, Stanisław Zdziarski. Oni to głównie ścierali się pomiędzy sobą, a jeżeli który z „poetów” dorzucał swój głos do tej dyskusji, to był to zawsze głos Wincentego Brzozowskiego,

który jeden jedyny miał temperament polemiczny i śmiałość wypowiedzania się. W przeciwieństwie do niego zupełna nieśmiałość przy jednoczesnej słodczy obęjścia cechowała Staffa i Ruffera. Odrazu też w tem gronie przyłgnałem do nich najbliżej, zawierając jakby z nimi „pakt milczenia”. Wielomówny nie był także i Staś Brzozowski.

On to właśnie czytał tego dnia swój bardzo piękny przekład sonetu Girolamo Savonaroli p. t. „Do dziewicy”. Przekład ten wywołał ogólny zachwyt. Zanotowany ołówkiem, naprędce, na kartce, wydartej z kajetu szkolnego, odtwarzał on jednak tak znakomicie nastrój i charakter utworu, że olśnił nas wszystkich.

Nie szczędzono Brzozowskiemu owacyj z tego powodu. A gdy owacje te ucichły, wywiązała się rozmowa na temat żalośnię małej u nas i nawet wśród nas znajomości poetów włoskich i hiszpańskich. Cały świat dawnej i współczesnej poezji w tych językach był poza nami. Nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje, co warte jest poznania. Nawet nazwiska włoskich i hiszpańskich poetów rzadko przyływały wtedy do Polski na fali rozgłosu. A i tłumaczyć nie miał kto. Wprawdzie uniwersytet lwowski posiadał wtedy wyjątkowo świetnie obsadzoną katedrę romanistyki, ale „romanistyka” chleba nie dawała w Galicji, więc prof. Edward Porębowicz miał bardzo nielicznych słuchaczy i czego sam nie przełożył, tego nikt inny za niego nie uczynił. Potrzeba tu było stypendjów na

wyjazdy do Włoch i Hiszpanji, funduszków na nagrody za prace seminaryjne, wogóle jakiejs moralnej i materialnej zachęty do takiej pracy, a tego wszystkiego nie było. Narzekano więc na „partykularz galicyjski”, na obojętność społeczeństwa, którego kultura literacka nic nie obchodzi i wogóle wypowiadano się tak, jak to jeszcze dzisiaj wypowiadamy się na ten sam temat w Polsce niedługiej, mimo że jest już bez porównania lepiej.

Wówczas jednak było naprawdę źle. Młodzież lwowska skazana była wyłącznie na czerpanie informacji ze źródeł niemieckich, więc z encyklopedji, z historii literatur, z antologii, opracowywanych przez Niemców. Bezpośrednich wiadomości o literaturach romańskich nie miała skąd czerpać.

Zato tonęła po uszy w germanistyce. Taki np. Irzykowski, niesłuchanie zdolny i również niesłuchanie pracowity, studjował z zapałem germanistykę i był tak pogrążony w Hebbłu, że nikogo poza nim nie widział. Wspecjalizował się też na doskonałego „hebblistę”, z czego jednak literatura polska większego pożytku mieć nie mogła. „Germanistą” był także Womela. A ci, którzy nie studjowali specjalnie literatury niemieckiej, znali jednak język niemiecki w dostatecznym stopniu, aby mogli się samodzielnie w tej literaturze rozczytywać. Natomiast rzadko który mógł czytać swobodnie po francusku. Zupełnie naodwrot niż było u nas, w Warszawie, gdzie znajomość języka

francuskiego tradycyjnie przechodziła z pokolenia na pokolenie i gdzie książkę francuską można było znaleźć niemal w każdym inteligentnym domu polskim.

Jeżeli też Brzozowscy górowali w tym zgromadzeniu młodych swoją kulturą literacką i nowością poglądów estetycznych, to zawdzięczali to niewątpliwie znajomości języków romańskich i tym drożdżom francuskim, które tkwiły w nich od dzieciństwa. W umysłowości ich było coś subtelного, co uderzało odrazu. A przytem myśli swoje wypowiadali treściwie i jasno, w sposób zrozumiały nawet wówczas, gdy były to „dziwolagi modernistyczne“, lwowianom jeszcze nieznanе.

W tej wymianie zdań, w tych dyskusjach, gdzie spotykały się z sobą odmienne sposoby myślenia i na innych podwalinach budowane światopoglądy i kultury, był niemały dla wszystkich pożytek.

Obcując więc z sobą, nauczyliśmy się wzajemnie od siebie, rozszerzali zakresy swojej wiedzy o sztuce i pogłębiali znajomość nowych prądów.

To sprawiło, że bywałem odtąd aż do mego wyjazdu ze Lwowa częstym gościem na zebraniach u Barączy, i jak najlepsze i jak najmiłsze zachowałem o nich do tej chwili wspomnienia.

Z pośród zbierającej się tam młodzieży prawie wszyscy dochowali wierności w ten lub inny sposób literaturze. Sprzeniewierzył się jej tylko

jeden Tadeusz Sobolewski, który po ukończeniu prawa poświęcił się sądownictwu i, przechodząc przez rozmaite jego szczeble, doszedł wkońcu już w ojczyźnie niepodległej do wysokiego stanowiska rzecznika praw polskich w Trybunale Międzynarodowym w Haadze.

Inni rozmaitemi drogami zmierzali do określonego sobie celu.

Stanisław Womela i Karol Irzykowski wprzęgli się przedwcześnie w jarzmo dziennikarskie, współpracując w „Przeglądzie” braci Masłowskich i oddając za bezcen na usługi tego pisma, a zczasem i innych dzienników swoje duże talenty i dużą wiedzę.

Byli to urodzeni polemisci, tak w polemizowaniu zamiłowani, że ścierali się z sobą pod różnymi nazwiskami na łamach „Przeglądu”, albo nawet szli jeszcze dalej w tej zabawie. Womela np. zamieszczał artykuł w „Przeglądzie” i Womela pod pseudo- lub kryptonimem odpowiadał na ten artykuł w „Dzienniku Polskim”, rozprawiając się ostro, jak można najostrzej, z samym sobą. Kto wiedział o tem, ten się bardzo dobrze takimi utarczkami bawił. Dla ogółu jednak było to pewnie obojętne, jak wszystko, co dotyczyło sztuki, a polemiki te toczyły się zwykle na gruncie artystycznym. Chodziło o poezję, o malarstwo i rzeźbę, a nie o politykę, której język był w ówczesnym Lwowie jedynym, zrozumiałym dla wszystkich językiem.

Womela nie był jednak wyłącznie publicystą. Pisywał także wiersze, bardzo zresztą oryginalne, ale ze względu na swoją treść nie nadające się do druku. Były to jakby zmodernizowane i stryjwalizowane utwory Kajetana Węgierskiego, bezczelnie śmiałe i ujmujące pewne zagadnienia życiowe bez żadnej żenady. I jemu, jak Irzykowskiemu, szło o wydobywanie najaw utajonej w duszy ludzkiej „prawdy wewnętrznej”, ale zapominał, że właśnie ta prawda, obnażona ze wszystkich obłon, nie nadaje się, jako tworzywo, do poezji, która zawsze opierała się i będzie się opierała na fikcji t. j. na tem, co wznosi ją ponad życie.

W każdym razie, kiedy dzisiaj przypominam sobie poezję Womeli, mogę stwierdzić, że był on niejako prekursorem daleko późniejszych, już powojennych kierunków.

Womela miał tych poezyj cały zeszyt. Co się z tym zeszytem stało, nie wiem. Jeśli dostał się po jego śmierci do czyichś rąk, to powinien trafić raczej do jakiejś biblioteki, jako ciekawy dokument do historii poezji *fin de siècle'u*.

W późniejszych latach zaniechał on już tych prób modernistycznych i poświęcił się dziennikarstwu.

Spotkałem się z nim dopiero w roku 1907 we Florencji. Siedziałem w kawiarni Paszkowskiego, przeglądając dzienniki, gdy nagle stanął przede mną Womela taki sam, jakim go pamiętałem z kijem bilardowym w ręce uwijającego się dokoła

bilardu w kawiarni Schmidta we Lwowie. Przywitał mnie swoim mefistofelesowskim uśmiechem, ale na twarzy jego znać było rozradowanie. I ja ucieszyłem się bardzo.

Womela po ciężkiej chorobie wracał z Capri, gdzie był na rekonwalescencji. Zdrowie mu się poprawiło tak dalece, że mógł ze mną robić dalsze wycieczki. Między innemi poszliśmy pieszo do Fiesole i pieszo stamtąd wrócili, co wobec kursującego już wówczas tramwaju elektrycznego było bohaterstwem. W drodze powrotnej późnym wieczorem odpoczywaliśmy w kościółku San Domenico, słuchając szmeru modlitw białych, na chórze ukrytych zakonników. Wywarło to na nas duże i niezapomniane wrażenie. Po księżycu już wróciliśmy do miasta. W ten sposób, włóczę się po okolicach miasta, spędziliśmy razem kilka dni, po których upływie Womela musiał wyjeżdżać. Odprowadziłem go na kolej. Opiekowała się nim w podróży jakaś Niemka, którą oczarował widocznie na Capri swoją germanistyką. Nie dziwię się jej jednak, bo Womela, chociaż nieurodziny, był rzeczywiście czarujący w rozmowie, oryginalny zawsze i przez to ciekawy, przeciwstawiający się nieraz *à rebours* poglądom innym, ale umiemy zawsze obronić swoje stanowisko.

Pożegnałem go, jak żegna się przyjaciół młodości.

Było to nasze pierwsze od czasów lwowskich i ostatnie spotkanie.

Niezbyt długo potem dowiedziałem się, że umarł, nie wyleczywszy się ostatecznie ze swoich zadawnionych cierpień.

Niestety, nic trwalszego po nim nie zostało, — chyba legenda w lwowskim świecie literackim, ale i tę wojna pewnie zniszczyła.

Dziennikarstwo w mniejszym stopniu zaciężyło na losach Karola Irzykowskiego. Dzięki swojej wyjątkowej pracowitości i wytrwałości umiał on już wówczas godzić codzienną pracę w dzienniku z twórczością literacką. Owocem tej twórczości była napisana w latach 1898—1899 „Pałuba” i jej dopełnienie „Sny Marji Dunin”.

Kiedy dzieło to było już skończone, Irzykowski urządził głośne jego czytanie w gronie przyjaciół. Zaprosił i mnie. Zdarzyło się jednak, że miałem wtedy gościa, kolegę mego i przyjaciela od najmłodszych lat, Aleksandra Jackowskiego, rozpoczynającego wówczas w Warszawie praktykę adwokacką. Poszliśmy więc razem. Był tam cały areopag, który słuchał w skupieniu. Czytanie trwało bardzo długo, wskutek czego dyskusja musiała być krótka. Zabierali w niej głos przede wszystkim Konstanty Srokowski i przyjaciel Irzykowskiego, nieodstępny jego towarzysz, Gross.

„Pałuba” była dla wszystkich niespodzianką. Nikt nie chciał Irzykowskiemu robić przykrości, ale też nikt z ręką na sercu nie mógł powiedzieć, że wiedział, o co chodzi. Dopiero komentarze samego autora wyjaśniły nam jego ideę przewodnią.

Narazie jednak późniejszy wróg zacięty „niezrozumiałości” w literaturze sam padł tego niezrozumiałości ofiarą.

Zaznaczam to nie dlatego, żeby Irzykowskiemu zrobić przytyk, lecz jedynie po to, aby zanotować, jak się „Pałuba” załamała w opinii ówczesnych „młodych” we Lwowie.

Dalsza świetna działalność pisarska, a zwłaszcza krytyczna autora „Słowa i czynu” jest zbyt znana, abym tu o niej miał mówić.

Stwierdzam więc tylko, że mam o Irzykowskim z tych czasów jak najmielsze wspomnienie.

Był on już wówczas niezrównanym mistrzem w dialektyce. W dyskusjach górował zawsze nad innymi bystrością myśli, logiką rozumowania i zaciekleścią do wysnuwania wszystkich, jak najdalej idących konsekwencji z tego, co sam mówił, oraz z tego, co mówili jego przeciwnicy. Niesłychanie umiejętnie parował także każdy zadawany sobie cios, i oczywiście, równie umiejętnie sam ciosy zadawał. Ponieważ jednak wszystko to działo się w sferze czysto intelektualnej, przeto bolesnych i niegojących się ran z tego powodu nie było. A jeżeli komuś drzazga weszła za paznokieć, to najlepszym lekarstwem na chwilowe podrażnienie była młodość, zbierające się bowiem u Barączu towarzystwo było naprawdę młode.

„Benjaminkami” w tem gronie byli Staff i Ruffer, rówieśnicy, obaj wkraczający dopiero w dwudziesty rok życia.

Staff miał wygląd napół jeszcze chłopięcy, ale już śnił swoje pierwsze „sny o potędze”. Nie drukował ich, ale gromadził i polerował pod względem formy, nosząc w duszy ukryte wielkie ambicje artystyczne. Studjował romanistykę u Porębowicza — on jeden z myślą o sztuce, a nie o chlebie powszednim. Uczył się języków i wiele czytał, zbierając miód z kwiatów wszystkich literatur.

Jak się to stało, że ten najświetniejszy po Kasprowiczu i Tetmajerze liryk przyszedł na świat w szarej kamieniczce lwowskiej przy ul. Teatralnej, gdzie rodzice jego mieli skromną cukierenkę, to pozostanie na zawsze tajemnicą Boga, który dusze ludzkie na świat posyła i wyznacza im określone misje do spełnienia.

Że Staff miał taką misję przed sobą, czuł to widocznie od lat młodzieńczych, z rzadką bowiem logiką budował i wzbogacał swoje życie wewnętrzne. Z drogi, wyznaczonej sobie, nie zbacał, nie wątpił o swoim talencie, ale miał już wtedy jego poczucie i szedł, cichy i skromny, łagodny i pełen słodyczy, do celu.

Po ukończeniu studjów we Lwowie wyjechał do Paryża, gdzie na czas jakiś utonął w morzu liryki francuskiej. Potem zwabiły go ku sobie Włochy. Wkońcu zaś, idąc za przykładem Kasprowicza, zagrzebał się na całe lata w samotni poronińskiej.

Tam spotkałem go dopiero w r. 1907, i odnowiłem z nim dawną, lwowską przyjaźń.

Ruffer, także urodzony poeta, nie miał już tak prostej linii życiowej, jak Staff. Wysokiego wzrostu, szczupły, o bardzo pięknej i wyrazistej głowie, przypominającej stare portrety francuskie, miał on duszę dziecka i wobec życia był bezbranny. Palił się w nim jednak ogień sztuki i podniecał go do wysiłku. Warunki atoli materialne nie pozwoliły mu na to, aby mógł swobodnie tworzyć. Po ukończeniu studjów objął posadę nauczyciela w jednym z gimnazjów lwowskich, ale wątłe jego zdrowie nie wytrzymało pracy pedagogicznej. Zagrożony chorobą piersiową musiał wyjechać na czas dłuższy do Abbazii, Florencji i Rzymu. Tam zetknął się z cudami plastyki włoskiej. Pod wpływem oglądanych arcydzieł obudziło się w nim marzenie o poświęceniu się rzeźbie. I zrobił wtedy najśmielszy krok w życiu — w rok po powrocie do kraju rzucił posadę nauczyciela, a tem samem skromny, lecz pewny kawałek chleba, i w r. 1907, dobiegając już trzydziestki, wstąpił do krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych. Nagrodzony rychło za akty konkursowe naprzód brązowym, potem srebrnym medalem, w roku 1910 wyjechał do Paryża na dalsze studja rzeźbiarskie — i, jak się to niejednemu wydarzyło, utkwiał w Paryżu na całe lata, zarzucając powoli rzeźbę, a pracując dla chleba w Bibliotece Polskiej w Paryżu, jako pomocnik bibliotekarza i bibliotekarz. Wrócił do

kraju dopiero w roku 1920. W przeddzień tego powrotu spotkałem go w Paryżu, w dniu 3 maja, na uroczystym obchodzie naszego święta narodowego w poselstwie polskim na Avenue Kléber u Maurycego Zamoyskiego.

Jakaż to była radość po tylu latach! Ruffer zmienił się wprawdzie zewnętrznie, nabrał już bowiem zgoła typu francuskiego artysty z *Quartier latin*, wewnątrz jednak pozostał ten sam — czysty, szlachetny, moralnie piękny. Nosił jednak w sobie tragedję niespełnionych marzeń, nie wyzyskał bowiem w pełni ani swojego dużego i niewątpliwego talentu poetyckiego, o czem świadczy jego „Poślanie do dusz”, ani swojego talentu rzeźbiarskiego. I w jednym i w drugim kierunku mógłby być z pewnością uczynić więcej, gdyby nie opłakane warunki materialne, które zmuszały go ciągle do zapomniania o sztuce, do wyężdżania natomiast wszystkich sił w kierunku zdobywania chleba dla rodziny.

Gdyby był śmielszy w stosunku do życia, samodzielniejszy w inicjatywie i mniej „jagnięco” usposobiony dla bliźnich, miałby już dzisiaj niewątpliwie okazały dorobek za sobą i głośnie imię.

Ale „rozgłos” i Ruffer, to były rzeczy tak przeciwne sobie, tak nie mogące iść w parze, tak od siebie dalekie, że chcąc pozostać wiernym sobie, poeta musiał być takim, jakim był. Innym być nie umiał, nie mógł i nadewszystko nie chciał.

A przecież tylu mniejszych od niego poetów zdobyło większą popularność w literaturze i w życiu.

Obaj bracia Brzozowscy także nie spełnili tego, co zapowiadali.

Stanisław miał koniec tragiczny. Przeszedłszy przez współredaktorstwo „Życia”, do czego powołał go Przybyszewski, po zlikwidowaniu tego tygodnika znalazł się w Warszawie, gdzie objął stanowisko sekretarza w zakładanej wówczas przez Miriama-Przesmyckiego „Chimerze”.

W 1901 roku nagle, bez żadnej uzasadnionej ku temu przyczyny zewnętrznej, odebrał sobie życie. Znalaziono go rano z przestrzeloną skronią w mieszkaniu własnem przy ul. Książęcej. Musiał przeżyć jakąś wielką tragedję wewnętrzną, z której jednak nikomu się nie zwierzył. Widywałem się z nim w ostatnich miesiącach jego życia dość często. Byłem już żonaty, i Staś odwiedzał nas niemal co niedzielę. Z rozmów z nim żadnego jednak nie wyniosłem podejrzenia, iż nosi się on z myślą o samobójstwie. Tajemnica śmierci pozostała więc jego tajemnicą. Uniósł ją z sobą do grobu. Odprowadziliśmy go na cmentarz powązkowski i zasypali jego mogiłę kwiatami. Jako jedyna pamiątka po nim pozostał wydany dopiero w r. 1910 przez J. Mortkowicza w wydawnictwie „Pod znakiem poetów” tomik poezji p. t. „Nim serce ucichło”. Kilkadziesiąt zebranych tam utworów młodzieńczych świadczy, jak wysokiej próby był talent Stanisława Brzozowskiego, i co mógłby

on był osiągnąć, gdyby nie śmierć przedwczesna, którą zadał sobie sam z niewytłumaczonych i niezrozumiałych dla wszystkich jego przyjaciół powodów, w rozkwicie młodych lat, w pełni sił i zdrowia, w 25-tym zaledwie roku swego życia, gorejącego tęsknotą do piękna.

W tem samym wydawnictwie wyszedł także jednocześnie p. t. „Dusza mówiąca” zbiór wierszy Wincentego.

Na czele tego zbioru znajduje się utwór, poświęcony pamięci Stanisława i usiłujący dać jego wewnętrzną charakterystykę. Nie wydaje mi się jednak, aby ta charakterystyka była trafna, szczególnie w określeniach: „Nikt go nie mógł ukochać” lub „wszyscy odeń stronili, nie mając ochoty być w kręgach jego myśli”.

Przynajmniej ja znałem Stanisława Brzozowskiego innym i doznawałem od niego niejednokrotnie przyjaznych uczuć, pełnych subtelного zrozumienia i rzadkiej słodyczy.

W moich wspomnieniach tą właśnie słodyczą różni się on od Wincentego, który miał naturę egoistyczną i zaborczą.

Co się stało z Wincentym, czy żyje jeszcze — nie wiem. Po wyjeździe moim ze Lwowa już go więcej nie widziałem. Doszły mnie tylko słuchy, że był przez lata całe w Paryżu, że pracował tam w jakiejś fabryce broni, jako robotnik, że walczył ciągle z niedostatkiem. Wybuch jednak wojny w r. 1914 i te wiadomości przerwał. Nie udało mi

się też zdobyć po wojnie żadnych o jego losach bliższych szczegółów.

Do zbierającego się u Barącza grona należał jeszcze Stanisław Zdziarski.

Pisywał on poezje „na starą modłę” i na tem polu większej przed sobą przyszłości nie miał. Zapowiadał się jednak zupełnie poważnie, jako folklorysta i historyk literatury. Pracował wówczas nad „Pierwiastkiem ludowym w poezji polskiej”, i pracy tej wrócono wielkie powodzenie. Jakoż istotnie, po wyjściu z druku, zwróciła ona na siebie uwagę.

Rychło jednak po otrzymaniu doktoratu w życiu Zdziarskiego nastąpiły jakieś powikłania. Przeniósł się on nagle ze Lwowa do Petersburga i tam spędził całe lata, pracując początkowo u prof. Ptaszyckiego, potem biorąc stopniowo zupełny rozbrat z nauką i utrzymując się z dziennikarstwa. Jakie tam przechodził koleje, bliżej nie wiem, dość, że wrócił do kraju ze zrujnowanem zdrowiem i w niedostatku. Po wojnie znalazł się w Warszawie i tu pracował w redakcji „Kurjera Warszawskiego”.

Był to jednak już zupełnie inny człowiek. Z młodego, pełnego impetu, ufego w siebie, w swoją wiedzę i w swój talent kandydata do katedry uniwersyteckiej, za takiego bowiem uważaliśmy go — stał się codziennym, szarym wyrobnikiem, ciulającym przezornie zarobione pieniądze na „czarną godzinę”, której nadejścia przewidu-

jąco się obawiał. Jedno mu tylko pozostało z dawnych lat — to przywiązanie do poezji. Gorąco też pragnął zebrać w całość i wydać w książce młodzieńcze swoje utwory, co też uskutecznił. Umarł w r. 1928, strawiony nurtującą go chorobą.

Zdziarski posiadał niewątpliwie zadatki na daleko większe wyniki życiowe. Wykoleił się jednak i, niestety, zmarnował przez jakieś wewnętrzne komplikacje. Mówiono, że przyczyną tego była nieszczęśliwa miłość. Jak było jednak w rzeczywistości — nie wiem.

Tak oto w części już odeszła z tego świata, w części zaś rozproszyła się po nim i czeka na swój kres, dożywszy już siwych włosów, ówczesna „młoda literatura“, zbierająca się we Lwowie u Barączy, który sam jeden tylko wiary temu mia-
stu dochował.

* *

Obok „młodej literatury“ powoli poznawałem także „literaturę starszą“. Na firmamencie lwowskim poza Kasproviczem i wschodzącą dopiero gwiazdą Staffa nie było światel pierwszorzędnej wielkości, miasto posiadało jednak „swoich“ poetów i powieściopisarzy, z których było dumne, których szanowało i ceniło może więcej, niż to bywa gdzie indziej.

Do najpopularniejszych postaci świata literackiego w ówczesnym Lwowie należał Władysław Bełza, poeta niewielkiego talentu ale szcze-

rego uczucia i głębokiego patriotyzmu. Pochodził on z Królestwa. Był bratem rodzonym warszawskiego adwokata, działacza i autora poczytnych książek podróźniczych, Stanisława. Nie wiem, jaką koleją losów — prawdopodobnie w dobie powstania 1863-go roku — Bełza dostał się do Lwowa. Dość, że był tam zadomowiony i odgrywał poważną rolę w życiu towarzyskiem. Dużo bywał i łatwo go było spotkać.

Gdy go poznałem, był już poważnie chory. Niedomoga mięśnia sercowego tłumiła bujny podobno dawniej jego temperament. Już nie urządzał balów, rautów, koncertów na rozmaite cele, z czego przedtem słynął. Ale pomimo to humor go nie opuszczał.

Zaraz na wstępie znajomości opowiedział mi anegdotę wymyśloną czy fakt autentyczny ze swego życia, który miał świadczyć o stosunku publiczności do poezji.

— W jednym z salonów lwowskich — opowiadał Bełza — przedstawiono mi raz kapitana austriackiego, Polaka, niejakiego „von Iskrzyckiego”. Ów „von Iskrzycki” był najwidoczniej wzruszony zawarciem ze mną znajomości, gdyż kilkakrotnie mocno potrząsnął moją ręką, a potem patrząc mi w oczy, wypalił: — Jakże jestem szczęśliwy, że pana poznaję, bo to, panie dobrodzieju, moje dzieci umieją przecież napamięć pański „Powrót Taty”. Biedny kapitan pomieszał sobie Mickiewicza ze mną. Cóż było robić? Przy-

jąłem na siebie autorstwo „Powrotu Taty” z do-
brodziejstwem inwentarza, chociaż domysliłem
się, że chodzi tutaj o mój wierszyk: „Kto ty je-
steś? Polak mały”, który istotnie wszystkie dzieci
nie tylko we Lwowie ale w całej Galicji umiały
napamięć.

Rzecz prawdziwa czy zmyślona — to wszyst-
ko jedno. W każdym razie charakterystyczna dla
owego kapitana „von Iskrzyckiego”, który repre-
zentował w tym przypadku legion podobnych so-
bie „znawców literatury”, oraz stwierdzająca du-
żą popularność Bełzy nawet w tych sferach.

Z dowodami tej popularności spotkałem się,
zresztą, nieraz i przekonałem się, że Bełza był po-
wszechnie ceniony za swoją dobroć, uczynność,
łatwość obejścia i humor.

Mało już wówczas pisał, oddany całkowicie
pracy w Ossolineum, gdzie zawiadywał czytelnią
i działem wydawnictw dla młodzieży.

Obok staruszka Antoniego Małeckiego i równie
niemal starego Wojciecha Kętrzyńskiego, Bełza,
choć nieco młodszy, był tą trzecią typową po-
stacią, która zrosła się w mojej pamięci z mura-
mi Zakładu narodowego im. Ossolińskich.

Drugim poetą, który zażywał we Lwowie „sła-
wy”, był Aureli Urbański, powstaniec, autor mało
wartościowych wierszy patriotycznych, ochrzczo-
nych pretensjonalnym tytułem „Miatież” i dość
niefortunny tłumacz i naśladowca Heinego, ale,
pomimo to, dumnie i wyniośle noszący głowę.

Był on urzędnikiem w Wydziale Krajowym, gdzie do obowiązków jego należało pilnowanie, aby wychodzące z Wydziału papiery pisane były dobrą polszczyzną. Pomysł rozciągnięcia kontroli „fachowej” nad językiem i stylem biurowym był świetny. Czy jednak Urbański dobrze wywiązywał się z tego zadania — nie wiem.

Był to człowiek już dobrze podstarzały, smukłego wzrostu i zgrabnej figury, z siwiejącym zarostem à la Napoleon III, co wiązało go nawet zewnętrznie z epoką drugiego cesarstwa, do której należał wspomnieniami. Zawsze starannie ubrany, zamiast krawata nosił stale misterny, „romantyczny” fontaż kolorowy, nakrapiany w duże grochy. W ten sposób reprezentował przeszłość.

Początkowo wydawał mi się on mało przystępnym i pozującym na coś, czem nie był. Później jednak okazało się, że był to gorącego serca patriota, któremu tylko, jak wielu innym, jasny pogląd na sprawę polską zaćmiewała fanatyczna nienawiść do Moskali. Uczynił sobie z tej nienawiści proceder, a że widział w życiu prawdziwych kozaków, bo rzeczywiście był w powstaniu, więc straszył nimi patriotyczną ale naiwną burżuazję lwowską i obnosił wśród niej z dumą swój niedoszły Sybir. Z powagą celebrował także rolę „powstańca-męczennika za ojczyznę” na obchodach rocznicowych w „Strzelnicy” i w „Gwiazdach” rzemieślniczych. Bronisław Szwarce bardzo sobie z niego żartował i nie brał go na serjo.

Niesłusznie jednak, bo był to człowiek „na serjo”, tylko zewnętrźnie przestylizowany, co, jako epigonowi romantyzmu, należało mu wybaczać. Bądź co bądź, był na gruncie lwowskim typem, łączącym pomiędzy sobą dwie dość dalekie już od siebie epoki.

Powieściopisarstwo reprezentował we Lwowie ówczesnym Adam Krechowiecki, redaktor naczelny urzędowej „Gazety Lwowskiej”.

Krechowiecki pochodził z Wołynia, studia jednak odbył we Lwowie, tam uzyskał stopień doktora praw, poczem przyjął obywatelstwo austriackie i wstąpił na służbę do namiestnictwa.

Gdy go poznałem, był w stopniu „radcy”, o czym świadczyła tablica za szkłem, zawieszona na drzwiach jego gabinetu redaktorskiego w gmachu namiestnictwa.

Był to mężczyzna przystojny, małego wzrostu, w ruchach wytworny, towarzysko wyrobiony, z dość szerokim, jak na stosunki lwowskie, gestem w życiu. Lubił kobiety, teatr, dobre wino i rozmowę, w której ujawniał bogaty umysł, błyskotliwy humor i ultra-lojalność austriacką.

Jako powieściopisarz, miał za sobą szereg utworów, które postawiły go w literaturze dość mocno. Były to przeważnie powieści historyczne, a że w tej właśnie dobie Sienkiewicz geniuszem swoim przyćmił wszystkich innych powieściopisarzy historycznych, więc i Krechowiecki stał w cieniu. Zdaje się, że było to cichą tragedją jego ży-

cia i ambicji literackich. W istocie, talent jego zasługiwał na większą uwagę, niż ta, jakiej mu udzielała krytyka ówczesna, zwłaszcza warszawska, która widziała w nim przedstawiciela konserwatyzmu, odsądzanego wówczas od czci i wiary przez koła postępowe stolicy. Wprawdzie nie stworzył on arcydzieła, ale powieści jego, a zwłaszcza „Szary wilk”, były na poziomie i miały chętnych czytelników. Dawały one dobrze namalowane obrazy historyczno-obyczajowe i świadczyły o rzetelnej kulturze ich autora.

Jako redaktor „Gazety Lwowskiej”, która, oczywiście, będąc organem namiestnictwa, musiała zajmować nie zawsze sympatyczne dla niezależnie myślącego społeczeństwa stanowisko, Krechowiecki umiał jednak zasłużyć się poważnie przez staranne prowadzenie miesięcznego Przewodnika naukowo-literackiego, na którego łamach ukazało się wiele prac cennych.

W czasie, kiedy go odwiedzałem, był on na tropie dokumentów do życiorysu Zygmunta Kaczkowskiego. Opowiadał mi wówczas rewelacyjne rzeczy o autorze „Murdeljona”. Nie poruszam tu tych smutnych spraw, gdyż Krechowiecki omówił je obszernie i udokumentował w wydanej później książce.

Poza Krechowieckim łączył mnie jeszcze bliższy stosunek towarzyski z pełnym swoistego wdzięku gawędziarzem w stylu szlacheckim, Abgarem-Sołtanem. Poznałem go w domu mego

stryja, jako krewnego stryjenki. Rodzina Abgarowiczów była ziemiańską rodziną z Pokucia. Nowele, opowiadania i opowieści Abgara-Sołtana miały też koloryt wiejski i jako obrazy życia szlachty wschodnio-galicyskiej i ludu tamtejszego nie były bez wartości. Ale daleko bardziej niż utworami swojemi mógł Abgarowicz czarować każdego, jako opowiadacz. Były to zupełnie stylowe narracje szlacheckie, których godzinami można było słuchać i gdyby umiał on tak to napisać, jak mówił, byłby zostawił po sobie arcydzieła.

Odwiedzał mnie on potem w Warszawie, już schorzały i bliski śmierci, a jeszcze pełen swady gawędziarskiej, przemiły, przedobry i niezapomniany dla mnie do dzisiaj.

Talent jego przedwcześnie zatamowany został przez niezwykle przypadek. Jadąc kiedyś koleją, Abgarowicz wysiadł na stacji, zmuszony potrzebą, i udał się do odpowiedniego budynku. Tam załamało się pod nim siedzenie i wpadł do dołu ustępowego. Pociąg tymczasem odszedł. Znalezione i wydobyto go dopiero po kilku godzinach, zatrutego gazami. Rátowano go długo, zanim przyszedł do przytomności. Skutkiem tego zatrucia była jednak długotrwała choroba płuc i serca. Przyprawiło go to o przedwczesną śmierć, mimo wszystkich zabiegów lekarskich i najpieczołowitszej, jaka być mogła, opieki bardzo przywiązanej

do niego żony, która pielęgnowała go, czuwając przy nim bezustannie.

Na pograniczu pomiędzy literaturą a dziennikarstwem stał jeszcze wówczas we Lwowie Julian Starkel, „król feljetonu“, człowiek dużej kultury i powabnego, lekkiego pióra. Pisywał on feljetony w „Słowie Polskim“. Był wybitnym znawcą przeszłości Lwowa, zwłaszcza jego życia towarzyskiego i umysłowego w ubiegłych dziesięcioleciach. W tym kierunku był niewyczerpaną skarbnicą wiadomości i rozmowy z nim należały do bardzo pouczających. Pierwszorzędny *causeur* byłby najpożądany gościem w każdym wielkim salonie, gdyby takie salony wówczas istniały. Ale Lwów nie posiadał w owej dobie nawet takich surogatów salonu w dawnym znaczeniu, jakie istniały jeszcze w Warszawie. Żył więc Starkel w odosobnieniu, otoczony swojemi książkami i wspomnieniami, i dożywał tak dni swoich. Wielka szkoda, że ten człowiek nie napisał pamiętników. Byłaby to z pewnością niesłychanie zajmująca książka, sięgająca aż gdzieś do Augusta Bielowskiego, Karola Szajnochy i żywego wówczas ruchu literackiego we Lwowie.

Drugiego takiego feljetonisty, jak Starkel, prasa lwowska nie miała. Wyrabiał się dopiero na łamach „Dziennika Polskiego“ Antoni Chołoniewski, któremu zawdzięczam pierwszy feljeton sprawozdawczy o moich poezjach, wydrukowany w roku 1898. Ale i on rychło przerzucił się na pu-

blicystykę, świetne zdobywając sobie potem w niej stanowisko.

Publicystyka wogóle górowała w tej dobie we Lwowie nad literaturą i dopiero szybko rosnąca sława Kasprowicza, a obok tego zjawienie się szeregu młodych poetów ze Staffem, Marylą Wolską i Rufferem na czele wysunęły literaturę na przodujące miejsce. W następnej już dekadzie Lwów stał się ożywionym ogniskiem ruchu literackiego i wydawniczego, promieniującego na całą Polskę.

ZWIĄZEK NAUKOWO-LITERACKI

Pewnego dnia Kasprowicz zwrócił się do mnie ze słowami:

— Zakładamy we Lwowie Związek naukowo-literacki. Jestem upoważniony do zaproszenia cię na posiedzenie przedwstępne. Przyjdź do dra Łunińskiego na ul. Zieloną, pojutrze o 5-tej po południu.

Poszedłem. Zastałem tam grono osób: prof. Jana Gwalberta Pawlikowskiego, prof. Józefa Nussbauma-Hilarowicza, Jana Popławskiego, Jana Kasprowicza, Zygmunta Poznańskiego i naturalnie, gospodarza, dra Ernesta Łunińskiego.

Rozpoczęły się obrady. Prof. J. G. Pawlikowski uzasadniał potrzebę stworzenia we Lwowie ośrodka, służącego wymianie myśli naukowej i literackiej. To, co mówił, było głęboko przemyślane, nacechowane troską o poziom i rozwój kultury umysłowej i artystycznej. Nikt nie oponował. Wszyscy uznali słuszność tego wyводу.

Tak powstał „Związek”. Na prezesa powołany był jednomyślnie inicjator, J. G. Pawlikowski, na wiceprezesa Kasprowicz, na sekretarza Ernest Łuniński, na skarbnika Z. Poznański. Pozostali tworzyli wspólnie z nimi Zarząd. Obowiązkiem Zarządu było urządzać cotygodniowe zebrania

i starać się o prelegentów, których odczyty lub referaty dostarczyłyby tematów do dyskusji, i w dalszej perspektywie — nawet do wydawnictw.

Ponieważ „Związek” narazie żadnych środków nie posiadał, przeto sfinansowaniem jego początków zajął się J. G. Pawlikowski.

Właściciel Medyki postąpił po medyceuszowsku, gdyby bowiem nie jego gotowość do zaopiekowania się instytucją, nie byłaby ona mogła rozpocząć działalności prędzej, jak po zgromadzeniu funduszków na lokal, światło, opał etc. Tymczasem dzięki ofiarności Pawlikowskiego odrazu można było przystąpić do pracy.

Wszystko poszło nadspodziewanie szybko i gładko. Wynajęto lokal na Rynku w jednej ze starych kamienic. Lokal ten posiadał wcale obszerną salę, w której wygodnie mogło się pomieścić kilkadziesiąt osób. Nabyto odpowiednią ilość krzeseł, zawieszono lampy i w kilka tygodni po owym pierwszym zebraniu nastąpiło już uroczyste otwarcie „Związku”.

Zebrała się nadspodziewanie spora liczba osób. Pierwszy przemawiał Kasprowicz o celach i zadaniach nowej instytucji, o rozbiciu kultury polskiej i potrzebie skupiania jednostkowych usiłowań w kierunku jej podtrzymania i wzbogacenia. Następnie J. G. Pawlikowski wygłosił odczyt o mistyce Słowackiego. Był to jakby pierwszy zwiątek jego późniejszej, obszernej na ten temat pracy, która w historii badań nad Słowackim ma

epokowe znaczenie. Odczyt zawierał mnóstwo zupełnie nowych, oryginalnych myśli, i obudził powszechne zainteresowanie. Wywiązała się po nim obszerna dyskusja, umiejętnie podtrzymywana przez prelegenta i przez J. L. Popławskiego. Poziom tej dyskusji był wysoki, acz utrzymany w ramach dyletantyzmu. O ten jednak szlachetny dyletantyzm chodziło właśnie inicjatorom „Związku”, którzy postawili sobie za cel wciągać specjalistów do dyskusji na tematy, które nie były ich specjalnością. Był to najczystszy humanizm, wychodzący z zasady terencjuszowskiej: *Nil humani a me alienum esse puto*. Bo i dlaczegoż biolog, jakim był prof. Nussbaum, nie miałby się interesować w wolnych chwilach poezją, a poeta biologią?

Pawlikowski nie był przecież zawodowym literatem. Był prawnikiem i ekonomistą. Wykładał ekonomję polityczną w szkole rolniczej w Dublanach, a jednak wysoka kultura jego umysłu i ducha wymagała innego jeszcze ponadto pokarmu i znajdowała go dla siebie w poezji, jakże dalekiej od jego specjalności! Co więcej, stosunek Pawlikowskiego do poezji nie był powierzchowny, był daleko głębszy, niż u wielu z tych, którzy mienili się miłośnikami i znawcami poezji. Nie polegał on tylko na rozkoszy czytowania Słowackiego, ale na takim wczytywaniu się w jego utwory, aby wydobyć z nich najgłębiej ukryty szpik myśli, uczucia i przeczucia. Z takiej analizy czy-

telnika - dyletanta powstały zczasem niezastąpione, a będące fenomenem w naszej literaturze krytycznej komentarze do „*Króla Ducha*”.

Świetna inauguracja Związku odrazu utworzyła dla niego mocne podwaliny w opinii elity lwowskiej. Liczba członków i liczba wprowadzanych przez nich gości tak wzrosła na odczytach następnych, że zabrakło krzeseł i część słuchaczy musiała stać na sali. Nikt jednak na to nie sarkał.

Mówiliśmy wszyscy po kolei. Mówił więc prof. Nussbaum o najnowszych zdobyczach biologii i o zoologicznej stacji doświadczalnej w Villefranche na Rivierze francuskiej, gdzie pracował przez czas dłuższy; mówił J. L. Popławski o „Modernizmie”, ujmując to zagadnienie, o czym już wspomniałem wyżej, w sposób bardzo samoistny i ciekawy, mówił Kasprowicz, Łuniński, mówiłem wreszcie ja o Guy de Maupassancie i jego pesymizmie, a potem o buddyzmie.

Trudno jednak było iść dłużej własnymi siłami. Należało rozejrzeć się za prelegentami z zewnątrz Związku. Postanowiliśmy więc przede wszystkim wypłynąć na „szersze wody”.

Pawlikowski zaproponował, aby urządzić pod egidą Związku wielki odczyt publiczny w sali ratuszowej i sprowadzić w tym celu z Krakowa Józefa Kotarbińskiego, którego piękny głos i swada recytatorska mogły być licznych przyciągnąć słuchaczy.

Kotarbiński zaproszenie przyjął, i wkrótce przyjechał do Lwowa, gdzie z dużym powodzeniem wygłosił odczyt o Adamie Asnyku, bogato ilustrowany doskonałą deklamacją jego utworów. Takiej deklamacji Asnyka już nigdy potem nie słyszałem.

Związek zdobył sobie przez ten odczyt jeszcze większą popularność, i odtąd zdarzało się coraz częściej, że ludzie, mający coś do powiedzenia, sami zabiegali o to, aby mogli to uczynić wobec doborowego audytorjum jego członków.

W ten sposób istnienie Związku było już utrwalone, a my, którzy od początku staliśmy na straży tego istnienia, tak przywiązaliśmy się do tej instytucji, że najmilej nam było zbierać się i dyskutować nad jej przyszłością. Duszą tych dyskusji Zarządu był zawsze J. G. Pawlikowski, który pragnął uczynić ze Związku szeroko, daleko poza Lwów promieniujące ognisko kultury. W tym celu z jego inicjatywy i jego środkami, w porozumieniu z księgarnią Altenberga, powstało wydawnictwo „Wiedza i Życie”. Dla większego zainteresowania tem wydawnictwem ogółu ogłoszony był konkurs na pracę krytyczną o Żeromskim. Z konkursu tego wyszedł, jako laureat, nieznany wówczas jeszcze nikomu pisarz, Tadeusz Gałęcki, głosny później jako Andrzej Strug.

Zebrania Zarządu były tem jeszcze przyjemniejsze, że panowała na nich miła, koleżeńska atmosfera. Jako najmłodszy w tem gronie byłem

początkowo zażenowany, że ludzie starsi ode mnie i zajmujący już katedry, jak prof. Pawlikowski i Nussbaum, dopuszczają mnie do swego grona na równych prawach. Ale stopniowo oswoiłem się z tem i miałem dla nich już tylko wdzięczność za to, że rozwijam się i dojrzewam w ich towarzystwie, że wzbogacam się ich myślą i doświadczeniem. A byli to wszystko ludzie istotnej wiedzy i wielkiego dla niej kultu, ożywionego pragnieniem pogłębienia płytkiego w społeczeństwie nurtu zainteresowań zagadnieniami wyższej miary. Rozmowy z nimi były dla mnie bardzo pouczające, nawet wówczas, gdy toczyły się swobodnie przy stole restauracyjnym i przy skromnej szklance piwa, zwykle bowiem po posiedzeniach Zarządu zśliśmy razem na kolację „Pod gruszkę“, albo do „Naftuły“, typowej wówczas dla Lwowa knajpy, której właściciel zbierał obrazy, aby je ofiarować potem miastu. Te wspólne wieczery były jakby dalszym ciągiem naszych posiedzeń, tem różne tylko od nich, że snadniej rozwiązywały się języki, i dochodziło do poufniejszych wypowiedzi się w rozmaitych kwestjach. Ceniłem to sobie bardzo, poznawałem bowiem wewnętrzną wartość ludzi, z którymi obcowałem tak, jak nie mógłbym jej nigdy poznać w innych warunkach.

Kasprowicz był dla mnie „wielkim człowiekiem“ już od chwili, kiedy go poznałem. Jan Gwalbert Pawlikowski i prof. Józef Nussbaum-Hilarowicz dopiero teraz dorastali w moich oczach

do swojej właściwej miary, pierwszy jako obywatel, drugi jako uczony i obywatel.

Pawlikowski był dla mnie prawdziwą rewelacją. Ten człowiek bogaty, rozporządzający dużymi środkami materialnymi, dającym mu zupełną w życiu niezależność, nie miał w sobie ani jednej przywary ludzi bogatych, nie miał nic z ich sposobu życia i bycia. A przecież nie były mi te sposoby obce, bo widziałem nieraz bezmyślne trwonienie pieniędzy i w Warszawie i na Wołyniu, wśród szlachty, która nie wiedziała, czym i jak żyć poza winem, hazardem karcianym i kobietą.

Tymczasem spotkałem tutaj ziemianina, który niezależnie od dochodu, czerpanego z ziemi, pracował jako profesor, i miał poza tem zainteresowania umysłowe, czyniące go współuczestnikiem wszystkich duchowych biesiad ludzkości. Nauka, literatura, malarstwo, rzeźba, muzyka pociągały go ku sobie w stopniu jednakowym. Nie zamknął się on w ciasnej swojej specjalności, ale wybiegał daleko poza jej szranki, jak człowiek epoki renesansowej, pragnący i umiejący pić życie pełnymi haustami ze wszystkich dostępnych mu krynic. Smakował we wszystkim i rozkoszował się wszystkim. A przy tej wysokiej kulturze, narastającej coraz nowemi zdobyczami przez staranną lekturę wszystkiego, co na zachodzie europejskim zasługiwało na to, aby było czytane, jakże niesłychanie skromny był w stosunkach towarzyskich

i w obejściu z ludźmi, o których dobrze wiedział, że nie dorastają do jego miary. Ani cienia wyższości, ani cienia zarozumiałości. W najszlachetniejszym stylu utrzymana łatwość obcowania z każdym i chęć służenia każdemu swoją wiedzą i swoim doświadczeniem umysłowym.

W tym czasie właśnie kupił on był obszerny dom przy ul. Trzeciego Maja i marzył o tem, aby przenieść do niego bibliotekę medyczną, słynną ze swoich zbiorów. Poco? Nie dla siebie, bo jako właściciel Medyki mógł w każdej chwili sprowadzić z tej biblioteki wszystko, czego potrzebował, ale wyłącznie dla innych, wyłącznie dla udostępnienia tych zbiorów szerszemu kołu pracowników naukowych.

Zresztą wszystko, co Pawlikowski czynił, miało zawsze na celu służenie dobru ogólnemu, dobru kultury polskiej. Dlatego oddawał tyle czasu i pracy bezinteresownej „Związkowi Naukowo-Literackiemu“, którego działalność, zwłaszcza późniejsza, ma poważną kartę w dziejach Lwowa początków dwudziestego wieku.

Podobnie w miarę zbliżania się do prof. Józefa Nussbauma-Hilarowicza nabierałem dla niego coraz większego szacunku. Początkowo łączyła nas tylko sympatja dzielnicowa, prof. Nussbaum był bowiem warszawianinem. Potem nauczyłem się go także cenić, jako człowieka wielkiej nauki i wytężonej pracy. Głęboko zamiłowany w tej gałęzi wiedzy, której się poświęcił, oddawał jej wszystek

swój czas i wszystkie swoje siły. Laboratorium i katedra — to był jego świat. Niesłuchanie skromnych potrzeb osobistych, własne środki obracał na cele swoich badań, na wzbogacenie swojej pracowni. Miły w obejściu, zawsze uśmiechnięty, normalnie małomówny, wypowiadał się jednak w sposób niesłuchanie zajmujący, gdy rozmowa schodziła na obchodzące go bliżej tematy. Wówczas miał o czym mówić, bo zasób jego wiedzy był ogromny, bo myśl jego pracowała nieustannie i drażyła sobie drogi do światła w mroku otaczającej ludzkość tajemnicy.

Tak samo jednak, jak Pawlikowski, i on nie za-
sklepiał się w swojej specjalności. Obchodziło go
wszystko, nie wyłączając nawskroś humanistycz-
nych zagadnień.

Tak, wśród tych ludzi, w podniosłej atmosf-
rze życia umysłowego, ogarniającego niemal
wszystkie dziedziny ówczesnych zainteresowań,
przy otrzymywaniu ciągłych z ich strony bodźców
do samodzielnego myślenia i samodzielnej pracy,
która pokrywała przerażające braki mojego jedno-
stronnego wykształcenia prawniczego, upłynął
ostatni rok mojego pobytu we Lwowie. Rok ten
uczynił mnie dopiero naprawdę dojrzałym. Była
to więc dla mnie najlepsza szkoła, przez jaką
przejąć mogłem po ukończeniu studiów uniwersy-
teckich.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Było to jakoś w połowie maja 1899 roku. Po Lwowie gruchnęła wieść, że przyjeżdża z Krakowa z odczytem Stanisław Przybyszewski, że będzie to odczyt o Chopinie, i że nareszcie będziemy mieli sposobność zobaczenia i poznania tego głośnego już wówczas pisarza, o którym najrozmaitsze, sprzeczne z sobą, krążyły wieści, bądź jako o genialnym twórcy, bądź jako o „złym duchu” i „uwodzicielu” młodej literatury.

Nie pamiętam już, kto organizował ten odczyt. Zainteresowany nim był jednak i „Związek Naukowo-Literacki”.

Przybyszewski przyjechał istotnie. Odczyt odbył się w przepełnionej sali ratuszowej. Ciekawych znalazło się aż ponad miarę. Wyobrażano sobie autora „Homo sapiens” Bóg wie jak — może nawet z rogami na głowie. Ci jednak, którzy chcieli na własne oczy oglądać satanistę czy może samego szatana w przebraniu ludzkim, doznali rozczarowania.

Na katedrę wszedł człowiek nieśmiały, najwidoczniej zażenowany tem, że ma mówić wobec tak liczного audytorjum. Włosy przylgnęły mu od potu do czoła, ręce mu drżały, a kiedy przezwyciężył wreszcie tremę i rozpoczął, mówił tak

cicho, że z dalszych rzędów foteli rajcowskich poczęto wołać: „głośniej! głośniej!” Nie dodało to prelegentowi odwagi, tem bardziej, że głosu podnieść nie mógł, gdyż przeszkadzała mu do tego chrypka. W rezultacie jednak, kto słyszał ten odczyt, nie mógł nie wyłowić z niego istotnie ciekawych i oryginalnie ujętych poglądów na muzykę Chopina. Nie streszczam ich tutaj, są one bowiem powszechnie znane.

Naogół jednak zebrana w sali tak licznie publiczność widocznie mało słyszała, gdyż przyjęła odczyt dość chłodno, co już ostatecznie „speszyło” Przybyszewskiego.

— Widzicie — mówił nam potem, skupionym dokoła niego, gdy już na sali zrobiło się pusto — ja nie jestem od tego, żeby przemawiać publicznie. Nie trzeba mnie było tutaj sprowadzać.

Ale nas już nie obchodziła publiczność, obchodził nas sam Przybyszewski.

Poszliśmy z nim — cały Zarząd Związku Naukowo-Literackiego — do kawiarni Schmidta, aby tam doczekać godziny, o której mieliśmy się stawić u dra Tadeusza Uhmy, który urządził tego dnia specjalne dla Przybyszewskiego przyjęcie.

Dr. Uhma, członek naszego Związku, znany wówczas lekarz-wenerolog, zainteresowany był szczególnie osobą Przybyszewskiego z uwagi na swoje studia, prowadzone w zakresie zagadnień seksualnych. Któż mógł go być więcej frapować, niż ten, który głosił, że „płeć była na początku”,

i który w literaturze swojej nie wahał się dotykać tematów, wchodzących w zakres patologii płciowej?

W kawiarni Przybyszewski jakby się ocknął. Tu dopiero był w swojej atmosferze. Rozgawędził się i roztkliwił na dobre. Wszystkie te tklivości zwrócone były do Kasprowicza, u którego się zatrzymał w imię starej przyjaźni. Dlaczego zająchał do jego ciasnego mieszkania a nie do hotelu, na co było go stać, bo za odczyt otrzymał przecież dość wysokie honorarium — trudno mi było zrozumieć. Tłumaczyłem to sobie zaproszeniem Kasprowicza i rzeczywistą przyjaźnią, która ich łączyła. Pochodzili przecież z jednej okolicy nadgoplańskiej i mieli tyle wspólnych wspomnień. Przedmiotem też ich rozmowy były przedewszystkiem Kujawy. Krasę tej monotonnej, mało pejzażowej ziemi odczuwali w sposób swoisty i upajali się obaj jej pięknem, które głęboko nosili w sobie.

Przybyszewski mówił dużo i wylewnie. Kasprowicz raczej słuchał tak, jak słuchaliśmy wszyscy, poddając się fascynującemu urokowi bujnego frazesu, grającego od czasu do czasu połytkliwie jakimś niepowszedniem słowem, jakimś nowem i śmiałem porównaniem. Wszystko to czyniło jednak wrażenie bardzo szczerzej emanacji, bez śladu pozy, bez jakiegokolwiek chęci łowienia słuchaczy w sieć wyrazów.

Podobał się nam Przybyszewski. Robił wrażenie cygana. Odskakiwał od naszej powagi „Związkowej” — to prawda, ale jednał nas sobie tym ciepłym stosunkiem do Kasprowicza, którego kochaliśmy wszyscy.

Kasprowicz był także pod urokiem tego ciepła. Przypomniiał, że kiedy przed kilkoma miesiącami był w Krakowie i spotkał się tam u Turlińskiego z Przybyszewskim po raz pierwszy, ten, już trochę podchmielony, rozplakał się z radości, a potem koniecznie chciał czemś go obdarować, że jednak nie miał nic pod ręką, przeto zrzucił z siebie surdut, zdjął kamizelkę kolorową w kwiatki, najcenniejszy przedmiot, jaki w garderobie swojej posiadał, i tę kamizelkę gwałtem mu na pamiątkę ofiarowywał. Oczywiście, Kasprowicz nie chciał daru tego przyjąć, a Przybyszewski nie przestawał nalegać, wobec czego sprawa przeciągnęła się do rana, a wówczas obie strony o kamizelce już zapomniały.

Tak gawędząc dotrwaliśmy do godziny pół do 10-ej, o której trzeba było pójść do dra Uhmy.

Zastaliśmy tam obszerny apartament, urządzone specjalnie na cześć gościa w stylu bardzo modernistycznym. W pokojach panował półmrok. Lampy były szczelnie poobslaniane kolorowymi abażurami — w jednym pokoju było ponsowo, w drugim fioletowo, w trzecim prawie że zupełna „ciemnia nastrojowa”. Pełne światło było tylko w jednej jadalni.

Zebrało się nas dwadzieścia kilka osób. Sami mężczyźni. Z kobiet tylko jedna pani drowa Uh-mowa.

Zasiedliśmy do stołu i wnet alkohol popłynął na cześć Przybyszewskiego wzbierającym potokiem. Było ciepło, gwarno i wesoło.

Wieczera trwała dość długo. Już było po północy, kiedyśmy wstali od niej.

Przybyszewski znalazł się zaraz przy fortepianie w sąsiednim pokoju i zaczął ilustrować swój odczyt fragmentami utworów Chopina. Grał po pijanemu, w sposób sobie właściwy interpretując preludja, nokturny i mazurki. Było jednak w tej muzyce coś, co „brało”. Było głębokie wyczucie jej „narodowości”. Był rytm polskiej ochoty tańecznej, spowitej w welon polskiej melancholji.

Tuż przy fortepianie znalazł się za chwilę ze swojemi skrzypcami wyrosły jak z pod ziemi, nieodłączny wówczas towarzysz Przybyszewskiego, który z nim razem z Krakowa przyjechał, Stanisław Sierosławski, popularny już w kołach literackich całej Polski pod mianem „Stasinka”. Odezwały się melodie kujawiaków — jednego, drugiego, trzeciego. „Rozkujawiaczyło” się nagle w mieszkaniu dra Uhmy, jak gdzieś w karczmie nadgoplańskiej. Przybyszewski był w swoim żywiole. Na czoło wystąpił mu kroplisty pot, grzmocił jednak, ile mu sił starczyło w klawiaturę i upajał się tą rodzimą muzyką więcej, niż był upojony alkoholem.

A Stasinkowe skrzypce rzępoliły od ucha, posuwicie i zadzierzyscie, jak na Kujawy przystało.

Mogło się to jednym mniej, drugim więcej „podoać”. Nikt jednak nie mógł zaprzeczyć, że był w tem „nastrój”, który stopniowo ogarniał wszystkich, nastrój w dodatku tak swojski, tak nasycony polskością, że ulegały mu nawet najoporniejsze na „nowe kierunki w sztuce” dusze i umysły, ulegały zaś tem łatwiej, że naprawdę nic w tem „nowego” nie było oprócz brawury wykonania. Bo wszystkie te melodie każdy miał w sobie od dziecka.

Przybyszewski przestał grać. Umilkły także skrzypce Stasinka, wywodząc ostatni, długi, piskliwy ton, jakby pełen żalu, że to już koniec...

Ożywiło się towarzystwo. Zaszemrały po kątach sali głosy. Zaczęto komentować muzykę i jej interpretację.

Przybyszewski milczał. Oczy miał rozszerzone i wlepione w przestrzeń, jakby gdzieś, daleko, coś widział, jakby gonił wzrokiem jakąś uciekającą od niego zjawę.

Nagle zgiął się niemal w kabłąk, głowę pochylił, przywarł nią do fortepianu i z siłą uderzył w klawisze.

Zerwała się z nich dobrze wszystkim znana pieśń: „Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny”. Brzmiała ona w tej sali o przyćmionych ponsowych światłach, w tem otoczeniu i w tej chwili, niby błaganie o odpust Boży za wszystkie

grzechy i przewiny zebranych tutaj na beztroską zabawę.

Przybyszewski wypowiadał się w tym hymnie cały. Nie znałem go jeszcze wówczas bliżej, nie wiedziałem, że z tem „Święty Boże” łączą się najbliższe mu wspomnienia z lat dziecięcych, wyniesione z kościoła w Łojewie, zrozumiałem jednak, że między grającym a tą melodią istnieje jakiś związek głębszy, że w tej muzyce wstrząsającej poza jej elementami religijnymi, sięgającymi aż do czasów średniowiecza, wypowiada się także skarga, jękiem i trwogą dusza współczesna, dusza umęczona tego człowieka, który błaga Boga o zmiłowanie nad sobą, nad ludzkością, nad światem i ucieka przed ścigającymi go Eumenidami własnej podnieconej wyobraźni.

Podobne myśli musieli mieć wszyscy, bo skoro zamilkły ostatnie akordy, nikt słowa nie wyrzekł. Było cicho. W tej ciszy słaby, zachrypnięty głos Przybyszewskiego odezwał się pierwszy.

Mówił o potędze tej pieśni. Mówił, że kiedy ją grał kolegom-Niemcom w Berlinie, wywierała ona na nich wpływ druzgocący — trzeźwych upajała, a pijanym przywracała przytomność. Mówił długo, z entuzjazmem artysty, a jednocześnie z tą przedziwną jakąś pokorą, która znamionowała poczucie małości człowieka wobec tajemniczych potęg zaświata. Mówił, jak mógł mówić tylko człowiek głęboko wierzący i uznający nad sobą wszechwładną potęgę Boga. A potem, kiedy skończył, znów

grał. Improwizował, przerzucał się z melodji na melodję, aż dziw brał, że palce jego mogły tyle pracy wykonać, że ręce mu nie omdlały od kilka godzin trwającego wysiłku.

Dzień już był i wskroś zapuszczone story słońce majowe przedostawało się do salonu, w którym byliśmy zgromadzeni, kiedy wstał od fortepianu, zmęczony, chwiejący się na nogach, z oznakami widocznego wyczerpania na twarzy.

Zaczęliśmy się rozchodzić.

Wyszliśmy w pięciu. Przybyszewki, Kasprowicz, Wincenty i Stanisław Brzozowscy i ja.

Przybyszewski co chwila zatrzymywał nas na ulicy i rozpoczynał gawędę. Wreszcie na Akademickiej usiadł na schodkach jakiegoś sklepu i oświadczył kategorycznie:

— Róbcie, co chcecie, idźcie, dokąd chcecie, ale ja dalej nie pójdę. Zostanę tutaj, bo tu jest mi dobrze.

Usiłowaliśmy go przekonać, że to nie jest odpowiednie miejsce do wypoczynku, że w domu czeka go łóżko wygodne, ale nie trafiały mu te argumenty do przekonania.

Zakrył sobie twarz rękami i siedział.

Kasprowicz, zniecierpliwiony, powiedział nam: „Zaopiekujcie się nim i przyprowadźcie go do mnie, do domu. Ja pójdę naprzód”. I poszedł szybkim krokiem w stronę placu Fredry i ul. Miłkołajskiej.

My tymczasem certowaliśmy się dalej z uporem Przybyszewskiego.

Tak certujących się zastał nas Wojciech Dąbrowski, popularny już wówczas we Lwowie dziennikarz, który wyspany i wypoczęty, spieszył do redakcji „Słowa Polskiego” dla odebrania telefonu z Wiednia z najświeższymi wiadomościami do ранego numeru.

Uśmiechnął się na ten widok i zapytał:

— Co wy tu robicie o tej porze?

Wyjaśniliśmy mu sytuację. Poradził nam użyć jakiegoś fortelu i poszedł w swoją stronę.

Tymczasem na ulicy zaczęli się już coraz gęściej zjawiać przechodnie. Sytuacja była wysoce krępująca. Mogło się wytworzyć zbiegowisko. Wreszcie, udało nam się, już nie wiem w jaki sposób, przekonać Przybyszewskiego, że trzeba wstać i pójść dalej.

Wstał i poszedł. Odprowadziliśmy go do domu Kasprowiczów na Długosza, zapukaliśmy do okna na parterze, aby mu otworzono drzwi, i odetchnęliśmy dopiero, kiedy w nich zniknął.

Byliśmy jednak wszyscy trzech tak zmęczeni tą przygodą, że postanowiliśmy pójść do parku Stryjskiego i orzeźwić się świeżem powietrzem majowego poranka.

Park był cały w rozkwicie wiosennej zieleni. Rosa stała jeszcze na trawnikach i kapała obficie

z drzew. Ptaki ćwierkały na gałęziach. Zapach bił od rozkwitających bzów. Radowało się wszystko słońcu i nasyczonej jego światłem przestrzeni.

Usiedliśmy na ławce przed Pałacem sztuki. Lwów wyglądał z tego miejsca bardzo ładnie. Nie dziw, że w tem otoczeniu i z taką panoramą przed oczami zaczęły z nas parować szybko wrażenia tej nocy, w mojem lwowskiem życiu jedynej nocy, którą spędziłem całkowicie poza domem.

W godzinę potem wracałem też do domu z uczuciem dziwnego zażenowania. Spotykałem ludzi, idących do pracy, robotników i wyrobników, i kiedy zestawiałem siebie z nimi, palił mnie wstyd wewnętrzny. I zadałem sobie wówczas pytanie, które potem często zastępowało mi drogę: czy naprawdę sztuka daje artyście przywilej na takie spędzanie czasu i rozgrzesza go z marnotrawstwa tylu godzin, spędzonych w oszołomieniu i bez trosce, kiedy inni borykają się z życiem i wydzierają mu suchy zaledwie kęs chleba? Czy nie za bardzo jesteśmy wobec samych siebie pobłażliwi, czy nie zasłaniamy się fikcją poezji przed prawdą naszych dusz, które mówią co innego? które może potępiają nasze „ja” artystyczne za to, że nie umiemy nad niem panować?

I zrozumiałem wówczas, że Przybyszewski dla własnego sumienia grał to „Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny!”, aby przygłuszyć tą potężną pieśnią jego głos, przeciwstawiający się

bezmysłnej zabawie takich nocy. A miał ich za sobą wiele...

Takie było moje poznanie się z autorem „Wigilji“, z którym potem niejedną w życiu przegawędziłem godzinę.

Przybyszewski jednak od pierwszej chwili był dla mnie zagadką i pozostał nią do końca, mimo że znałem go dobrze i blisko. Ale właśnie im bliżej i lepiej go poznawałem, tem trudniej było mi określić go i ująć, tem snadniej wymykał się on z pod mojego przedmiotowego osądu, a rozpływał, jako indywidualność, we mgłach podmiotowych wrażeń.

Przekonałem się, obcując z nim w rozmaitych okolicznościach jego życia, że był to człowiek z gruntu bardzo dobry, pragnący tylko dobro czynić i rozsiewać dokoła siebie, gotowy zawsze do pomóżenia innym, skłonny nawet do samowyrzeczenia się i daleko idących gestów ofiarności, jak w dobie, kiedy zabiegał o zgromadzenie funduszków na budowę gimnazjum polskiego w Gdańsku. A przekonawszy się o tem, nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego przy tej ogromnej dobroci swojej stał się on sprawcą wielu rzeczy złych, z czego zdawał sobie sprawę i czego gorzko żałował w ostatnich latach swego życia. I to może było tego życia największą tragedją, że przy całej dobroci wewnętrznej człowieka siało ono dokoła siebie trujący posiew wykołejenia i nieszczęścia, że, mówiąc słowami Tołstoja, „nie sprzeciwiało

się złu", ale biernie przyglądało się jego kiełkowaniu i rozrostowi.

Ta bierność była u Przybyszewskiego chorobą woli, tak swoistą u wszystkich, którzy nadużywają alkoholu.

Już w młodych latach wykoleił go Berlin, wykoleiła go ta banda młodych Niemców i Skandynawów, wśród której przebywał, a potem nie miał już dostatecznej siły, aby objąć ster nad samym sobą i życie swoje poddać rygorom, za którymi jednak kryjomo tęsknił.

POWRÓT DO WARSZAWY

Dotrwałem we Lwowie jeszcze do końca października.

W ostatnich dniach mego pobytu „Związek Naukowo-Literacki” urządził mi koleżeński bankiet pożegnalny, co mnie bardzo zażenowało i wzruszyło. Na bankiecie tym przemawiali: Kasprowicz, J. G. Pawlikowski i prof. Nussbaum. Odpowiedziałem im niemal przez łzy.

Uroczyscie też pożegnali mnie moi koledzy w „Związku Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych”: Narcyz Ulmer, Ignacy Domagalski i Mazowiecki. Ulmer zamieścił nawet w czasopiśmie „Związek” notatkę o moim wyjeździe.

Pierwszego listopada 1899 roku byłem już w Warszawie.

I od tej daty rozpoczął się nowy etap w moim życiu. Nie należy to już jednak do wspomnień niniejszych, które, jeżeli mogę czem zakończyć, to tylko wyrażeniem mojej głębokiej wdzięczności dla Lwowa.

W jego murach, w jego atmosferze intelektualnej, nauczyłem się od moich niezapomnianych profesorów, Oswalda Balzera i Stanisława Starzyńskiego, rozumieć przeszłość, szukać w niej prawdy, oceniać krytycznie teraźniejszość i pragnąć lepszej

przyszłości dla narodu, który mimo pozornych różnic, wytworzonych przez zabory, był jeden i ten sam we wszystkich dzielnicach, jedną żył tradycją i jedną nadzieją.

Niemalży na mnie także wpływ w tej mierze wywarło bliskie obcowanie z Romanem Dmowskim i J. L. Popławskim, których wielkie umysły dały mi orientację polityczną na całe późniejsze życie.

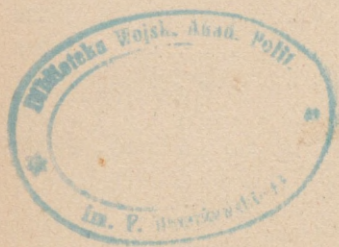
To też po czteroletnim pobycie we Lwowie wróciłem do Warszawy z poglądami z pewnością bardziej europejskimi, niż te mgławicowe aspiracje rewolucyjne, z którymi wyjeżdżałem za kordon po powrocie z Orska.

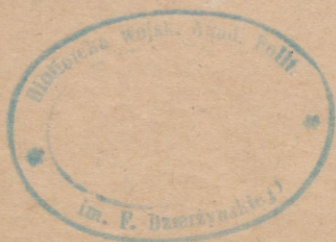
KONIEC.



SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
Warszawa — Kraków — Lwów	1
We Lwowie	13
Pierwsi znajomi	47
Roman Dmowski	68
J. L. Popławski	97
Ignacy i Karolina Domagalscy, Stanisław Szczepanowski, Narcyz Ulmer, Tadeusz Romanowicz	115
Wśród przyjaciół	140
Wacław Żmudzki	164
Nasza kolonja	175
Król młodzieży	202
Jan Kasprowicz	214
Lekcje języka rosyjskiego	234
Młoda literatura	239
Związek Naukowo-Literacki	271
Stanisław Przybyszewski	280
Powrót do Warszawy	292





Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

15574/1



11-015574-000-0